

MOC OPINII.

Rozeszła się, mówiąc językiem klasyków, stugębna wieść, że kupiec X. stał się niewypłacalny, że bankier W. zachwiany, że obywatel Z. ostatkami goni, że redakcya dziennika N. bokami robi i t. d. i t. d. Wieść tę powtórzyły wszystkie ranne i wieczorowe „Kuryery“, potém dzienniki poważne, daléj tygodniki, a następnie miesięczniki. Utworzyła się opinia, że wymienieni obywatele X., W., Z., N., o których solidności nikt nie wątpił, przepadli z kretesem. Napróżno ten lub ów woła, poczekajmy, niech się sprawa wyjaśni, nie rzucajmy kamieńmi, póki się wieść nie sprawdzi; na potępienie i kiwanie głowami jeszcze dość będzie czasu; nic to nie pomoże, opinia się utworzyła, a do tego niekorzystna, bo ludzie nadzwyczaj są pochopni do kamienowania swoich bliźnich.

Zkąd ta opinia powstała, kto ją pierwszy do ucha podał jako sekret, komu na tém zależało, żeby ją następnie po rynkach otrąbić, rzecz po największéj części nie do zbadania. Ci, na których szkodę powstała, domyślają się, zgadują, podéjrzewają niechęć i zawiść konkurencyjną, chlebową, może się nawet nie mylą, ale rzadki zdoła naprawdę odkryć źródło, z którego trysnął potok. Komuś z pewnością na tém zależało — *is fecit cui prodest* — jednakże bywa czasami inaczéj; nic mu na tém nie zależało, zrobił to z amatorstwa, nie miał nic lepszego do roboty. Wistocie, zdarzają się ludzie, którzy z amatorstwa, z próżniactwa utworzą bajkę, powtórzą ją u swoich znajomych, a następnie głoszą, że właśnie ci znajomi od swoich znajomych ją słyszeli i przy herbacie opowiadali.

Wieści takie w pospolitéj mowie, na wsi lub w miasteczku, nazywają się plotkami, gdy je kumoszki z ust do ust podają; w sferach oświeceńszych nazywają się opinią, między literatami opinią

publiczną, a w ustach dziennikarzy szóstą czy siódmą potęgą, która według nich skuteczniéj rządzi światem, niż dawna pentarchia Europą. Pomimo hiperbolicznego języka dziennikarzy, którzy podnosząc znaczenie opinii, siebie samych przez to podnoszą; nie można zaprzeczyć, że lubo opinia jest jak świat starą, jednakże doniosłość jéj w złym i dobrym sensie, dopiéro od czasu rozwoju dziennikarstwa, stała się czynnikiem branym w rachubę przy kombinacyi spraw małych i wielkich: żaden siłacz, nawet wtenczas, gdy ma za sobą słuszność, nie ostoi się długo w walce z opinią: może zabrać z sobą do grobu czyste sumienie, może go zrozumieją i chwalić będą, gdy go nie stanie, na razie jednak nie zdoła przeprowadzić zamierzonych planów.

A więc zawsze płynąć z wiatrem, nigdy przeciw wodzie? Zobaczmy jak wyjść z téj trudności; wprzód jednak należy się lepiéj przyjrzéć opinii, ażeby wiedziéć, co o niéj trzymać, a tém samém, jakim czynnikiem może być w rachubach i planach człowieka.

Gdybym chciał pisać bardzo uczenie, przytoczyłbym mu, co o opinii mówili Plato lub Arystoteles, Cavour lub Bismarck *senior*, podałbym definicyą opinii i zakończył morałem o jéj zmienności. Nie chcąc zaś geometryczném dowodzeniem odstręczyć tych, co wolą gawędę, będę gawędził; przecież gawęda, nowela, nowelka i noweletka są u nas najpoczytniejsze.

Otóż zaczynam od tego, że gdybyśmy wszyscy rozsegregowali swój zasób umysłowy, okazałoby się niezawodnie, że składają go w 99 razach opinie, a ledwie w jednéj setnéj, prawdy. A zatém jest różnica między opinią a prawdą? Niezawodnie. Mógłby o tém wątpić tylko ten, kto nigdy nie czynił obrachunku ze swojém gospodarstwem umysłowém. Jakkolwiek przywykliśmy mówić o głębokich i niewzruszonych przekonaniach swoich, rozumiejąc przez nie prawdy niezbite; są one po największéj części opiniami, mniemaniami, przypuszczeniami, lub wedle terminologii mojego nieboszczyka profesora, upodobankami. Podobały nam się i kwita: taki jest nasz organizm psychiczny, takie namiętności, takie sympatye, najczęściéj zaś siedzący w najgłębszéj kryjówce interes trwały lub chwilowy, który każe nam jedno kochać, drugie nienawidziéć. W potrzebie znajdą się powody i dowody, które nas, we własném sumieniu i w sumieniu podobnie myślących, usprawiedliwią. Jeżeli zaś przeciwnik dowody te zbije, zostanie jako jedyny argument: tak chcę, tak mi się podoba. Tak argumentował Mahomet: wierz, albo umieraj.

Ale przecież musi być różnica między opinią, mniemaniem, a prawdą? Tak jest. Opinia zasadza się na subiektywnych, czyli

podmiotowych powodach, a prawda na obiektywnych, czyli przedmiotowych dowodach. Inaczéj jeszcze: opinia o rzeczach, zjawiskach, zdarzeniach, osobach powstaje intuicyjnie, od piérwszego rzutu oka, doraźnie; prawda zdobywa się powoli, mozolnie, po dłuższém doświadczeniu i gruntowném rozumowaniu. Ztąd téż płynie i różnica między umiejętnością a doktryną, czyli *quasi* nauką; pierwsza o tyle jest umiejętnością, o ile operuje niezbitemi prawdami; druga o tyle zbliża się do nauki w ścisłém znaczeniu, o ile w swoich czynnościach mniéj obraca przypuszczeniami, opiniami, hipotezami. Mierząc takim sprawdzianem wiadomości ludzkie, łatwo poznamy ile one są warte. Opinia tedy, będąca rezultatem doraźnego sądu, musi być mniéj lub więcéj daleką od prawdy, a tém samém wartość jéj umiejętna i moralna zależy od tego, o ile się zbliża do prawdy, lub od niéj oddala. Ztąd téż, gdy prawda jest spokojna, chłodna i apeluje do rozumu i doświadczenia; opinia zwykle roznamiętnia, prowadzi do walki stronnictwa, sekty i jednostki, a za kryteryum bierze uczucie lub interes. I w tém właśnie leży jéj siła; uczucie i namiętność nie rozprawiają, nie przekonywają, lecz się narzucają. Można to obserwować w wielkich ruchach religijnych, politycznych, w ścieraniu się interesów ekonomicznych i wogóle na tych polach, gdzie opinia, mniemanie, upodobanie panują. Nie masz tam żadnego sprawdzianu, która z opinii jest bezwarunkowo prawdziwą; najsprzeczniejsze, najbardziéj krańcowe, najmocniéj zapalają przeciwników i podniecają namiętności. W sferach tych każda opinia jest dobrą, która ma za sobą większość wyznawców i obrońców. Nikt nie może powiedziéć, że taka a taka forma rządu jest bezwarunkowo najlepsza, że ta lub inna teorya estetyczna jest absolutnie prawdziwa. Mówimy zwykle, że należy brać w rachubę czas, okoliczności, warunki, ludzi, ich gusta, ale nie moglibyśmy przysiądz, że panujące w tym względzie opinie są jedynie prawdziwe. Przeciwnie, cechą opinii jest, że się zmienia, czasami doskonali, czasami cofa, a to stosownie do ludzi i ich umysłowego rozwoju. Dlatego téż dziwimy się tym, którzy z pewną chlubą utrzymują, że opinie ich nie uległy zmianie w ciągu całego życia. Nie rozumiemy, dlaczegoby miało być ujmą dla człowieka porzucenie gorszéj, mniéj zasadnéj opinii, a przyjęcie lepszéj, t. j. bardziéj uzasadnionéj. Tylko wtedy można powstawać na zmienność opinii człowieka, gdy bez żadnych słusznych powodów chwieje się jak chorągiewka na wieży; gdy w przerzucaniu się od zdania do zdania, od stronnictwa do stronnictwa idzie za chwilowém przywidzeniem, za panującym gustem. Jeżeli człowiek rzeczywiście się kształci, rozwija, nabiera doświadczenia, rozszerza krąg swoich wiadomości,

stosunków; tedy oczywiście opinie jego w wielu sprawach muszą ulegać zmianie. Prawda przeciwnie, trwa niezmienna; ani czas, ani okoliczności nie sprawiły, ażeby 2 X 2 nie stanowiły czterech. Możemy nawet twierdzić, że póki ludzie będą na ziemi, póty będzie to pewnikiem. Co większa, o to, co jest prawdą ścisłą, nigdy się ludzie nie spierają; tylko o prawdopodobieństwa, opinie, które jeden dzień tworzy, a następny niszczy, prowadzą utarczki czasem na słowa, czasem na pięści.

Skoro tedy wiemy, co jest opinia, jak się tworzy, jaka jéj różnica od prawdy i co jest warta; zobaczmy iloraką być może. Słyszymy więc o opiniach naukowych, politycznych, religijnych, o opinii prywatnéj i publicznéj. Opinie naukowe są tém samém, co hipotezy i właściwiéj byłoby je nazywać tym drugim terminem, gdyż do hipotezy przywiązujemy pewną naukową wartość, jakiéj opinia doraźnie powstająca miéć nie może. Opinie polityczne tworzą inny gatunek; na ich powstawanie wpływają przeważnie namiętności i interesa; opinie wielkich właścicieli ziemskich są za wysokiém cłem na zboże zagraniczne; opinie zaś wyrobników, kramarzy, rzemieślników w tym samym kraju, są za cłem niskiém, a nawet za zupełnie wolnym dowozem zboża. W jednem miejscu i w jednym czasie ludzie obstają za tolerancyą religijną, póki im z tém wygodnie; w tém samém miejscu i w innym czasie dowodzą, że tolerancya jest zgubną dla państwa, że siła jego zależy od spoistości religijnéj i doprowadzenia wszystkich do jednomyślności. Nie powinno to nikogo dziwić, kto pamięta, że na tworzenie się opinii wpływają namiętności, a przedewszystkiém interes; obrońcy tolerancyi w teoryi, na pokaz, dla zagranicy, mogą być i bywają w domu, u siebie, gdy o ich skórę, o ciepłe miejsce chodzi, najtwardszymi nietolerantami.

Wszystkie te jednakże gatunki opinii mniéj nas w téj chwili zajmują; możnaby o nich dużo napisać, ale czytelnik gotów zacząć ziewać: więc tylko jeszcze słówko o prywatnéj i publicznéj opinii.

Kiedy opinia z prywatnéj staje się publiczną? Zdaje się, że jak nikt nie zdoła oznaczyć, kiedy dzień w noc, a zdrowie w chorobę przechodzą, tak samo nikt nie potrafi orzec chwili przejścia opinii prywatnéj w publiczną. Wszystko tu jest względne i zależne od tego, jak rozumiemy zakres prywatny i publiczny, kto jest ten, o kim się opinia wypowiada, kto i gdzie ją wypowiada.

Gdy słyszymy, że opinia przeciwko p. X. stanowczo się oświadczyła, nie możemy literalnie nic wiedzieć, jaka to opinia prywatna, czy publiczna, a cóż dopiéro, gdyby chodziło o zdanie czy słusznie, czy niesłusznie! Powoli dowiadujemy się, że tę opinią utworzył

sam mówiący i jego przyjaciele; następnie, że ci panowie konkurują między sobą o taki lub owaki interes, że już się wodzili po sądach. Co gorsza, już i „Kuryer“ wydrukował wyrok sądowy; a ponieważ „Kuryer“ czyta sto tysięcy ludzi, więc oczywiście cała opinia publiczna zwróciła się przeciw skazanemu. Przypuszczając, że kiedykolwiek „Kuryer“ zdobędzie sobie sto tysięcy prenumeratorów i drugie tyle czytelników, pytanie, czy powtórzona przezeń jakaś opinia byłaby już publiczną, czy jeszcze prywatną? Oczywiście, odpowie zapewne każdy, co rozumie znaczenie wyrazów, że byłaby publiczną. Ilość słuchaczów lub czytelników pewnéj opinii sprawia zatém, że ją nazywamy prywatną, lub publiczną; ale nikt téj ilości jako stałéj oznaczyć nie zdoła. Zaledwie w przybliżeniu możemy powiedziéć, gdzie się kończy prywatny, a gdzie zaczyna publiczny charakter pewnego zdania. Tak np. możnaby powiedziéć, że opinia wyrażona w rodzinie jest prywatną; ale gdy ją zna dwie rodziny, lub dajmy na to 20 osób rozmaitych rodzin, czy już staje się publiczną? Nikt na to stanowczo nie odpowie.

Zdaje się wszakże, iż nie sama ilość słuchaczów, lub czytelników decyduje o tém, kiedy opinią uważać za prywatną, a kiedy za publiczną; należy chyba wziąć do rachunku jeszcze z n a c z e n i e osoby lub faktu, o jakich się tworzy opinia, jak niemniéj m o r a l n ą i u m y s ł o w ą wartość tych, co ją wyrabiają. Jakoż, sądzimy, że tylko o ludziach wybitniejszych, odznaczających się w tym lub owym zawodzie życia, może się wytwarzać i innych obchodzić opinia publiczna. Miliony szaréj rzeszy mało obchodzą obojętnego pospolicie słuchacza lub czytelnika, a jeżeli obchodzą, to dopiéro wtenczas, gdy od nich trzeba pobrać podatek, zaciągnąć rekruta, albo gdy jakiś badacz, etnograf, turysta lub publicysta raczy zejść z wyżyn olimpijskich i objawi światu, że np. negrzy z Konga są hultaje i powinni ustąpić miejsca europejskim kondotierom. Opinia, że negrzy są hultaje i głowy tępe upowszechni się powoli a potém rozgrzeszy chrześciańskie sumienie angielskiego lub niemieckiego kolonizatora, gdy ich obłupi, ogłupi i w końcu uprzątnie torując drogę cywilizacyi. Opinia jest potężna; rozgrzeszała już nieraz takie i podobne czyny, ale o jéj mocy jeszcze późniéj.

Jak nie o wszystkich ludziach, tak i nie o wszystkich sprawach wyrabia się opinia publiczna. Nietylko w kraju, ale w większém mieście, na jednéj ulicy, w jednym domu zachodzi mnóstwo faktów, o których wiedzą zaledwie najbliżsi sąsiedzi; sprawy te mogą żywo obchodzić bezpośrednio interesowanych, ale mało lub wcale nie obchodzą ogółu mieszkańców, a tém samém i opinia publiczna o nich wyrobić się nie może. Co innego, gdy sprawa jest wielkiéj wagi

i wszystkich w mniejszym lub większym stopniu dotyczy; wówczas jeżeli nie wszyscy literalnie, to przynajmniéj większość mieszkańców, spodziewających się szkody lub pożytku, zaczyna o niéj mówić, powstają rozmaite poglądy, tworzą się stronnictwa, wyrabia się opinia publiczna.

Nareszcie opinia, zwana publiczną musi brać początek od ludzi celujących umysłową i moralną wyższością. Nie napróżno pokrzywdzeni apelują do światłéj opinii publicznéj; co o ludziach i sprawach mówią przekupki, mało to kogo obchodzi. Ale gdy ich chwalą lub ganią wybitniejsi, znakomitsi spółobywatele, odczuwają wagę ich opinii i pragną bądź się usprawiedliwić z zarzutów bądź dowieść słuszności pochwały odpowiedniemi czynami.

Być może, iż nie przytoczono tu wszystkich okoliczności wpływających na pojęcie opinii publicznéj; do obecnego celu jednakże niechaj podane wystarczą: wszakże nie piszemy uczonego traktatu, tylko gawędę.

Jeżeli tyle i tak rozmaitych potrzeba warunków, ażeby opinia, zwana publiczną, była coś warta, pytanie, zkąd jéj moc pochodzi, skoro jak wiadomo, rzadko się zdarza, by owe warunki naraz się zbiegły. Jużeśmy wyżéj nadmienili, że opinią do tego znaczenia, jakie ma dzisiaj podniosło dziennikarstwo. Przypuszczamy, a nawet historycznie wiemy na pewno, że natura ludzka w głównych swoich rysach nie ulega zmianie, że zatém w dawnych ludziach grały te same namiętności, jakie dzisiejszymi miotają, że dawniéj podobnie jak dzisiaj ściérały się interesa może nie tak olbrzymie jak obecnie, ale tak samo popychające jednostki do zapasów, że tak samo jak dzisiaj ludzie myśleli, czuli, tak samo o sobie i sprawach swoich wydawali sądy, opinie, chociaż w tych sądach mogli się kierować innemi zasadami, niż dzisiejsi. Pomimo tego jednakże skłonni jesteśmy do mniemania, że opinia owych czasów, przed nastaniem dziennikarstwa, nie była taką potęgą, jaką jest dzisiaj.

Jakoż, łatwo rozumiéć mniejszą jéj wówczas potęgę. Gdy kogo chwaliła lub potępiała, głos jéj obijał się o mury jednego miasta, czasami przenikał daléj, zanotował go historyk, lub mówca, wprowadził na scenę komedyopisarz i na tém się kończyło. Wprawdzie i w tych granicach objawiona opinia, zwłaszcza nieprzychylna, pociągała za sobą ostracyzm; ale nigdy znaczenie jéj nie dorównywało potędze opinii, dzisiejszéj powtórzonéj przez tysiące dzienników obu półkuli. Dzisiaj przed oczami milionów staje pod pręgierzem winowajca lub bohater na piedestale—obaj rozebrani do nitki. Myśl o tym sądzie publicznym rozdającym postronki i wieńce przejmuje nieopisanym lękiem zarówno wielkich jak i małych. Zwycięzca

z pod Sedanu zarówno jak aktor na scenie biorą w rachubę, co o nich powiedzą spółcześni, a o tém dowiedzą się głównie przez prasę.

Zdawałoby się zatém, że to prasa, a raczéj jawność przez prasę nadawana czynom ludzkim, tak podniosła znaczenie opinii publicznéj. I rzeczywiście, obawa jawności, światła dziennego, stanowi arcypotężny hamulec na występnych i nadzwyczaj dzielną sprężynę dla prawych, dbających o dobre imię. Wprawdzie wielcy szwindlerzy wszelkiego gatunku lekceważą opinią; nawet w niektórych rasach daje się postrzegać jakby zaniknięcie wrażliwości na nią; ten lub ów potentat giełdowy, gdy go na szachrajstwie złapią, nie traci na sławie, byle znów na nogi stanął: jednakże ogólnie biorąc, wszyscy boją się opinii. Korzysta z tego szantażysta i straszy złych lub prostodusznych, że czyny ich opublikuje, póki mu się nie opłacą; psotnik ogłasza śmierć żyjących, żeby się na nich zemścić; spółzawodnik paraliżuje interesa przeciwnika, rzucając w prasie podejrzenie o jego wypłacalności; fabrykują się zwycięskie biuletyny o bitwach niebywałych dla podtrzymania zapału: wszystko to mizerne istoty i takież środki, stanowiące ujemną stronę jawności. Ale jak nie potępiamy noża dlatego, że się nim ktoś zarznął, tak nie potępiamy jawności i prasy dlatego, że jéj nadużyto do fabrykowania sztucznéj opinii.

Jest wszakże, oprócz jawności, inna okoliczność tłómacząca potęgę opinii publicznéj, a mianowicie wyższy nieco poziom umysłowego i moralnego rozwoju jednostek, aniżeli bywało dawnemi czasy. Można to widziéć oczywiście w społeczeństwach cywilizowanych, gdzie do honoru, sławy, dobrego imienia ludzie przywiązują wielką wagę. Wrażliwość ich na głos publiczny przychylny lub nieprzychylny jest wielka, nieraz zawielka, gdy np. nie lękają się, by ich obniesiono za oszustów, a drżą przed zarzutem tchórzostwa za odmówienie pojedynku. Bądź-co-bądź, jednakże, boją się opinii, stali się na nią wrażliwsi od tych dawnych bohaterów, co przegrywali tysiące dusz ludzkich w karty. Można jeszcze ubolewać nad fałszywém rozumieniem honoru, ale godziłoby się podnosić i rozwijać drażliwość na jego obrazę.

Tak sobie tłómaczymy znaczenie i moc opinii publicznéj. Potęga jéj wielka, może nie zawsze zasłużona ani zbawienna; wszakże liczyć się z nią potrzeba. Gdyby mogła działać zawsze na pohamowanie występku, na rozgrzanie uczucia i woli do czynów podniosłych, na wykorzenienie głupstwa i przesądów, byłaby niewątpliwie lepszym regulatorem życia jednostkowego i zbiorowego od paragrafów kodeksowych i ryglów więziennych. Ale już sama natura opi-

nii, jako sądu powierzchownego i doraźnego, jako rezultatu namiętności i interesów walczących z sobą ludzi, sprawiają, iż rzadko utrafi w istotę rzeczy, zrozumié powikłane i często bardzo głęboko ukryte pobudki czynów ludzkich. Dlatego wahaniami swojemi przypomina fale wód morskich kołysanych wiatrami, których żaden meteorolog naprzód obliczyć nie zdoła. Ztąd już widać, że sama opinia nie może służyć za regulatora ludzkiego postępowania; muszą jéj w pomoc przychodzić i paragrafy kodeksu i rygle więzienne.

Pozostaje nam do rozważenia stosunek jednostki do opinii publicznéj. Niejeden, przeczytawszy powyższe melancholiczne uwagi, gotów powiedziéć sobie: jeżeli opinia jest zlepkiem powierzchownych, namiętnych i interesowanych sądów jednych ludzi o drugich, nie będzież to sprzecznością, gdy nam mówią, że się z nią rachować potrzeba? Rzeczywiście, niejeden doznawszy cięgów opinii zwłaszcza w publicznym zawodzie życia, gdy go ciż sami ludzie jednego dnia czy miesiąca pod niebiosa wynosili, a drugiego w błocie unurzali, może zwątpić o prawdziwości przysłowia, jakoby głos ludu był głosem Bożym. Dlatego téż spotykamy w historyi mężów, którzy znając wartość opinii publicznéj, albo gardzili nią i chcieli dobrze robić wbrew głupiéj opinii, albo szczuci tym mniemanym głosem publicznym, cofali się do życia domowego, unosząc głęboki smutek nad zaślepieniem swoich spółczesnych. Jedni i drudzy chybiali w ocenianiu znaczenia i siły opinii: trzeba się z nią rachować, ani wyzywać i lekceważyć, ani drżéć jak liść osiny na każde szczeknięcie.

Utrzymują, że gdy wielu nazywa cię pijanym, to idź spać. A jeżeli jesteś trzeźwy i świadom téj trzeźwości, masz że się usunąć dlatego, że wielu tak się zdawało? Czyliż się nie zdarzało w dziejach, że jeden miał więcéj rozumu od setek tysięcy swoich bliźnich? W téj kolizyi jednostki z ogółem, tj. z opinią, leży tragiczna osnowa do dramatu, czy tragedyi, budzących w widzu i słuchaczu głęboką zadumę nad losami człowieka; ale nie ma odpowiedzi na pytanie, jakby w podobném starciu postąpić należało.

Uważmy chwilę, co już było powiedziano, że opinia publiczna dźwiga lub strąca przedewszystkiem ludzi publicznych, działaczów wybitnych, że objawia się z pewną mocą głównie wówczas, gdy interesa wielu, gdy sprawy wielkiéj wagi, czy to wewnętzne, czy międzynarodowe, budzą w umysłach obawy lub nadzieje licznych warstw społecznych.

Słyszymy nieraz ludzi zapewniających, że nie dbają o opinią, że im wszystko jedno, co o nich piszą lub mówią spółobywatele, sąsiedzi i znajomi. Otóż, pozwalamy sobie wątpić o szczérości

tych zapewnień; albo musielibyśmy przypuścić w nich zupełne zaniknięcie poczucia honoru. Że i takie indywidua bywają, to nie ulega wątpliwości; ale też nie mówimy o wyjątkach. Przeciwnie, można przyjąć za ogólne prawidło, iż wszyscy ludzie w społeczeństwie cywilizowaném są mniéj lub więcéj czuli i wrażliwi na opinią, jaką o nich mają spółobywatele. Kupiec, rzemieślnik, gospodarz, uczony, prawnik, lekarz, aktor, literat, a szczególniéj dwaj ci ostatni są aż do zbytku wrażliwi i drażliwi na pochwały lub nagany opinii. Od niéj zależy ich sława i byt powszedni; starają się téż dogadzać gustowi publiczności. Ale nietylko na tych stanowiskach ludzie muszą się rachować z opinią; daleko więcéj głos jéj waży względem tych, którzy zajmują najwydatniejsze miejsce i kierują sprawami ogółu. Lekceważenie opinii, nie jednego z najpotężniejszych ministrów doprowadziło do upadku; świadkiem tego dzieje dawniejsze i nowsze tych społeczeństw, gdzie opinia mogła się swobodnie wyrazić. Teoretyk, poszukujący prawdy absolutnéj badacz, zgryźliwy poprawiacz wszystkich oprócz siebie, mogą się nie zgadzać z opinią publiczną w téj lub innéj kwestyi; mogą nie zdejmować kapelusza do ukłonu, jak czynił w mojéj okolicy pan starosta zwany kwakrem, mogą się zamknąć w urojonéj lub rzeczywistéj wyższości swojéj; nigdy—mąż czynu, pragnący osiągnąć cele praktyczne, ożywić zdrętwiałe społeczeństwo. Tego musi popierać opinia publiczna; on musi być z nią w zgodzie, albo upadnie.

A jeżeli w dążeniach swoich do osiągnienia celów praktycznych on wyżéj stoi od opinii, jeżeli lepiéj rozumié środki i drogi wiodące do rezultatu, czy i wtenczas ma się starać o zgodę z opinią? Jest-to, jak powiedziano, sytuacya tragiczna; wyjść z niéj cało, i sławy nie stracić i cel osiągnąć, prawie niepodobna. Uciec z placu, rzecz szpetna; płynąć przeciw wodzie, niebezpieczna. Teoretyk może opinii ustąpić z drogi, swoje przekonania zachować dla siebie, może apelować do lepiéj poinformowanéj przyszłości; ale mąż, stojący na czele spraw publicznych, musi szukać wyjścia, albo skazać się na wycofanie i zapomnienie. I w takiéj-to sytuacyi najlepiéj można poznać genialność praktycznego męża. Wié on i z historyi i z własnego doświadczenia, że opinia publiczna, chociaż jest wynikiem sądów powierzchownych, namiętnych i interesowanych, może jednakże stać się potężnym jego sprzymierzeńcem; musi więc dążyć do pozyskania sobie tego alianta, bo w przeciwnym razie kroku naprzód uczynić nie zdoła. Może się nawet zdarzyć, iż opinia, wyobrażająca poniekąd ducha społeczeństwa, nie wiele od prawdy i rzeczywistego stanu rzeczy odbiega, że więc warto i jéj głosu wysłuchać, słowem, że się trzeba z nią obliczyć. Wié on daléj i to,

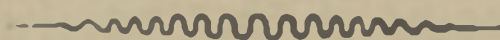
że wielogłowa publiczność jest czasami podobna do chorego dziecka, któremu dając lekarstwo brzeg kubka słodyczą smarują; że mu trzeba pozornie pochlebić i do kaprysu niby się nagiąć, byle cel osiągnąć; że trzeba lawirować między ukrytemi pod wodą rafami; ażeby i siebie i statku nie zgubić. Więc chociaż mu to wstrętne, posłucha barda, który dobrze znał swoich, gdy o nich śpiewał, że czapką, papką i solą, ludzie ludzi niewolą.

Gdzie użyć czapki, gdzie papki, a gdzie soli, to już musi być rezultatem przyrodzonéj bystrości umysłu, rozległéj znajomości ludzi i ich interesów, na to chyba nikt z góry recepty nie napisze. Tak, czy owak, wstępnym bojem, czy kunsztownêm obleganiem opinią trzeba zdobyć i pociągnąć za sobą, gdy się chce ważnych spraw dokonać. Przebaczy ona wówczas błędy prywatnego życia, dojrzy genialność tam, gdzie wprzód widziała miernotę, pójdzie za swoim ulubieńcem, myśląc, że to ona jego, a nie on ją prowadzi. Jeżeli następnie jedno i drugie powodzenie uwieńczy pracę, a przez to wykaże trafność obmyślanych środków, wybranéj drogi; wówczas on opinią będzie kierował, bo nic tak ludzi nie przekonywa i nie podbija, jak sukces, powodzenie.

Sztuka kierowania ludźmi należy do najtrudniejszych; gdyby do nich przemawiały tylko argumenta wyrozumowane, nie jeden szkolarz byłby doskonałym rządcą. Tymczasem, rzecz to niejednokrotnie sprawdzona, że pobudkami do działania w wielkich masach ludzkich są namiętności, a szczególniéj interesa. Dają nam one znać o tych pobudkach za pomocą opinii, wyrażanéj w naszych czasach głównie przez prasę. Można tę opinią nazywać, jak się podoba: niedorzeczną, zmienną, ale z rachuby wypuszczać jéj niewolno, jeżeli chcemy donioślejszy, praktyczny cel osiągnąć.

Jeżeli zaś opinia jest tak ważnym czynnikiem w życiu społecznêm, to nie gardzić nią, ale raczéj pracowaćby należało nad jéj wyrobieniem, nad hamowaniem dorywczych, czy to ganiących, czy chwalących sądów, tak u nas pospolitych, a tak szkodliwych zarówno dla potępionych jak i dla wieńczonych niezasłużenie.

K.





Z ODWIEDZIN LONDYNU.

I. British Museum. — Przechadzka po ulicach.

W kwietniu 1886 roku byłem w Paryżu, zmęczony dwuletnią bez przerwy pracą naukową i tak jak nigdy przedtém pragnąłem wrażeń nowych i oryginalnych, wrażeń tych, które prawie tylko podróże dać nam mogą. Dawniéj już w 1883—4 poznałem i po kilka razy zwiedziłem Włochy, Szwajcaryą, Francyą południową, Austryą i Niemcy—więc wiele pięknych i ciekawych rzeczy straciło w tych krajach dla mnie powab nowości, i dla tego postanowiłem porzucić kontynent.

17 kwietnia wyjechałem z Paryża do Londynu—tam chciałem pobyć kilka tygodni aby się przygotować do podróży na południe. Przedstwiał mi się zaraz na wstępie Londyn w zwykłéj swéj szacie, gęstéj mgle. Zamieszkałem nie w hotelu tylko w pokoju prywatnie wynajętym, blisko British Museum, na Gower place. Ulica cała utworzona z małych dwupiętrowych domków, mających po dwa okna z rzędu od ulicy, i tak do siebie podobnych, że gdyby nie nosiły numerów, sam właściel by po niczém swego domu poznać nie mógł. Wszystkie mają ten sam kolor, ten sam dach, ten sam kształt drzwi, okien, przed każdym te same szlachetki, pod każdym taka sama piwinica, nad każdym taki sam komin—a prawdopodobnie w każdym ten sam rozkład mieszkań, po dwa pokoje na każdém piętrze—bo wszystkie zostały zbudowane naraz przez tego samego przedsiębiorcę. Ani sklep, ani szyld żaden nie łamie téj jednostajności—są to mieszkania mieszczan, mających zajęcia swe w innych dzielnicach. Mój gospodarz był złotnikiem i miał sklep na Regent-street, zajmował ze swoją rodziną dwa pokoje parterowe, dwa na

drugiem piętrze a w suterenach miał kuchnię i jeszcze jeden pokój—dwa zaś pokoje pierwszego piętra wynajmował. Takich ulic w Londynie jest wiele: w tém się okazuje charakter wielkiéj stolicy, w któréj wszystko ma swoje oddzielne siedlisko: są spokojne, monotonne ulice, w których ludzie tylko mieszkają—a gdzieindziéj znów głównie widać handel i przemysł. Mój gospodarz miał sześcioro dzieci. Takich obywateli jest więcéj w Anglii niż we Francyi—to téż nic dziwnego, że Anglikom materyału nie brak na zaludnienie olbrzymich kolonii. Narody, mające odwagę rozmnażania się, zawsze otrzymają przewagę nad temi, których kobiety boją się popsuć sobie kształty ciała przez macierzyństwo lub miéć za wiele pracy około dzieci. A w Paryżu nietylko bogate damy mają podobne obawy—spotykamy je i u mieszczanek biédnych, a nawet u robotnic. Kontrast ten pierwszy, jaki spotkałem na wstępie do Londynu, między Francyą a Anglią nie był przypadkowym. Potwierdza jego istnienie statystyka i historya obu narodów. Wszyscy poeci śpiewali piękności *de la belle France*, zaczynając od „*Chanson de Roland*“ aż do Victora Hugo—ale właśnie zdradliwe to piękne słońce, to piękne niebo Francyi czyni naród płochym i do zabaw przedewszystkiém skłonnym—a ciemne mgły Anglii koncentrują życie w ogniskach rodzinnych, i budzą marzenia o tych dalekich obcych krajach, które Anglik powoli zaludnił i zależnemi od siebie uczynił.

Jakem tylko się zainstalował w nowém mieszkaniu, pierwszą wizytę zapragnąłem złożyć *British Museum*. Frontowa kolumnada z 40 kilku kolumn jońskich jest wspaniała i większe wrażenie robi niż słynna kolumnada Luwru w Paryżu, dla tego że kolumny są ustawione nie w jednym rzędzie, tylko w linii kilka razy załamanéj, tak że środek daléj od widza leży niż boki, a oprócz tego około głównego wejścia drugi rząd kolumn, równoległy od pierwszego, powiększa wrażenie wielkości i powagi. Kolumny wskutek nierównego położenia swego rozmaicie są oświetlone i cień ich jeszcze więcéj urozmaica kształty. Poważna ta i wielka kolumnada z odgrodzonym spokojnym placem przed nią stanowi wejście odpowiednie do świątyni pracy naukowéj, jaką jest Muzeum Brytańskie. Warto przypomniéć, jak powstało to dzieło olbrzymie, ta najlepiéj urządzona w całym świecie biblioteka, ten zbiór niezrównany bogactw artystycznych i naukowych. Nie jest British Museum tak dawne jak biblioteka narodowa Paryska ani jak mnogie słynne biblioteki we Włoszech—liczy ono zaledwie sto kilkadziesiąt lat wieku; istnienie swoje zawdzięcza inicyatywie prywatnéj. Dnia 11 Stycznia 1753 umarł Sir Hans Sloane, lekarz królewski i następca Newtona jako prezes *Royal Society*, mając 92 lata. W ciągu długiego życia swego

zebrał kolekcyą różnych przedmiotów i książek, która go kosztowała 50.000 funtów szterlingów i testamentem ofiarował rządowi angielskiemu tę kolekcyą za 20000 funtów szterlingów, które miały być wypłacone jego spadkobiercom. W razie, gdyby ta ofiara nie została przyjęta, podobna propozycya miała być zrobiona Akademiom Petersburskiéj, Paryskiéj, Berlińskiéj i Madryckiéj, a gdyby wszystkie akademie odmówiły, wtedy dopiero dawał Sloane tę bogatą kolekcyą do rozporządzenia swoim dzieciom. Parlament angielski przyjął ofiarę, dodał do 20000 funtów szterlingów, zapłaconych za zbiory Sloane'a, jeszcze 10000 na zakup zbioru rękopisów Harleya'a, i postanowił połączyć te zbiory z kolekcyą Cottona, która od 1700 r. była już własnością narodową. Zarząd British Museum, które wtedy zostało utworzoném, powierzono 41 opiekunom (*trustees*), z których 6 przedstawicieli rodzin Sloane, Cotton i Harley, 20 wysokich dygnitarzy państwa i 15, wybranych przez poprzednich, ludzi zasłużonych i kompetentnych.

Dla pomieszczenia tych zbiorów zakupiono za 10000 funt. szterl. Montague House, wtedy położony na granicy miasta, i Muzeum zostało otworzone dla publiczności w roku 1759, w dniu 15 stycznia. Składało się ono wtedy z trzech oddziałów: książek, rękopismów i historyi naturalnéj. Z początku ilość odwiedzających była bardzo niewielka, dopiero w XIX wieku zaczęła wzrastać.

Od maja 1807 roku do maja 1808 odwiedziło Muzeum 13046 osób; w dziesięć lat później, od marca 1817 do marca 1818 już było 50172 osób; w 1828 r. 81228 w 1838 r. 266008, w 1848 już 897985 a wreszcie w 1851 roku aż 2527216.

Akt parlamentu ustanawiający Brytańskie Muzeum pozwolił na urządzenie loteryi, za pomocą któréj zebrano 100000 funtów szterlingów na zakup nowych okazów i książek. Do końca XVIII stulecia nie wydawano na książki więcéj nad 400 f. szt. rocznie. Ale w XIX stuleciu wydatki wzrosły znacznie:

od 1806—1816 roku 33173 funtów szterlingów i oprócz tego 35000 funtów na zakup *Elgin Gallery*.
od 1816—1826 roku 30588 f. szt.
od 1826—1836 wydano 49434 f. szt.
od 1836—1846 więcéj niż 160.000 f. szt.

Wreszcie od 1859 roku wydaje British Muzeum 10.000 funtów szterl. na książki i około pięciu tysięcy funtów szterlingów na rysunki i rękopisma. Należy wziąć pod uwagę, że kupuje tylko książki zagraniczne, gdyż angielskie wszystkie, jakie tylko wychodzą, otrzymuje darmo.

Nowy gmach, który dzisiaj w zdumienie wprowadza podróżujących, został wybudowany na tém samém miejscu, gdzie dawniéj stał Montague House w ciągu 14 lat, od 1823—1847. Bardzo interesującym szczegółem wydało mi się to, że z pomiędzy pierwszych 6 dyrektorów biblioteki Muzeum od 1756—1866, trzech było tylko Anglików a trzech cudzoziemców, z pomiędzy których ostatni, Włoch, Panizzi, nazawsze połączył swoje nazwisko z dziejami Muzeum przez wybudowanie wspaniałéj, jedynéj w świecie co do rozmiarów i wygody czytelni (*Reading room*) dla pracujących naukowo przeznaczonéj, na którą rząd angielski wydał 150,000 funtów szterlingów. Biblioteka Sloane, która wiek temu liczyła 50,000 tomów, wzrosła przez zakupy i ogromne donacye królów angielskich i osób prywatnych do miliona z górą tomów, i wciąż wzrasta, tak, że wymaga doskonałéj administracyi aby wszystko w porządku utrzymać. Oprócz dyrektora biblioteki, który pobiera 1200 funtów szterlingów i ma mieszkanie w gmachu biblioteki, jest 4 pomocników dyrektora, pobierających po 750 funtów szterl. rocznie, 13 bibliotekarzy pierwszéj klasy, którzy zaczynają od 250 f. szt. rocznie, z roczną podwyższką po 15 f. szt., aż dojdą do 450 f. szt. rocznie po 10 latach urzędowania. Daléj następuje 26 bibliotekarzy drugiéj klasy, którzy zaczynają urzędowanie od 120 f. szt. z roczną podwyżką pensyi o 10 f. szt. aż dojdą do rocznéj pensyi 240 f. szt., czyli tyle, ile wynosi utrzymanie profesora uniwersytetu w Dorpacie. Oprócz tych 44 wyższych urzędników, jest jeszcze w saméj bibliotece 83 posługaczy,— a pomiętajmy, że oprócz biblioteki, Muzeum Brytańskie zawiera jeszcze 6 innych działów: rękopismów, rysunków, wschodnie starożytności, rzymskie i greckie starożytności, monety i medale, średniowieczne pamiątki; możemy więc sobie wyobrazić ile kosztów pociąga za sobą utrzymanie Muzeum i ile osób w niém znajduje zajęcie.

Wszystkie te szczegóły i wiele innych, których nie pamiętam, zawdzięczam jednemu z bibliotekarzy a ziomkowi naszemu, p. Janowi Naake z Warszawy. Przybył on 30 lat temu do Londynu z zamiarem krótkiego pobytu. Ale niebawem spotkał angielkę, która go nazawsze do Londynu przywiązała: został jéj mężem i bibliotekarzem British Museum. Pan Naake najprzód zaprowadził mnie do czytelni (*Reading room*). Sala ta okrągła, średnicy stóp 140 a wysokości 106, posiada po Panteonie rzymskim największą kopułę w świecie, ze szkła i żelaza zbudowaną, i robi daleko większe wrażenie niż Panteon (średnica kopuły Panteonu tylko o 2 stopy większa): lekka budowa przezroczysta wpuszcza od góry (przez 20 okien mających po 27 stóp wysokości a po 12 szerokości) światło, odbija-

jące się o ogromne półki z książkami i wielkie stoły pracy; podczas kiedy w Panteonie cień panuje zmarłych i świecą tylko chrześciańskie ołtarze na pogańskich gruzach wzniesione, wraz z wieńcami u grobu zmarłego Wiktora Emanuela co rok składanemi, tu w British Museum chociaż równa cisza, jak w rzymskim Panteonie, istnieje, życie najintensywniejsze wre w głowach kilkuset pracowników, którzy codzień kilka tysięcy tomów z biblioteki żądają; życie potężne pracowników naukowych, którzy w ciszy i skupieniu nowe dzieła tworzą. Dawniéj się dziwiłem dlaczego Anglia tylu myślących ludzi, tylu wielkich pisarzy wydała. Dziś już rozumiem, że naród, który utworzył British Museum, musi nieść pochodnię światła wiedzy i nauki przed wszystkiemi innemi.

Ten raj dla ludzi nauki jest otwarty codzień od 9-téj do 7-téj w zimie, a do 8-éj w lecie,—nie tak, jak w Paryżu, gdzie *Bibliothèque Nationale* zaledwie o 10-téj się otwiera a już o 4-téj się zamyka. Ściany sali są wytapetowane zupełnie książkami, nawet niektóre drzwi mają półki, pełne książek, tak, że jak wokoło spojrzéć, widzi się jeden wielki wał półek z książkami, wysokości 25 stóp! U dołu tego wału, tak daleko, jak ręką sięgnąć można, jest 20,000 dzieł najważniejszych: encyklopedyi, słowników, bibliografii, atlasów, podręczników, wydań najlepszych pisarzy. Te 20,000 tomów są zupełnie oddane do rozporządzenia publiczności. Każdy, kto raz otrzymał pozwolenie korzystania z czytelni, może, nie pytając się nikogo, brać które zechce z tych podręcznych książek, może zostawić je na miejscu, gdzie czytał, bo posługacze odniosą do półki, z któréj są wzięte.

Oprócz tych 20,000 tomów do dyspozycyi publiczności, jest jeszcze w wyższych piętrach wału, stanowiącego ścianę sali, 40,000 książek, z pomiędzy takich, które najczęściéj bywają zapotrzebowywane, tak, aby posługacze na żądanie najprędzéj mogli je przynieść. Reszta dzieł należących do biblioteki jest ułożona w galeryach ze szkła i żelaza, z podłogami przezroczystemi, z dachem szklannym, tak, aby światło mogło przenikać od góry aż do dołu, gdyż pomimo bezpiecznéj budowy gmachu, zarząd zabrania użycia wewnątrz murów biblioteki jakiegokolwiek światła sztucznego, świec i lamp, aby uniknąć wszelkiéj możliwości pożaru. Tylko czytelnia jest oświetlona lampami elektrycznemi, zawieszonemi u góry kopuły, w wielkiéj odległości od pracujących, tak, że sprawiają wrażenie światła dziennego.

Po tych galeryach, które otaczają centralną czytelnię, oprowadzał mnie p. Naake i uskarżał się, że bardzo rzadko Polacy odwiedzają bibliotekę i mało kto z naszych ziomków korzystał z jéj

skarbów. Aby przekonać o bogactwie zbiorów, zaprowadził mnie do galeryi, w której się znajdują książki polskie. Trudno wyrazić zdziwienie, gdym ujrzał tak wielką bibliotekę dzieł naszych, kurzem pokrytych i przez nikogo nie czytanych. W kraju naszym pewno mało jest bibliotek, któreby tyle książek polskich zawierały, co British Museum. Nie tylko dawnych autorów, np. Długosza, Kadłubka, Orzechowskiego, jest wiele wydań bardzo cennych i starych — ale cała nowsza literatura nasza jest tam przedstawiona. Wyliczać niepodobna — więc tylko aby dać pojęcie o tém bogactwie, powiem, że Kraszewskiego albo o Kraszewskim naliczyłem 154 dzieł, w czém 20 pod pseudonymem Bolesławity a 2 pod pseudonymem Pasternaka. Z żyjących autorów i to młodszych nie brak ani Orzeszkowéj, ani Okońskiego, ani Chmielowskiego i t. d. Z dzieł pomnikowych znajdujemy tam naturalnie Estreichera, Słownik Lindego w dwóch wydaniach, Orgelbranda Encyklopedyą, Bibliotekę Turowskiego i t. d. Również ogromne jest tam bogactwo pism peryodycznych, z pomiędzy których widziałem i bardzo dawne, jak np. *Acta litteraria regni Poloniae et magni ducatus Lithuaniae* z 1757 r. i współczesnych bardzo wiele, tak, że samych pism w Warszawie wydawanych posiada British Museum 47, od „Kuryera Świątecznego“, aż do „Biblioteki Warszawskiéj.“ Oprócz tego wiele pism w innych miastach wychodzących, i to często od początku istnienia swego nadchodziło do British Museum. Gdy weźmiemy pod uwagę, w jak doskonałym porządku to wszystko jest tu utrzymane, z jaką hojnością Anglia dopuszcza cudzoziemców i do zarządu i do pracy w British Museum, będziemy głosować za tém, aby uznać tę bibliotekę za centralną bibliotekę ziemi całéj i aby wszyscy wydawcy-nie tylko angielscy, bezpłatnie książki swe do British Museum posyłali.

Od nas mało kto jedzie do Londynu w celach pracy naukowéj: wszystkich ciągnie do siebie Paryż, lub téż bliżéj zostają w którym z uniwersytetów niemieckich. Pochodzi to ztąd, że język angielski mniéj jest rozpowszechniony niż francuski i niemiecki, a młodzi ludzie wyjeżdżający za granicę dla pracy naukowéj nie zdają sobie dokładnie sprawy z warunków pobytu w Londynie. Wyobrażają oni sobie, że życie w Londynie jest droższe, podróż dalsza, a biblioteka londyńska nie dorównywa słynnéj z dawnych czasów bibliotece paryskiéj. Tymczasem w Paryżu dowiaduję się rzeczy niesłychanéj, że biblioteka narodowa francuska nie ma katalogu! Dyrektor Leopold Delisle w sprawozdaniu z 3 czerwca 1885 roku, ocenia wprawdzie ilość książek znajdujących się w paryskiéj bibliotece na 2,200,000, ale nie ma innéj podstawy dla téj oceny, jak

tylko wymiary półek, których długość razem wzięta, gdyby w jednym rzędzie książki ustawione były, wynosiłaby — według niego — 34 kilometry, a p. Delisle przypuszcza, że przeciętna grubość tomu jest 1½ centymetra, w ten sposób otrzymuje ową fantastyczną liczbę 2,200,000, która bardzo być może po zkatalogowaniu i obliczeniu książek zredukowaną zostanie do połowy. W tych 34 kilometrach naturalnie są liczne i miejsca próżne na półkach i boczne ściany tychże, a przytém książki nigdy tak ściśle ustawione być nie mogą, aby zajmowały tylko tyle miejsca, ile suma ich grubości wynosi. Dlatego bezstronny sędzia, mając przed oczyma katalog British Museum, a wiedząc że ilość rzeczywista tomów biblioteki Paryskiéj nie jest obliczona, odrazu przyzna, że biblioteka Londyńska jest bogatszą, gdy się dowié, że długość półek téj biblioteki wynosi o 6 kilometrów więcéj niż wychwalana przez p. Delisle długość półek francuskiéj *Bibliothèque Nationale.* Ponieważ Anglicy wiedzą, że nie mają więcéj niż milion kilkaset tysięcy tomów, więc dowolna liczba p. Delisle 2,200,000 tomów wydaje się nam bardzo nieprawdopodobną.

Nie tylko bogactwo biblioteki zaleca Londyn przed Paryżem dla pracy naukowéj, ale téż i warunki życia w Londynie więcéj jéj sprzyjają. W Paryżu biblioteka jest położona w dzielnicy, w któréj mieszkania są dla uczonych niedostępnie drogie, — trzeba więc codziennie czas tracić na przejechanie omnibusem z *Quartier Latin* na drugą stronę Sekwany, co bardzo często opóźnienie za sobą pociąga i kosztuje mniéj więcéj 9 franków miesięcznie. British Museum mieści się w dzielnicy, w któréj wiele mieszkań można znaleść tanich i bardzo wygodnych, z usługą staranną i herbatą rano i wieczór. W Paryżu wciąż żyć trzeba w hotelu, i najczęściéj przy skromnych środkach trzeba znosić niedbalstwo służby hotelowéj, nieporządek i nieczystość. W Londynie zaś w wielu mieszkaniach usługuje sama gospodyni i dba o wzorową czystość i punktualność. Gospodyni taka ma do obsłużenia dwa pokoje tylko i może wszystko zrobić porządnie. Garson hotelu w Paryżu musi uprzątnąć dziennie w kilkunastu mieszkaniach i robi to naprędce, bo nie widzi w tém swojéj korzyści, aby wszystko było zrobione starannie.

W Paryżu stołować się trzeba zawsze w restauracyach lub hotelach, gdzie wszystko na większą skalę, ale też najrzadziéj bywa przygotowywane z uwzględnieniem hygieny; w Londynie zaś bardzo łatwo znaleść stół w rodzinie gospodarza domu, z pożywieniem zdrowém, taniem i obfitém. Zresztą ze statystyki wiadomo, że Londyn jest najzdrowszą z pomiędzy wielkich stolic europejskich.

Oprócz tego w Londynie biblioteka w lecie jest otwarta jedenaście godzin dziennie, w zimie dziesięć, a w Paryżu tylko 6—8 godzin; w Londynie można zażądać naraz kilkudziesięciu tomów i dać je do zachowania do dnia następnego, a w Paryżu, gdy prosiłem o zarezerwowanie na dzień następny czterech lub pięciu książek, dowiadywałem się, że i na to brak miejsca. Obsługa jest w Londynie daleko lepsza i prędzéj się dostaje żądaną książkę niż w Paryżu, gdzie wskutek braku wystarczającéj ilości urzędników wielki brak ładu panuje i nieraz książki zapotrzebowanéj znaleść nie mogą. Jeśli jakiéj książki nie ma w bibliotece, w Paryżu usłyszéć można ironiczną uwagę, „że wszystkiego kupować niepodobna", a w Londynie wnosi się tytuł tego dzieła do osobnéj księgi i najczęściéj bywa sprowadzane.

Gdym poznał wszystkie te okoliczności, niezmiernie żałowałem, żem sam się zamiast do Paryża wprost do Londynu nie udał, gdzie w krótszym czasie daleko więcéj można przeczytać i poznać niż we Francyi. Urządzenie czytelni uwzględnia wszelkie wygody pracowników—a jest miejsce na więcéj niż 400 osób. Podłoga wysłana miękką masą, tak, aby odgłos kroków nie przeszkadzał czytelnikom; przed każdém miejscem fotel wygodny—a na stole przed fotelem półka do książek, pulpit, atrament, pióro, bibuła, nóż do przecinania kartek, — czego wszystkiego w Paryżu nie ma. W samym środku okrągłéj sali znajduje się biuro zarządu, które przyjmuje i wydaje książki. Aby dostać jakąkolwiek książkę, wystarcza napisać na jednéj z przygotowanych do tego kartek tytuł i numer książki, oraz miejsce zajmowane przez czytelnika, i wrzucić tę kartkę do pudełka na to przygotowanego, a po upływie kwadransa zostaje książka przyniesiona na wskazane miejsce i można ją umieścić na ruchomym pulpicie tak, jak jest najwygodniéj. Pulpity te są małém arcydziełem, gdyż stosownie do życzenia dają się ustawić tak, jak kto pragnie, lub téż wsunąć w ścianę szafki odgradzającéj czytelnika od innych. Gdy kto w ciągu dnia chce wyjść na kilka godzin, nie potrzebuje tak jak w Paryżu oddawać do biura wszystkich książek — tylko je zostawia na swojém miejscu, a gdy wróci, zawsze zastanie wszystko nienaruszone. Zresztą, dla odpoczynku, w każdéj chwili można przejść się po galeryach artystycznych tegoż samego Muzeum,— a także aby co zjeść, nie potrzeba jak w Paryżu wychodzić z gmachu biblioteki, bo wewnątrz British Museum jest restauracya.

Trudno wyobrazić sobie więcéj wygody, porządku i ułatwień w pracy, niż przedstawia nam ta biblioteka. Pracując tam, jesteśmy jakby w domu, bo jakkolwiek sala jest ogromna, z kopułą więk-

szą od kopuły św. Piotra w Rzymie, to pojedyńczy pracownicy są oddzieleni od siebie w ten sposob, że patrząc przed siebie, nikogo zobaczyć nie można i dopiéro obracając się na prawo lub na lewo, widzi się sąsiadów najbliższych. Jest-to to samo urządzenie tak oryginalne, które spotykamy w wielu restauracyach angielskich: w środku stołu wznosi się ściana odgradzająca osoby siedzące z jednéj strony od tych, które siedzą z drugiéj, — albo téż stoły są oddzielone od siebie równoległemi ścianami wysokości wystarczającéj aby zakryć resztę sali. W British Museum przegrody te idą od środka sali do jéj ścian, i trzeba stanąć w pośrodku aby je wszystkie okiem ogarnąć. W środku sali znajduje się téż ustawiony katalog, składający się z 2000 wielkich tomów *in folio*. Salę prawie zawsze, w ciągu pobytu mego w Londynie zastawałem pełną, i pomimo wielkiéj ilości książek, która przez ręce publiczności przechodzi, wszystko w największym jest ładzie i prawie nigdy nic nie ginie. To téż praca w British Museum jest prawdziwą rozkoszą; tam w każdéj chwili o każdéj wątpliwéj kwestyi można zasięgnąć zdania największych ludzi, jacy o niéj pisali, tam pod ręką się ma wszelki materyał do najogólniejszych wniosków i poglądów. Pisma peryodyczne wszystkich części świata podają nam szczegóły życia w różnych krajach, możemy się dowiedzieć z czego się cieszą, czém się smucą, nad czém pracują obywatele wielu narodów. Nie wychodząc z téj wielkiéj sali, możemy zbadać wszystko, co zapragniemy, w ilustrowanych kosztownych wydaniach oglądać obrazy przedmiotów, portrety osób, które nas interesują, i doznać tych najrozmaitszych wrażeń, jakich doznać można, czytając autorów różnych stuleci, różnych narodów, różnych charakterów. Tkwi w tém nie tylko zadowolenie osobiste i egoistyczna rozkosz,— ale też źródło wiedzy, która w wielkiéj części może zastąpić doświadczenie i poprowadzić myślącego człowieka na nowe drogi. U wielu osób pragnienie dowiedzenia się szczegółów rzeczywistych lub zmyślonych egzystencyi jest tylko bezmyślną ciekawością, łakomstwem wyobraźni, pragnącéj mieć przygotowany już przez innych materyał: jest to stan pensyonarek i gimnazyastów pożerających powieści. Ale gdy dalszy rozwój już obudzi chęć sądu samodzielnego i działalności własnéj, wtedy już nie dla zabawienia wyobraźni pragniemy szczegółów i faktów,— lecz aby uzyskać w nich podstawę rozumowania i uogólnienia. Ileż to razy zdarza się nam, że dla sprawdzenia jakiegoś poglądu, dla rozwiązania jakiegoś społecznego zadania, potrzebujemy wiedzieć, co i jak w różnych miejscach się działo lub dzieje! Pewno żadna biblioteka w świecie tak łatwo tych potrzeb nie zaspokoi, jak British Museum.

II. Spacer po Londynie.

Każdego miłośnika nauki i wiedzy w pierwszym czasie pobytu głównie przyciągnie British Museum, ale z czasem trzeba ochłonąć z tego pierwszego wrażenia i zwrócić się od książek do rzeczy i ludzi. Pierwsze spostrzeżenia, jakie robimy w nowém, poprzednio nieznaném miejscu, najwięcéj pozostają w pamięci, a często téż odnoszą się do najbardziéj charakterystycznych cech nowego otoczenia.

To co mnie na wstępie w Londynie uderzyło najwięcéj i ciągle prześladowało podczas przechadzek po mieście, to niesłychana ilość ogłoszeń. W Paryżu także widać wiele ogłoszeń i to nieraz bardzo dowcipnych, jak np. w czasie wyborów do parlamentu, kiedy wszyscy stają przed odezwami wyborczemi, jeden krawiec kazał porozlepiać afisze, na których stylem takich odezw i za pomocą różnych porównań wyborów politycznych z wyborem krawca, u którego należy obstalować ubranie, zalecał swoję firmę jako najtańszą i najsumienniejszą, i przyrzekał, że zapewni wszystkim tym, co go za swego krawca wybiorą, to stanowisko wybitne, jakie zawsze w naszym wieku z dobrym krojem ubrania jest połączone. Znowu jakiś fabrykant mydła kazał ogłoszenia o swém mydle roznosić murzynom z białemi rękoma, i tłómaczył, że to od jego doskonałego mydła murzynom tym ręce zbielały. Takich mniéj lub więcéj udatnych dowcipów nie brak w Paryżu, a także we Włoszech, ale zupełnie innym jest charakter ogłoszeń angielskich — w nich przemysłowcy nie pragną wcale oryginalnością ogłoszenia przyciągnąć, tylko chcą przekonać publiczność o praktycznych zaletach przedmiotu wystawionego na sprzedaż, i ciągle przypominać jéj o swych wyrobach lub towarach. To téż ogłoszenia angielskie są niezmiernie uparte i spotykamy je wszędzie, aż do znużenia. Omnibusy są tak pokryte ogłoszeniami, że trudno odszukać na nich napis oznaczający zkąd i dokąd dany omnibus idzie: w pismach, wśród innych wiadomości są wtrącone reklamy, tak, że trzeba nie małéj wprawy, aby czytając gazetę je opuścić. W restauracyach, na ulicy, w teatrach, wszędzie prześladują publiczność ogłoszenia, a chociaż te sposoby już i do innych krajów się przedostały, to skala zastosowania ich jest w Londynie o tyle większą niż w Paryżu, Berlinie lub Wiedniu, że zupełnie nowe wywołują wrażenie, i podróżnik znudzony i zmęczony musi zachować w pamięci te firmy, które z największą wytrwałością i uporem swe wyroby ogłaszają. Proszę porównać ilość ogłoszeń w *Times*'ie z ilością ogłoszeń w pismach fran-

cuskich i niemieckich, a przyzna mi czytelnik, że Anglicy pod tym względem wyprzedzają inne narody europejskie.

Nie jest to tylko bezmyślną praktyką—i owszem, przemysłowiec angielski bada skuteczność swoich ogłoszeń, aby utworzyć szczególną naukę, *the science of successful advertising* (nauka skutecznego ogłaszania). Pierwszą zasadą téj nowéj angielskiéj nauki jest „mieć dobry towar", dla tego nie może ona rozpowszechnić się w Niemczech, gdzie główném staraniem jest taniość, bez względu na gatunek. Podręcznik téj nauki, a raczéj sztuki wydany został przez dyrektora jednego międzynarodowego kantoru ogłoszeń, który w dziele swém połączył teoryą z praktyką, gdyż głównie stara się o przekonanie czytelnika, że jego kantor najtaniéj i naskuteczniéj załatwia ogłoszenia we wszystkich częściach świata (1). Pomimo takiéj tendencyi osobistéj, dzieło to zawiera wiele uwag trafnych i zajmujących, zebranych długiém doświadczeniem, popartém znajomością charakteru publiczności w różnych krajach.

Oprócz ogłoszeń przemysłowców znajdujemy też w gazetach angielskich daleko więcéj niż we francuskich tych skromnych ogłoszeń, których celem jest zawiązanie stosunków między tymi, co pracy szukają a tymi co jéj potrzebują. Rzemieślnicy, służący, nauczyciele, urzędnicy biur różnych ofiarują swe usługi nieznanym chlebodawcom—a z drugiéj znów strony bogaci ludzie szukają osób do usługi im potrzebnych. Chciałem się przekonać statystycznie, jakie zajęcie najlepiéj popłaca—i licząc w dziesięciu numerach różnych gazet ogłoszenia, dowiedziałem się, że najwięcéj są poszukiwani kucharze, oni téż najmniéj służby szukają.

Z tego wniosek, że Anglicy dbają o dobre jedzenie, ważny warunek zdrowia, a łatwo się przekonać, że także dbają o dobre powietrze, bo w żadnéj ze stolic europejskich tyle nie ma zieloności jak w Londynie. Prawie w środku miasta zajmuje około trzydziestu włók ziemi wielki park, noszący w różnych częściach różne nazwy: Kensington Gardens, Hyde Park, Green park, S. James Park, Buckingam gardens. Spacerując po tych doskonale utrzymanych ogrodach traci się z oczu budynki, i możnaby zupełnie zapomnieć o tém, że się jest w Londynie, gdyby nie wielka ilość spacerujących, szczególniéj, w dzień świąteczny.

W jednym końcu tych ogrodów, w Kensington gardens, spotykamy pomnik, wielki jak prawie wszystko, co Anglicy budują. Pomnik ten jest wzniesiony na cześć księcia Alberta, zmarłego męża

---

(1) Sells Dictionary of the World's Press, and the Philosophy of Advertising, Sell's Advertising office, 167, Fleet street London 1884.

królowéj Wiktoryi, i kosztował milion dwakroć sto tysięcy rubli— które bynajmniéj nie przez królowę ani téż przez państwo zostały wydane, tylko zebrane drogą dobrowolnych składek. Z pewnéj odległości, pomnik ten robi wielkie wrażenie, ale gdym się przybliżył, spostrzegłem ze zdumieniem, że u stóp księcia Alberta w płaskorzeźbie przedstawiono wszystkich wielkich ludzi w zakresie poezyi i sztuki, od Homera do Cerwantesa, Rafaela, Szekspira, Moliera, Goethego, itd. Trudno pojąć, co oni tam robią, bo nawet jeśli przypuścimy, że książe Albert opiekował się poezyą i sztuką, to nie idzie za tém, aby na pomniku wynosić go nad Homera, Szekspira i Rafaela. Trzeba to zaliczyć do tych wielu ekscentryczności, z których słyną Anglicy.

Również zwraca uwagę na przeciwległym końcu ogrodów, na Trafalgarsquare, posąg wielkiego wodza Nelsona, który ma tak wielką kolumnę pod nogami, że nie można dojrzéć rysów jego twarzy. Według tradycyi, miał on umierając w zwycięzkiéj bitwie pod Trafalgarem wykrzyknąć „*England expects every man will do his duty*“ („Anglia po każdym się spodziewa wypełnienia obowiązku).

Słowa te, powiedziane lub niepowiedziane w chwili śmierci przez Nelsona, są bardzo charakterystyczne, gdyż rzeczywiście nic w Anglii tak cenioném nie jest jak obowiązek. Od dzieciństwa Anglik jest wychowywany w tym kierunku i cała literatura dla młodzieży przeznaczona jest przeniknięta pojęciem wypełniania obowiązków. Kolumna Nelsona stoi na jednym z 80 skwerów, które mieszkańcom Londynu odświéżają, powietrze starannie utrzymywaną roślinnością. Skwery te, rozsiane po całém mieście, stanowią jedną z największych ozdób stolicy angielskiéj—ale są wszystkie ogrodzone żelaznemi sztachetkami i zamknięte. Widząc za sztachetkami ławki i ludzi, zapragnąłem odpocząć na jednym z takich skwerów: spostrzegłem, że właśnie ktoś otwiérał furtkę i wchodził za sztachetki. Chciałem razem z nim wejść, ale jakież było moje zdziwienie, gdy mi wytłómaczył, że wchodzić mają prawo tylko mieszkańcy okolicznych domów, mający klucze od skweru. Ta prywatna własność skwerów stoi w ścisłym związku z potęgą życia rodzinnego, jak je Anglicy pojmują. Każdy chce być u siebie: mają wstręt do życia zupełnie publicznego, przeważającego w Paryżu. Dla tego każda rodzina ma swój dom, a ponieważ z powodu ceny ziemi nie może miéć każda swego ogrodu, więc wolą dzielić własność jednego ogrodu z ograniczoną ilością rodzin, niż z całą publicznością.

Przystęp do wnętrza mieszkań, przynajmniéj średniéj klasy mieszczan, jest łatwy, gdyż prawie na każdéj ulicy jest wiele mieszkań do wynajęcia i pod pozorem szukania mieszkania można roz-

mawiać z gospodyniami angielskiemi. Są to mieszkania małe, dwa lub cztery pokoje niezajęte przez rodzinę, która zajmuje cały dom, złożony również z niewielkiéj ilości pokoi. Gospodyni chętnie rozmawia z cudzoziemcem, szukającym mieszkania, i odpowiada mu na wszelkie pytania, a jeszcze chętniéj sama się go wypytuje o jego zwyczaje i zajęcia. Jest to bezpłatna okazya wprawy w używaniu języka angielskiego, która mi bardzo była pożądana i z początku robiłem sobie wyrzuty, że drogi czas innym napróżno zajmuję—ale uniewinniłem się tém, że nigdy gospodyni w błąd nie wprowadzałem co do moich zamiarów, i zawsze wyznawałem, że obejrzane mieszkanie moim wymaganiom nie odpowiada.

W ciągu tych pouczających przechadzek często miałem okazyą podziwiać łatwość komunikacyi między różnemi dzielnicami, za pomocą kolei i niezliczonych omnibusów. Te ostatnie są wprawdzie nie tak dobrze urządzone jak w Paryżu, ale daleko liczniejsze, tak że nigdy nie potrzeba długo czekać, aby się dostać do omnibusu. Dworce kolei miejskich są to zadziwiające podziemne budowy—ale trzeba przyznać, że berlińska kolej miejska jest daleko przyjemniejsza ze względu na to, że się tu przeważnie jedzie nad ziemią i oddycha się czystém powietrzem, a w Londynie tunele są tak dymem wypełnione, że czasem oddychać trudno, gdy się dłużéj pod ziemią przebywa. Wracałem zawsze do domu z brudném ubraniem, gdyż sadze osiadają wszędzie na odzieży—pod tym względem mniejsze odległości jest przyjemniéj odbywać piechotą, chociaż każda odległość jeszcze się większą wydaje wskutek monotonności nowych ulic, nieurozmaiconych jak wązkie ulice starego Paryża.

Szczególniéj téż zwrócił moję uwagę brak kiosków, w których teraz i u nas nawet w Warszawie sprzedają gazety. Widać, że Anglik gazety woli stale otrzymywać w domu, i nie zmienia tak chętnie jak Francuzi, którzy często dziś numer jednego, jutro innego czytają pisma.

W. Lutosławski.





PROPINACYA W DAWNEJ POLSCE.

Bobrzyński Michał: Prawo propinacyi w dawnéj Polsce, Osobne odbicie z XXIII tomu Rozpraw i sprawozdań Akad. umiej. wydz. histor.-filozof. Kraków 1888, str. 74.

Początek i historyą prawa propinacyjnego w Polsce niejednokrotnie już próbowano u nas rozwiązać w sposób naukowy. Ogłosił swojego czasu rozprawę przedmiotowi temu poświęconą Czacki w „Dzienniku Wileńskim“ z r. 1806 p. t. „O prawie, które mają obywatele prowincyi, składających dawną Polskę, do wolnego szynkowania piwa, miodu i gorzałki“, w któréj wyjaśnił genezę téj instytucyi i rozwój jéj aż do wydania znanego statutu z r. 1496; późniejsze podręczniki prywatnego prawa polskiego, jak Bandtkiego, Helcla, Dutkiewicza i Burzyńskiego, poruszały także tę sprawę, najobszerniéj Burzyński, który uzupełniając niejako rozprawę Czackiego, starał się wyjaśnić rozwój prawa propinacyi, począwszy od wydania ustawy z r. 1496 aż do upadku rzeczypospolitéj. Wszystkie te próby pozostały jednak daleko po za właściwém swojém zadaniem, częścią dla braku źródeł, na którychby się dało oprzéć badanie, częścią dla niedokładności i niewłaściwéj metody w badaniu tém zastosowanéj.

Potrzeba dokładnego wyjaśnienia historyi i istoty prawa propinacyi nie została tedy usuniętą, stawała się zaś tém większą, że miała służyć nie tylko już dla celów naukowych, ale także i dla praktycznych. Wiadomo, że w Galicyi rozpoczęto w ostatnich czasach akcyą, zmierzającą do zniesienia prawa propinacyi. Już uchwała sejmu galicyjskiego z r. 1875 postanowiła, iż prawo propinacyi ustać ma w Galicyi z r. 1910; obecnie zaś wobec przyjścia do skutku nowéj ustawy spirytusowéj austryackiéj (w roku bież.), przedłożył rząd obradującemu właśnie sejmowi projekt do wydania ustawy

w sprawie natychmiastowego, a raczéj w r. 1890 dokonać się mającego wykupna prawa propinacyi. Sejm znalazł się tedy w potrzebie dokładnego rozważenia sprawy, przyczém znajomość genezy i dawniejszego rozwoju tejże instytucyi może mu niejednokrotnie oddać niepospolite usługi. Wczas tedy pojawiła się rozprawa prof. Bobrzyńskiego, która niewątpliwie z wdzięcznością i uznaniem przyjętą zostanie zarówno przez naukę jak i ciało sejmujące; pierwsza ona bowiem podaje nam dokładny i wyczerpujący, a prawdziwy obraz historyi propinacyi polskiéj.

Zobaczmy, jak ta historya wygląda.

O istnieniu karczem w Polsce *(taberna)* wspominają już źródła z najdawniejszéj epoki dziejów naszych, bo pod rokiem 1000. Karczem tych zapewne nie ma podówczas wiele, najczęściéj znajdują się one w ważniejszych miejscach targowych, to téż nazwy: *forum et taberna*, łączą się zazwyczaj z sobą w wzmiankach dyplomatów. Z reguły należy karczma do księcia, jak przeważna większość ówczesnych dóbr ziemskich, atoli jak same dobra przez rozdawnictwo książąt przechodzą w posiadanie najprzód kościoła, a potém osób świeckich, tak téż spotykamy już podówczas wzmianki o nadawaniu karczem, wyjątkowo bez równoczesnego nadania dóbr ziemskich, najczęściéj zaś z takiémże nadaniem. Prawo mienia karczmy, a zatém także szynkowania w niéj napojów nie jest tedy żadném „*regale*“ przysługującém wyłącznie panującemu, jest ono przynależnością dóbr, istotną częścią składową własności ziemskiéj, jednym z jéj pożytków *(utilitates)*.

Wyrobem trunków (piwa i miodu) zajmował się sam właściciel karczmy, a więc najczęściéj panujący, który trzymał do tego osobną służbę, zwaną *braxatores*. Osiedleni w pewnych miejscach mieli oni pomoc w sąsiedniéj ludności wiejskiéj, któréj obowiązkiem było starać się o ich wyżywienie i wyrobione przez nich trunki zwozić do magazynu w książęcym grodzie.

W połowie XIII wieku, z chwilą kiedy w Polsce rozpoczęła się na wielką skalę kolonizacya na prawie niemieckiém, uświęcająca zasadę autonomii, nastąpiły ważne zmiany w sprawie karczem i prawa wyszynku. Odmiennie jednak ukształtowała się cała sprawa w gminach wiejskich, osadzanych na prawie niemieckiém, a odmiennie w miastach. Z rąk właściciela odnośnéj wsi przechodzi karczma niejednokrotnie, i to najczęściéj, w posiadanie sołtysa, a dochód z niéj należy do jego uposażenia. Karczma ta, jak wogóle całe uposażenie sołtysa, jest dziedziczną, przechodzi zatém na jego sukcesorów, w razie zaś pozbycia sołtystwa—na rzecz nabywcy.

Niekiedy przyznawano także prawo karczmy plebanowi. Gdzie do kościoła należała cała wieś, tam oczywiście prawo wystawiania i utrzymywania karczmy wynikało wprost z własności ziemskiéj; zdarzały się jednak wypadki, że dziedzic zatrzymywał własność wsi jako takiéj dla siebie, a tylko pewną ilość gruntu téj wsi wyznaczał na uposażenie kościoła parafialnego; w tym razie kościół w zasadzie nie miał prawa utrzymywania karczmy, mimo to jednak przy takiém uposażeniu nadawano mu to prawo niejednokrotnie.

Nadanie karczem czy to sołtysom, czy plebanom, nie ubliżało jednak prawu samego właściciela wsi utrzymywania tamże jednéj lub więcéj karczem, tak, że w téj saméj wsi mogło istnieć więcéj karczem, z których dochody pobierały rozmaite osoby. Kiedy wieś skutkiem działów spadkowych rozpadała się na drobniejsze części, właściciel każdéj z tych części, posiadając ją tém samém prawem, jakie przysługiwało poprzedniemu właścicielowi całéj wsi, miał prawo budowania i utrzymywania karczem, przez co ich ilość mogła się znacznie wzmódz i powstać niebezpieczna konkurencya pomiędzy niemi.

W karczmach szynkowano podówczas piwo, miód, czasami wino. Najbardziéj rozpowszechnionym napojem było piwo, które wyrabiano w rozmaitych gatunkach, lepszych i gorszych, niekiedy zaś sprowadzano z zagranicy, jak Świdnickie i Cieszyńskie, z karczmą łączyła się często jatka rzeźnicza i piekarnia, ze sprzedażą mięsa i chleba, a czasem nawet sprzedaż obuwia i kuźnia. Niekiedy odbywano w karczmie sądy gminne, a czasami nawet duchowni wykonywali tu swoję jurysdykcyą. Karczmę prowadził karczmarz, człowiek wolny, który ją brał w dzierżawę od właściciela, płacąc za to czynsz, lub wykonywując pewne roboty. Obok karczmy znajdował się zwykle ogród, który razem z nią do dzierżawy należał.

Pytanie, czy prawo karczmy było wyłącznem uprawnieniem do wyszynku na pewnym obszarze, da się rozmaicie rozwiązać. Gdzie właściciel dóbr utrzymał prawo karczmy przywiązane do tychże dóbr, nie nadając go nikomu innemu, albo gdzie wprawdzie nadał je komu innemu (np. kościołowi lub sołtysowi), ale w ten sposób, że znowu sam zrzekł się go zupełnie, tam oczywiście prawo karczmy było uprawnieniem wyłączném do wyszynku trunków na tymże obszarze, przysługującém bądź tylko dziedzicowi, bądź tylko sołtysowi, bądź tylko plebanowi. Najczęściéj jednak nadając sołtysowi lub plebanowi karczmę, zastrzegali właściciele i dla siebie prawo utrzymywania karczmy; albo gdzie tego zastrzeżenia nie uczynili, przecież nie zrzekali się go wyraźnie i wykonywali je późniéj; w tych wypadkach nie można tedy mówić o wyłączności prawa

karczmy; istniało lub przynajmniéj istnićć mogło we wsi kilka karczem: sołtysa, plebana, dziedzica, a jeżeli nastąpiły działy spadkowe, kilku dziedziców budowało lub budować mogło karczmy. Ówczesne prawo karczmy nie było więc prawem propinacyi, jak je dzisiaj pojmujemy, było ono tylko uprawnieniem na jeden lub więcéj szynków, dziedzicznėm, ale nie wyłącznėm.

Niemniéj téż nie istniał po stronie włościan obowiązek, przymus, brania napojów tylko z karczmy w obrębie wsi położonéj. Źródła nic o takim przymusie nie wspominają; zresztą wielka ilość konkurujących karczem, jak nie mniéj bliskość miast, do których udawała się często ludność wsi okolicznych, czyniły taki przymus niemożliwym.

Co do pytania, czy obok prawa wyszynku mieściło się także wyłączne prawo wyrobu napojów gorących, odpowiedzieć należy, że w niektórych wypadkach dziedzice nadawali to prawo sołtysom, w innych takiego wyraźnego nadania nie ma, a kwestya, jak się wtedy przedstawiał stosunek prawny, nie jest dostatecznie jasną. Wobec faktu jednak, że przywileje nie wspominają o obowiązku sołtysa brania napoju na wyszynk z browaru pana, i że bez takiego zastrzeżenia zakaz wyrobu trunków narzucony sołtysowi, nie miałby celu, oświadcza się autor za przypuszczeniem, że i tutaj nie było żadnego przymusu.

Tak przedstawiają się stosunki we wsiach począwszy od połowy XIII stulecia aż do końca wieków średnich. Inaczéj ukształtowała się rzecz w ówczesnych miastach. Zasadą urządzeń miejskich była wolność przemysłu i handlu, jako prawo przysługujące obywatelom danego miasta, o ile prawa tego nie ograniczyło samo miasto przez urządzenia cechowe. Stąd już płynęło samo z siebie, że w miastach możność szynkowania tj. sprzedawania trunków przysługiwała każdemu obywatelowi tegoż miasta, że ani pan miasta, ani samo miasto jako takie (jako osoba prawna) możności téj ograniczać nie mogli, że zatém w miastach istniała zupełna w o l n o ś ć p r o p i n a c y i. Zgodnie z tą zasadą orzekają téż przywileje lokacyjne, że każdy mieszczanin ma prawo szynkowania napojów. Prawo to rozciągało się na obręb miasta, a częstokroć nawet na pewien okrąg poza niém; zazwyczaj udzielano w przywilejach prawo szynkowania w promieniu jednomilowym dokoła miasta, tak że nikt inny prócz obywateli tegoż miasta nie mógł tam stawić karczem, ani téż sprzedawać w nich napojów gorących. Interes ten był niewątpliwie korzystnym, stąd téż zdarzało się, że szlachta (zwłaszcza zubożała) przesiedlała się do miast, przyjmowała prawo miejskie i trudniła wyszynkiem trunków.

W takim stanie znajdowała się propinacya pod koniec wieków średnich, kiedy przyszło do wydania słynnéj i tylokrotnie komentowanéj ustawy z r. 1496. Bezpośrednią pobudką do jéj wydania stało się postępowanie starostów, którzy występując przeciw dotychczasowéj wolności propinacyjnéj, przeciw sprowadzaniu piwa do wsi duchownych i szlacheckich skądkolwiekbądź, zaczęli się domagać, ażeby je sprowadzano tylko z miast królewskich, tam bowiem łatwiéj dało się ono opodatkować. Przeciwko temu wystąpiła szlachta energicznie, i już w przywileju nieszawskim z r. 1454 uzyskała zapewnienie (dla ziemi sieradzkiéj), że starostowie swobodnemu sprowadzaniu piwa nie mają przeszkadzać, gdy zaś i to nie skutkowało, uchwalono na sejmie r. 1496: „Postanawiamy poddanych naszych gdziekolwiek w królestwie znajdujących się, panów dóbr i ich poddanych, zachować w téj wolności, że wolno każdemu piwo i inne napoje skądkolwiek brać i sprowadzać oraz we wsiach, i innych miejscach dzierżenia ich warzyć i warzyć kazać, i skądkolwiekby woleli albo chcieli wziąć, mieć je szynkować i używać swobodnie bez wszelkiéj obawy zakazu, zajęcia lub kary ze strony naszéj (króla) lub naszych starostów". Konstytucya ta orzekła tedy wyraźnie, że zarówno w warzenie i sprowadzanie jako też i szynkowanie napojów władza publiczna mieszać się nie ma, usunęła władzę publiczną, króla i starostów od wszelkiéj ingerencyi w sprawę propinacyi. Konstytucya ta pozostawiła dawniejszy stan rzeczy, tak jak go zastała, nie wdając się nawet w szczegółowe jego określenie, chodziło jéj tylko o postanowienie, że „prawo karczmy" nie ma być podciągane pod pojęcie jakiegoś *regale.* Nie dotknęła jednak wcale kwestyi, komu to prawo karczmy ma służyć; w zasadzie powinno tedy było pozostać przy tém, co się wyrobiło wśród stosunków dawniejszych; co większa, wyraźnie przyznana możność sprowadzania napojów skądkolwiekbądź była poniekąd pośrednią sankcyą tego dawniejszego stanu rzeczy. Mimo to jednak w dalszéj przyszłości nastąpiła zmiana w urządzeniu propinacyi polskiéj, zmiana przez długi czas, bo aż do r. 1768 nie uświęcona żadnym wyraźnym przepisem ustawodawczym, dokonana głównie drogą praktyki, przestrzeganéj przez poszczególnych właścicieli ziemskich. Powstała (po wsiach) zasada, że poddani włościanie nie mają brać trunków skądkolwiek indziéj jak tylko z karczmy swojego pana, czyli t. z. karczmy dworskiéj.

Ta zmiana stoi w ścisłym związku z całém przeobrażeniem społecznem, jakie się pod koniec wieków średnich i z początkiem czasów nowszych dokonało w Polsce. Szlachta przemieniwszy się z zawodu głównie rycerskiego, jakim była dawniéj, w stan przede-

wszystkiém ziemiański, zachęcona wzmagajacym się zbytem zboża do większéj jego produkcyi, zwróciła się gorączkowo do uprawy ziemi, postawiła sobie za cel ziemię tę o ile możności wyzyskać. Średniowieczna „wieś“ polska nie wystarczała już do tego celu. We wsi takiéj miał pan pewną niewielką ilość gruntu, którą uprawiał za pomocą czeladzi dworskiéj; reszta, w drobnych zagonach należała do kmieci, którzy prócz czynszu i niekiedy miernéj robocizny, niczego więcéj nie byli zobowiązani świadczyć na rzecz pana. Teraz—pod koniec wieku XV i z początkiem XVI—zaczęto coraz więcéj zacieśniać stosunek poddaństwa; ograniczono do najwyższego stopnia możność przesiedlania się włościan, przywiązano ich w całém tego słowa znaczeniu do gleby, powiększono czynsze i robocizny, a przez to zyskano środki do wzięcia dalszych obszarów pod uprawę na rachunek panów (np. przez karczunek lasów); zdobywano te obszary zresztą także przez wykupno sołtystw i dawniejszch wolnych łanów sołtysich, przez co zarazem władza sądownicza sołtysów przechodziła w ręce panów. Z chwilą zaś, w któréj cała pełnia władzy sądowéj nad włościanami skupiła się w posiadaniu panów, łatwym już był krok dalszy do uzyskania także stanowiska „prawodawców“ wobec kmieci, jak téż panów czasami nazywają konstytucye. Dla tego téż ustawodawstwo sejmowe, państwowe, nie widziało powodu mieszać się w określenie stosunku pana do kmieci, stosunek ten określało prawodawstwo „pańskie“. Tą drogą dokonała się przemiana istoty prawa propinacyi, o czém ustawodawstwo sejmowe, jako o rzeczy dokonanéj po raz pierwszy wspomniało dopiero w r. 1768.

Przez wykupno sołtystw nabywali panowie własność karczem, służących niegdyś sołtysom, przez wykupno albo drogą konkurencyi przemożnéj, pozbywali się karczem plebańskich; w rezultacie dochodziło do tego, że we wsi istniały już tylko jedna lub więcéj karczem, które wyłącznie należały do pana; konkurencya innych właścicieli w obrębie wsi była wykluczoną. Chodziło teraz jeszcze o rzecz inną: o pozbycie się dziedzicznych karczmarzy. Bo do kogokolwiekbądź należała karczma: do sołtysa, plebana i pana, czy tylko wyłącznie do pana, nie ulega przecież wątpliwości, że dopóki istnieli dziedziczni karczmarze, mający prawo sprowadzania trunków skądkolwiekbądź a opłacający tylko odpowiedni czynsz na rzecz właściciela, dopóty o wyłączności prawa propinacyi mowy być nie mogło. W drugiéj połowie XVI w., głównie od czasu wygaśnięcia Jagiellonów, rozpoczęto tedy kampanią przeciw tym dziedzicznym karczmarzom za pomocą odpowiednio urządzonéj polityki skarbowéj. Nakładając mianowicie podatki od wyszynku trun-

ków, obciążano niemi tylko karczmy przez dziedzicznych karczmarzy utrzymywane, zwalniano zaś od nich karczmy wprost na rachunek dziedzica prowadzone. Ta nierówność podatkowa, utrudniając karczmom dziedzicznym konkurencyą z karczmami dworskiemi, przyczyniła się niewątpliwie do ich upadku. Uniwersał poborowy z r. 1629 nic już nie wspomina o karczmach dziedzicznych; widocznie było ich wtedy tak mało, że je wypuszczono z rachuby podatkowéj. Zagarnąwszy w ten sposób wyłączne prawo utrzymywania karczem po wsiach, a więc wyłączne prawo szynkowania napojów, właściciele ziemscy przeprowadzili już z łatwością drugą zasadę: wyłączne warzenie tychże trunków, a zarazem sprzedawania ich na wyszynk do swoich karczem, jeżeli puszczone zostały komuś innemu w dzierżawę. O takim stosunku, jako istniejącym już poprzednio, wspomina konstytucya z r. 1703. W ten sposób utworzyło się dopiero owo „*ius braxandi et propinandi*“, zwane po krótce także „prawem propinacyi“ lub „propinacyą“, jako uprawnienie do wyrobu i szynkowania trunków, przysługujące po wsiach wyłącznie tylko wsi tychże właścicielom. Czasem, w którym się ten proces dokonał, jest wiek XVII; on to obalił dawne, średniowieczne „prawo karczmy“, a postawił w jego miejsce nowe „prawo propinacyi“, tak jak się ono utrzymało aż do naszych czasów. Ustawy sejmowe znalazły zmianę już dokonaną, i mogły do niéj dodawać, co najwięcéj, pewne objaśnienia.

Takich objaśnień dostarczyło głównie ustawodawstwo z końca istnienia Rzeczypospolitéj; dążnością jego było istniejące już prawo propinacyi uroczyście potwierdzić, a zachowane z dawna nieliczne wyjątki stanowczo znieść. Konstytucya z r. 1768 odejmując panom sądownictwo kryminalne nad poddanymi, zastrzegła skwapliwie, że „całość *dominii et proprietatis* stanu szlacheckiego nad dobrami ziemskiemi i ich poddanymi nigdy odejmowaną ani zmniejszaną być nie ma“, usankcyonowała tedy wyłączność prawa propinacyi i przymus brania napojów z karczmy dworskiéj, dodając zarazem, że na gruntach, w emfiteuzę do uprawy oddanych, propinacya przysługiwać ma nie emfiteucie, ale właścicielowi gruntu (*circa dominos directos*). Również zastrzeżono wtedy, że w dobrach królewskich, w których utrzymała się jeszcze pewna ilość dawnych wolnych karczem sołtysich, uprawnienia sołtysów mają być zniesione. Zniesiono je bez żadnéj indemnizacyi, a napiętnowano ich prawo, oparte na dawnych przywilejach, mianem „przywłaszczenia“!

W miastach utrzymała się wolność propinacyi przez cały okres czasów nowszych, jako zasada przejęta jeszcze z urządzeń średniowiecznych, i połączyła się tak ściśle z pojęciem

organizacyi miejskiéj, że ją pozostawiono nie tylko tym miastom, które ją z dawna już wykonywały, ale przyznawano nawet i tym, które obecnie świeżo zakładano. Każdy obywatel miasta miał tedy prawo zakładania i utrzymywania szynków. Wolność szynkowania była jednak zarazem prawem, służącém wobec osób trzecich, które „miejskiego“ nie przyjęły, i objawiała się w możności usunięcia tych osób od prawa szynkowania w mieście. Próbowała wprawdzie szlachta, osiedlająca się po miastach, a nie poddająca prawu miejskiemu, obchodzić tę zasadę przez stworzenie t. z. jurydyk; ale konstytucya z r. 1659 uchylając te jurydyki, zapobiegła nadużyciom. Niebezpieczną konkurencyą dla propinacyi miejskiéj stanowiła téż możność sprowadzania napojów skądkolwiekbądź, a więc nie tylko z browarów miejskich, ale np. z sąsiednich browarów wiejskich, które jako nieopodatkowane, mogły dostarczyć trunków po tańszéj cenie. Na instancyą miast wydawano w tym kierunku rozliczne zakazy, jednakże dopiero konstytucya z r. 1764 zatwierdzając wolność propinacyi w miastach, uczyniła stanowczy krok do uchylenia zagęszczonych nadużyć.

Wolność propinacyi, służąca mieszczanom, nie była prawem prywatném, chociażby nawet w szerokiém, średniowieczném tego słowa rozumieniu, jak niém było prawo propinacyi przysługujące panu wsi. Na wsi było ono wypływem własności gruntowéj; po miastach mieszczanie nie byli właścicielami gruntu, na którym się zabudowali; grunt ten należał do pana miasta, którym był król, kościół lub szlachcic, mieszczanin otrzymywał go tylko za opłatą pewnego czynszu do dziedzicznego użytkowania, a jednak mieszczanin miał prawo szynkowania napojów, nie miał go zaś pan, pomimo że był właścicielem. Zresztą nawet mieszczanin, który nie miał żadnéj realności w mieście, nie był wykluczony od prawa szynkowania. Propinacya w miastach była tedy rezultatem prawa publicznego, i charakter ten zachowała aż do końca. Jako prawo publiczne, ulegała ona tym wszystkim postanowieniom i ograniczeniom, które wychodziły od władz powołanych do urządzania stosunków miejskich, a były niemi, jak wiadomo, autonomiczna władza miejska czyli rada miejska, tudzież dziedziczny pan miasta, ktokolwiekby nim zresztą był.

Te czynniki zaczynają w ciągu wieku XVI—XVIII wprowadzać rozmaite ograniczenia istniejącéj dotąd wolności propinacyjnéj, które prof. Bobrzyński ilustruje głównie na przykładzie Krakowa. Najważniejszém z takich ograniczeń jest instytucya cechów. W Krakowie istniały od dawna trzy gałęzi rzemieślnicze: słodownicy (*braseatores*) wyrabiający słód, piwowarowie (*braxatores*) wy-

rabiający ze słodu piwo, i szynkarze (*tabernatores*), podający to piwo na sprzedaż; w wieku XVI przybywają jeszcze tacy, którzy trudnią się wyrobem i sprzedażą gorzałki. Żadna z tych gałęzi nie miała jednak wyłącznego przywileju trudnienia się odnośnym przemysłem, nie stanowiła cechu w ścisłém tego słowa znaczeniu, gdyż według zasad, które poznaliśmy poprzednio, każdy mieszczanin, choćby nawet do cechu nie należał, miał prawo wyrobu i sprzedaży trunków. Dopiéro pod koniec panowania Zygmunta Augusta udało się przeprowadzić pewne ograniczenia. Statut cechowy, zatwierdzony przez tego króla, połączywszy wszystkie wzmiankowane poprzednio cechy w jeden wspólny, zwany pospolicie cechem karczmarzy, zabronił mieszczanom, nienależącym do cechu, wykonywać prawo propinacyi. Ograniczenie to, napozór bardzo daleko sięgające, nie było jednak w rzeczywistości zbyt dotkliwém; włożono bowiem na cech obowiązek przyjmowania doń każdego obywatela, który uiści przepisane wpisowe i wykaże się ogólnymi warunkami zdolności cechowéj, jako to: urodzeniem z prawego łoża, dobrą sławą i t. p. W rezultacie tedy zawsze jeszcze każdy (lub prawie każdy) mieszczanin miał zapewnioną możność wykonywania prawa propinacyi. Dopiéro w r. 1671 wyszedł dla Krakowa przywiléj, stanowiący, że prawo wyrobu i szynkowania napojów przysługuje tylko członkom cechu karczmarskiego, a zarazem że do tego cechu przyjętym może być tylko ten, kto w nim poprzednio odbywał nauki i kto się nie trudni innym rodzajem przemysłu. Ten akt usankcyonował tedy wyłączność prawa propinacyi, jako uprawnienia cechowego, a zniósł dotychczasową wolność tego prawa, przysługującą wszystkim bez wyjątku mieszczanom.

Dalszém ograniczeniem wolności propinacyjnéj w miastach były podatki od wyrobu i wyszynku napojów gorących, nakładane zarówno na rzecz państwa, jako téż i miasta. Początkowo podatek miejski jest ściśle zależny od państwowego; nakładając „czopowe“ na potrzeby państwa, zastrzegano równocześnie, niewątpliwie już pod koniec wieków średnich, pewną stosunkową opłatę (t. z. *ternarius)* na rzecz miasta. Ponieważ taki podatek nie mógł wystarczyć potrzebom miejskim, bo wpływał tylko w takim razie, jeżeli państwo nałożyło podatek dla siebie, przeto dążyły miasta do tego, ażeby go uczynić niezależnym, ażeby uzyskać prawo nakładania go w każdéj chwili, bez względu na to, czy podatek państwowy zostanie uchwalony. Cel ten uzyskany został przez różne miasta w rozmaitych czasach, i tak np. w Poznaniu r. 1588, w Krakowie r. 1601 we Lwowie r. 1676 i t. p.

Trzeciém z rzędu ograniczeniem wolności propinacyjnéj mieszczan było powstanie browarów i szynków miejskich, prowadzonych na rachunek gminy miejskiéj. O istnieniu takich browarów i szynków znajdujemy już niewątpliwe wskazówki w drugiéj połowie XVI wieku. Mimo to jednak miasto nie zdobywa sobie jeszcze wyłącznego prawa propinacyi, z wykluczeniem mieszczan; ci ostatni mogą obok niego warzyć i szynkować napoje gorące.

Wyłuszczone tu zasady wolności propinacyjnéj, choćby nawet z ograniczeniami, o których co dopiéro była mowa, utrzymały się jednak tylko po miastach znaczniejszych, które miały dość siły odpornéj, ażeby usunąć uroszczenia swych panów. W miastach mniéj znacznych, głównie w t. z. miasteczkach, panowie rozwinęli gorliwą działalność, ażeby mieszczan pozbawić służącéj im wolności propinacyjnéj i zagarnąć dla siebie wyłączne prawo propinacyi w tém samém znaczeniu i rozciągłości, jak ono przysługiwało dziedzicom posiadłości wiejskich. Ta dążność uwieńczona została pomyślnym rezultatem; w przeważnéj części miasteczek, tak duchownych, jak szlacheckich, mieszczanie utracili z biegiem czasu prawo wolnego wyrobu i szynkowania napojów, nabyli je zaś wyłącznie dla siebie panowie miasteczek. Wprawdzie konstytucya sejmu konwokacyjnego z r. 1764, uchwalona pod wpływem chwilowego zapędu do reform, postanowiła zachować miasteczka „w opisie tych wolności, które im *iure originali locationis* pozwolone są“, uznała tedy wolność propinacyjną przyznaną w przywilejach lokacyjnych, jednakże już niebawem, bo w r. 1775, zapadła ustawa, stanowiąca, że „miasta i miasteczka dziedziczne ziemskie zupełnéj woli i rozporządzeniu dziedziców zostawują się“, ustawa, która dziedzica uczyniła nieograniczonym panem miasteczka i sankcyonowała w niém wyłączność jego prawa propinacyi.

Czém dla miasteczek dziedzicznych był pan, tém dla królewskich okazał się starosta, tenutaryusz. I tutaj dążyli starostowie do usunięcia wolności szynkowania mieszczan, a ujęcia w swe ręce wyłącznego prawa propinacyi. Nie zawsze udawało im się to, bo miasteczka królewskie potrafiły niejednokrotnie znaleść skuteczny punkt oparcia u samych królów; z tém wszystkiém jednak i tutaj wiele z nich utraciło swe prawo, zwłaszcza te, które odrazu nie wystąpiły stanowczo w jego obronie. Ponieważ jednak wynoszono wiele w tym przedmiocie sporów, przeto okazała się ostatecznie potrzeba ustawodawczego uregulowania sprawy. W téj myśli postanowiła konstytucya z r. 1768, że miasta, w których „*ab immemoriali* i do końca panowania Augusta III“ starostowie wykonywali

prawo propinacyi, mają być wyłączone nazawsze od wykonywania wolności propinacyjnéj; natomiast te, w których fakt przywłaszczenia propinacyi przez starostę zaszedł dopiéro po śmierci Augusta III-go, mają wprawdzie także tracić propinacyą na rzecz starosty, jednakże ten ostatni obowiązany jest z dochodów propinacyjnych uiszczać pewną stałą kwotę na publiczne potrzeby miasta. Te miasta, w których dotychczas wolność propinacyi była wykonywaną bez zaprzeczenia, miały pozostać nadal w jéj używaniu, o ile komisye *boni ordinis* nie uznają, że mieszczanie do używania téj wolności nie są sposobni. Sejm rozbiorowy roku 1775 ograniczył się już tylko na imienném wyszczególnieniu 22 najważniejszych miast, które pozostać miały przy wolności propinacyjnéj, przez co w innych miastach wolność tę można było uważać za uchyloną. Wreszcie sejm z r. 1776 uchylenie to co do miasteczek potwierdził, co do tych zaś miast, które dotychczas używały wolności propinacyjnéj, postanowił, że na przyszłość prawo to przechodzi na miasto jako takie, a więc na gminę, która trunki wyrabiać i szynkować ma na swój rachunek, z uchyleniem prawa szynkowania, jakie dotychczas przysługiwało każdemu obywatelowi miasta. Odtąd dopiéro można datować prawo propinacyi miast we właściwém, ścisłém tego słowa znaczeniu.

Wyjaśniwszy w ten sposób pytanie, komu przysługiwało prawo propinacyi w czasach nowszych, począwszy od końca XVI w., rozwiązuje autor z kolei dalsze: co było przedmiotem prawa propinacyi. Z wieków średnich datowały u nas jako napoje gorące: miód, piwo i wino; w czasach nowszych przybywa jeszcze gorzałka, zwana w uniwersałach pod koniec istnienia rzplitéj także wódką, opodatkowana po raz pierwszy w 1564, dowód, że dopiéro wtedy użycie jéj rozpowszechniło się znaczniéj w kraju, podczas gdy przedtém, podobnie jak gdzieindziéj w Europie, uważana była tylko za lekarstwo. Wszystkie te rodzaje napojów gorących stanowiły przedmiot szynkowania, jak o tém świadczą liczne konstytucye, które mówią o wyrabianiu i szynkowaniu „wszelakich trunków“, wszystkie one zatém były przedmiotem prawa propinacyi tak, jak się ono w ostatnich dwu wiekach istnienia rzeczypospolitéj ukształtowało. Rozumié się, że po wsiach propinacya obejmowała głównie piwo i gorzałkę, gdyż potrzeba szynkowania win i miodów nie istniała tu albo wcale, albo w bardzo ograniczonéj mierze.

W Galicyi, po przyłączeniu jéj do Austryi, prawo propinacyi uległo znacznym modyfikacyom. Ograniczono je przedewszystkiém tylko do piwa i do wódek, i to z wyjątkiem wódek słodkich, i uchylono przymus brania napojów z karczmy dworskiéj. Wy-

kształcono je natomiast w miastach, które dawniéj miały wolność propinacyjną, przenosząc je z ogółu mieszczan, względnie zaś z cechów miejskich na gminę miejską jako taką.

Istniejące obecnie prawo propinacyi ma dwojaki charakter, w miarę tego, komu przysługuje. To, które wykonywują właściciele dóbr w obrębie swych posiadłości, czy to wiejskich, czy miejskich, powstało co do pierwszych w wieku XVII, co do drugich w XVIII w sposób nie całkiem licujący z dzisiejszemi naszemi pojęciami o sprawiedliwości, ale długoletnie posiadanie zatarło wady ich początku. Uważano je dawniéj za przynależność własności gruntowéj, a więc za prawo prywatne; w istocie jednak jest ono prawem publiczném, rodzajem podatku nałożonego na ludność gminy wiejskiéj lub miejskiéj na rzecz pewnéj osoby. To prawo propinacyi jest tedy rażącym anachronizmem, jak na stosunki dzisiejsze, które nie dopuszczają, ażeby jakakolwiek część prawa publicznego była udziałem osób prywatnych; to prawo propinacyi powinno być tedy zniesione i usunięte, oczywiście za odpowiedniém wynagrodzeniem, gdyż dotychczas uważano je za prawo prywatne, przedstawiające wartość majątkową.

Inaczéj ma się rzecz z prawem propinacyi, służącém dziś gminom miejskim jako takim. Wstąpiło ono w miejsce wolności propinacyjnéj, jaka poprzednio miastom tym była przyznana; powstało ono pod działaniem rozporządzeń administracyjnych, jakie rząd austryacki wydał dla Galicyi. Nie stoją one w związku z własnością gruntową tak, jak z nią nie stała wolność propinacyjna w dawnych miastach polskich, oparta na przywileju miejskim; nie są one tedy prawem prywatném. Prawo propinacyi miejskiéj jest, podobnie jak prawo propinacyi służące właścicielom prywatnym, podatkiem, ale podatkiem służącym na cele publiczne, na potrzeby gminne. To prawo nie stoi więc w sprzeczności z dzisiejszemi naszemi pojęciami prawnemi, i dałoby się, bezwzględnie rzecz biorąc, utrzymać i nadal, gdyby nie inne względy polityki finansowéj i ekonomicznéj, które mogą przemawiać za jego zniesieniem, oczywiście znowu za odpowiednią indemnizacyą majątku gminnego.

R.





DWORY DWÓCH PREZYDENTÓW

(Thiers i Mac-Mahon).

Natychmiast po objęciu krzesła prezydyalnego w rzeczypospolitéj francuskiéj przez Carnota, poznano, iż nowy naczelnik państwa radykalne zamierzał przeprowadzić zmiany w codziennnéj rutynie pałacu elizejskiego. Jakikolwiek kierunek przyjmie bieg polityczny jego urzędowania—a o tém nie tu miejsce, ni pora przesądzać—Carnot zdaje się być przekonania, że sporo wziętości prezydenta zależy od stanowiska, jakie zajmuje, nie tylko na czele rządu i Francyi, lecz i na czele społeczności narodowéj. Pod tym względem różnili się między sobą trzej jego poprzednicy; różnili się niezmiernie w zapatrywaniach na funkcye republiki — w opiniach o mierze wpływu, jakiéj prezydent powinien używać nad swymi ministrami—różnili się w sądach nad potrzebą wystawności, okazałości i etykiety w pałacu i otoczeniu swém, nad charakterem osobistych stosunków z monarchami. Prezydenci rzeczypospolitéj francuskiéj od r. 1871 tak byli niepodobni do siebie w charakterach, zasadach, celach i gustach, że istotnie metody, według których żyli i rządzili, są w porównywaniu ich o tyle ciekawe, o ile oryginalne. Obecnie o dwóch pierwszych prezydentach tylko piszemy, choć potrącimy i o trzeciego.

Thiers miał lat 74, kiedy objął ster rządu Francyi po oblężeniu Paryża. Podczas zawieszenia broni, w ogólnych wyborach otrzymał mandat do Zgromadzenia Narodowego z ramienia 27-miu na 89 okręgów wyborczych, a większość jego wyborców dała mu głosy w przekonaniu, iż on właśnie przywróci monarchią konstytucyjną. Po całym kraju, republikanie zaciekli złączyli się ze skrajnymi bonapartystami przeciw niemu. Plebiscyt, otrzymany w ten sposób,

zawdzięczał temu jedynie, że znalazł się na regestrze ugodowym *(liste de conciliation)*, spisanym przez legitymistów, orleanistów i onę masę wyborców, niepodobnych do klasyfikowania, którym chodzi o rząd energiczny i którzy grupują się w koło męża chwili, człowieka wybitnego—nie pytając wiele o następstwa. Wyborcy tacy byli podporą cesarstwa przez lat ośmnaście; lecz w absolutném niepodobieństwie przywrócenia na tron Napoleona III, przyjęli Thiersa, jako męża stanu, posiadającego największe doświadczenie, a zarazem powagę, siłę i energią, konieczne do walki przeciw rozpasanym żywiołom republikańskim. Popierali Thiersa także ci umiarkowani liberali, którzy republikanami byli w teoryi, którzy jednakże — z grozą Gambetty i w obec powstającéj komuny — chętnieby powitali, w zimie r. 1871, monarchią konstytucyjną z Ludwikiem Filipem II, jako najlepszą republikę.

Zgromadzenie narodowe zasiadło w Bordeaux, dokąd Gambetta przeniósł był siedzibę rządu, opuściwszy Tours. Teatr Wielki przygotowano na przyjęcie deputowanych; pierwsze zaraz *votum* zgromadzenia powierzyło Thiersowi ster rządu wykonawczego — i on téż zajął mieszkanie w prefekturze, opuszczone przez Gambettę.

Wchodząc do gabinetu eks-dyktatora, zawołał: „Fu! jaki odor tabaczny!“ Wtórowali mu poważny zawsze Barthélemy St. Hilaire, żona i panna Dosne, jéj siostra. Obeszli komnaty i wszędzie niemal znaleźli jeszcze pieczeniarzy Gambetty, nieuwiadomionych o potrzebie opuszczenia pałacu, żywiących może nadzieję zatrzymania urzędów w nowéj administracyi. Panowie ci palili, czytali pisma radykalne, popijali absynt lub piwo — prowadząc sprawy stanu — a w wolnych chwilach oblegali bilard (1). Wszyscy w czambuł otrzymali dymisye tego samego dnia; lecz gdy pani Thiers zapewniła, że kilku dni potrzeba na oczyszczenie i urządzenie mieszkania, mąż jéj przyjął ofiarowaną sobie gościnność w pałacu arcybiskupim, u msgr. Guiberta, późniejszego kardynała - arcybiskupa paryskiego. Wracając następnie do prefektury, naczelnik państwa znalazł wszystko we wzorowym ładzie; w dziedzińcu stał oddział straży honorowéj, broniącéj wstępu natrętom, nawykłym do swobody dni prokonsulatu. Na podobę Napoleona, Thiers odbył natychmiast przegląd téj straży i wszedł w rozmowę z żołnierzami.

— A byłeś ty w ogniu? — zapytał jednego z nich.

---

(1) Dufaure, któremu Thiers powierzył tekę ministra sprawiedliwości, pojechał do Paryża i zajął oficyalną rezydencyą przy placu Vendôme; znalazł w jednéj sali bilard, wprowadzony tam podczas oblężenia. Oburzony zawołał: „Co, bilard w kanclerstwie! Wyrzucić natychmiast ten mebel karczemny!“

Żołnierz wyprostował się, a nie śmiejąc powiedzieć „*Monsieur*“ dygnitarzowi, ani też „*Monsieur le Président*“ — bo naczelnik nie był jeszcze prezydentem oficyalnie — odpowiedział:

— *Oui, mon Exécutif!*

Thiers zaśmiał się na głos: „Ba, czemużby ten tytuł nie był tak dobry, jak inny? rzekł, opowiadając wypadek po obiedzie. Tego samego wieczora, mówiąc o alei *Avenue de l'Impératrice* w Paryżu, którą w czasie oblężenia nazwano *Avenue Uhrich* (1), zauważył: „Ze względu na możliwe zmiany dynastyczne i inne, lepiejby już raz nazawsze nazwać ją *Avenue de la Parente la plus proche du Chef du Pouvoir Exécutif*“ — aleją najbliższéj krewnéj naczelnika władzy wykonawczéj.

Podówczas rzadko który polityk podejrzywał Thiersa o zamiar ustalenia republiki. Rząd jego składał się po najwjększéj części z monarchistów, usiłujących pogodzić Henryka V z orleańskimi książętami. Uczeni doktrynerzy, którzy za cesarstwa redagowali „Revue des deux Mondes“ i „Journal des Débats“, powołani zostali do prefektur i służby dyplomatycznéj; w salonach księżnéj Decazes, hrabiny d'Haussonville i pani de Rémusat (wszystkie trzy przybyły do Bordeaux) o niczém innén nie mówiono, jak o widokach dynastycznéj zgody i ugody. Sam Thiers, w Bordeaux, o republice nie wspominał; więcéj nawet: sprzeciwiał się republikanom w dwóch punktach, jakie oni uważali za żywotne dla swego stronnictwa—odmówił rozwiązania zgromadzenia po przyjęciu pokoju z Prusami, i ani myśléć nie chciał o siedzibie rządu i ciała prawodawczego w Paryżu. Pod tym względem, wolał widzieć stolicę polityczną Francyi w Fontainebleau lub w Blois; przeciw Wersalowi stała myśl reakcyjna, zespolona z tradycyą miasta Ludwika XIV; jednakże Wersal był najprzystępniejszy i monarchiści potrafili nakłonić opinią publiczną do przyjęcia go za ognisko rządu i siedzibę władzy prawodawczéj. Ciż sami jednak monarchiści zamknęli Thiersowi sypialnią wielkiego króla, ku niemałemu oburzeniu „najbliższéj krewnéj naczelnika władzy wykonawczéj.“ Pałac, mówili, był dla prawodawczego ciała; galowe salony miały być zachowane dla użytku deputowanych; prywatne zaś pokoje zamieszkiwać miał prezes izby, p. Grévy.

Thiers chętnieby był spał w łożu Ludwika XIV i urządził gabinet swój w sławnym salonie balkonowym, z którego heroldzi

---

(1) General Uhrich był głównodowodzącym w Strasburgu. Kiedy się paryżanie dowiedzieli późniéj, że jego obrona fortecy nie była wcale tak świetną, jak sądzili, zdjęli jego nazwisko z alei, dziś znanéj *Avenue du Bois de Boulogne*.

ogłaszali śmierć jednego króla i tym samym tchem — wstąpienie na tron nowego. Sekretarz jego i wielbiciel, Barthélemy St. Hilaire, przekonywał, że słusznieby „dziejopisarz narodowy" zamieszkiwał w komnatach największego z królów — jakoś myśl ta nie przypadła ogółowi i Thiers oświadczył nakoniec, że salony były zbyt obszerne; pani Thiers gardziła nimi z powodu przeciągów i kopcących kominków. Cóżkolwiekbądź, Thiers nie mógł zapomnieć, że republikanie sprzeciwiali się równie gwałtownie, jak rojaliści, umieszczeniu go w królewskich pokojach. „Głupcy!" zawołał razu pewnego, widząc karykaturę, przedstawiającą go jako komicznego karzełka, ukoronowanego szlafmycą i leżącego w niezmierném łożu, obok którego snuły się majestatyczne cienie Burbonów; potém, pół w gniewie, dodał z charakterystyczną żywością: „Ludwik XIV nie był wyższym odemnie, a co do reszty jego wielkości, wątpię, by kiedykolwiek mógł był położyć się do najlepszego łóżka w Wersalu, gdyby życie był zaczął tak samo, jak ja!" Wkrótce potém, Mignet, spotykając Wiktora Hugo, lamentował na całą tę sprawę królewskich komnat. „Trudno powiedzieć — odparł poeta. — *Des idées de dictature doivent germer sous ce ciel-là!*" (marzenia dyktatury mogłyby zakiełkować pod oną kotarą). Doniesiono słowa te Thiersowi. „To dobre! — zawołał — Wiktor Hugo w mém miejscu spałby w łożu królewskiém, ale by kazał baldachim kotary podnieść wyżéj."

Thiers zajął mieszkanie w prefekturze wersalskiéj, i wkrótce wybuch komuny napełnił pałac najrozmaitszymi lokatorami. Przez kilka tygodni deputowani, nie dość zamożni na opłacenie niezmiernie drogich mieszkań w mieście, sypiali w pysznéj galeryi zwierciadlanéj, w któréj niegdyś wspaniałe odbywały się orgie — gdzie Wilhelm pruski został proklamowany cesarzem niemieckim. Na niższych piętrach pomieszczono ambulanse. Grévy cofnął się do kilku skromnych pokoików, zostawiając sypialnią Ludwika XIV sesyom komitetu finansów. Do Wersalu chroniło się tylu zbiegów z Paryża, że domy były przepełnione. Thiers ulokował u siebie, w prefekturze, przeszło dwudziestu najbliższych przyjaciół i częstował ich każdego rana kawą lub czekoladą; obiadów musieli oni szukać po hotelach, bo pani Thiers nie mogła przecież (i nie miała na to) urządzać u siebie regularnego *table d'hôte* i nie mogła téż żądać zapłaty.

W ciągu strasznych dni drugiego oblężenia Paryża, w otoczeniu Thiersa nie było, oczywiście, żadnéj wystawności, nie dbano o etykietę. Feuillet de Conches, były mistrz ceremonii przy Napoleonie III, zachował urząd swój, jako wprowadziciel ambasadorów;

urząd czczy, bo ambasadorowie i inni dygnitarze sami się prezentowali szefowi władzy wykonawczéj, kiedy tylko chcieli się z nim widzieć. Thiers, który rozjątrzył komunistów niemało, brakiem roztropnych ustępstw, a z drugiéj strony popełnił błąd gruby, oddając im niektóre z najlepszych bastyonów w koło Paryża (1),— był zajęty od rana do nocy, konferował z generałami i z parlamentarnemi komisyami. Szybkość, z jaką zorganizował armią, oblegającą stolicę, zasługuje bezwątpienia na podziw; lecz godném jest uwagi, że na czele rządu zdołał się utrzymać jedynie, szukając wsparcia u konserwatystów wszelkich odcieni i bezustannie odgrywając rolę wielce dwuznaczną. Napomykał konserwatystom, że po stłumieniu komuny, ustanowiłby rząd taki, jakiegoby sobie życzyła większość konwencyi; równocześnie zaś zaręczał emisaryuszom komuny, że nie pozwoli obalić republiki przez fakcye monarchistów.

Słuszność każe jednak wyznać, że gdyby nie był dał téj poręki komunistom, zostawiłby im wszelkie pozory, usprawiedliwiające ich rebelią; skądinąd, gdyby nie był łudził konserwatystów, musiałby ustąpić miejsca jakiemu otwartemu monarchiście—najprawdopodobniéj generałowi Changarnier—a rezultatem tego, republikanie stanęliby byli w czambuł po stronie komuny. Tak, wojna domowa musiałaby przyjąć cele i dążności daleko większéj wagi—musiałaby również rozlać się na całą Francyą. Generał Changarnier był głęboko zirytowany, że nie otrzymał naczelnego dowództwa armii wersalskiéj. Pyszałkowaty i intrygant—generał, mający za sobą parę zwycięztw algierskich i bezustannie chełpiący się swą zwycięzką szpadą (2) używał wszystkich możliwych wpływów, parlamentarnych i salonowych, lecz napróżno. Thiers zdołał się oprzéć— i zdał komendę marszałkowi Mac-Mahon. Bohatera Magenty wzruszył głęboko ten dowód zaufania. Mac-Mahon wzięty był w niewolę pod Sedanem, lecz—szczęściem dla jego sławy—poniósł tam ciężkie rany, niepozwalające zapomniéć dzielnéj szarży jego kirysyerów pod Reichshofen. Mimo tego, z Niemiec powrócił zrozpaczony, z myślą przygnębioną; nie dziw, iż otrzymując od Thiersa nominacyą, weteran wybuchł płaczem. Sam Thiers był wzruszony. „Dziękuję panu z głębi serca—rzekł marszałek—że mi dajesz sposobność naprawienia honoru wojskowego“!

Nominacya ta zadowolniła wszystkie sekcye stronnictwa zachowawczego, boć Mac-Mahon—choć był marszałkiem drugiego ce-

(1) Thiers faktycznie podpisał już był rozkaz ewakuacyi Mont Valérien, i długo się opierał cofnięciu rozkazu. Gdyby powstańcy byli zajęli ową fortecę, Wersal byłby zupełnie na łasce ich dział—i jakby się było powstanie zakończyło, trudno powiedziéć.

(2) „*Mon épée, habituée à vaincre*“.

sarstwa—był niegdyś królewskim gwardzistą Karola X, był legitymistą z wychowania i z stosunków familijnych, tak po stronie swojéj, jak żoninéj. Armia powitała go z uniesieniem i odtąd koniec komuny był blizki. Thiers wtedy, uspokojony w obawach zwycięztwa i tryumfu komunardów, począł się na seryo lękać o los pałacyku swego przy placu St. Georges, o bogatą bibliotekę swoję i skarby artystyczne. Przerażenie jego było okropne, gdy komuna wydała dekret zburzenia ulubionego jego domu i rozrzucenia zbiorów. Pani Thiers i panna Dosne używały wszelkich niewieścich podstępów, forteli i wpływów, by zapobiedz grożącéj stracie. Wszystko napróżno! Komuna dom zburzyła, skarby jego rozkradziono. Thiers zniósł cios ten nadzwyczaj bolesny z niespodziewanym spokojem umysłu.

Zbiory jego były wspaniałe; wiadomo, że niechętnie je pokazywał obcym, nie pożyczał ich publicznym wystawom, a na wszelkie prośby o pozwolenie oględzin, sekretarz odpowiadał niezmiennie grzeczną formułką odmowy. Malarz Courbet—będąc ministrem sztuk pięknych w czasie komuny—osłupiał z zadziwienia na widok skarbów Thiersa i oszacował same bronzy na półtora miliona franków. Zbiór perskich, chińskich i japońskich rzeczy był niemal jedyny. Po stłumieniu komuny, pani Thiers objeżdżała z siostrą, całemi miesiącami, wszystkie sklepy osobliwości w Paryżu i rozpoznawała skradzione przedmioty; płacąc, co żądano, i nie pytając zbytnio—udało się jéj przywrócić większą część skarbów mężowi i umieścić w nowym domu, zbudowanym kosztem miliona franków za dekretem zgromadzenia narodowego.

Po okropnym roku, nastąpił peryod zupełnego spokoju i ogólnéj pomyślności. Monarchiści, poróżnieni między sobą, zniechęceni także poniekąd uporem hr. Chamborda, stracili okazyą przywrócenia tronu, okazyą, jaka się przedstawiła po komunie, gdy kraj cały dość miał wojny domowéj. Republika ostała się, bo nieprzyjaciele jéj nie potrafili zgodzić się na sposób jéj obalenia. Thiers przyjął tytuł prezydenta; został panem Francyi. Ci, którzy nie znali jego niespokojnego charakteru i nie wiedzieli, jak niezdolnym był do rządów spokojnych—sądzili, że przewagę swą i powagę utrzyma do końca życia. W onym to roku, 1872, kolosalną indemnizacyą, wymaganą przez Niemcy, wypłacono, zaciągając pożyczkę, któràby rząd mógł był pokryć dziesięćkrotnie, gdyby chciał był przyjąć wszystkie ofiary. Kapitał zdawał się lać z wszystkich kieszeni. Niemcy, opuszczając kraj, zostawili naród rozkwitający na nowo, jak ogród po surowéj zimie. Przemysł odżył na całéj przestrzeni Francyi; ślady wojny i domowéj rewolucyi zniknęły szybko z ulic

Paryża; nastąpiła reorganizacya armii i administracyi, a na domiar szczęścia, żniwa dały plon tak obfity, jakiego nie pamiętano od pół wieku. Thiers nigdy nie był zbyt nabożnym; przecięż, gdy pewnéj niedzieli, w lipcu, preczytał wiadomość telegraficzną o wspaniałym zbiorze pszenicy w całéj południowéj Francyi, był przejęty na wskróś religijną wdzięcznością: „Dziękujmy Bogu! zawołał, składajac ręce. Posłyszał nas, żałoba nasza skończona“!

Thiers zamieszkiwał wtedy pałac Elizejski i trzymał dwór pewnego rodzaju. Ale, człowiek, jak on, nie mógł się żadną miarą krępować jakąbądź etykietą. Thiers był wybitnie *bourgeois*. Charakter jego był dziwną, wrzącą mięszaniną talentu, uczoności, erudycyi, próżności, dziecinnych kaprysów, wścibskiéj ciekawości, przenikliwości, polotnego patryotyzmu i samolubnéj ambicyi. Mówcą był świetnym—z krzykliwym głosem staréj przekupki; erudytą—nie bez znacznéj dozy zarozumiałości żaka szkolnego; dobroduszny, lecz niezmiernie i śmiesznie gniewliwy; doskonały administrator, lecz nie umiejący powściągać zbytniego mieszania się wszędzie we wszystko—co irytuje podwładnych i z pewnością nie ułatwia administracyi. Ludzi sądził trafnie i szybko, wiedział jak ich traktować—lecz wrodzona niecierpliwość nie pozwalała mu działać odpowiednio. Ubóstwiał wolność szczerze, a posiadał wszystkie instynkty samowładcy. Pełen był grzeczności dla kobiet, rozumiał dobrze ich potęgę—a jednakże tak mało zważał na nie, iż często je obrażał swą czysto napoleońską porywczością; obraził téż kobiety, które mogły mu zaszkodzić—i zaszkodziły.

Feuillet de Conches dał z Thiersem za wygraną. Cóż zrobić z prezydentem, który przy galowym obiedzie, danym ambasadorom i ministrom, wstawał od stołu po pierwszém daniu i chodził po sali, rozprawiając o polityce, obrazach, o sztuce wojennéj, lub o potrawach w *menu*? Obiad Thiersa samego składał się zazwyczaj z trochy rosołu, pieczystego—najczęściéj cielęcego—białego grochu i talerzyka konfitur morelowych. Załatwiał się z tym obiadem o dwóch kieliszkach *bordeaux*, w przeciągu dziesięciu minut—a potém zaczynał kaprysić: *Est-ce bon ce que vous manger là*? zapytywał gościa i zapuszczał się w dyskusyą kulinarną. Przynoszono mu depesze do stołu, otwierał je, mówiąc: Panowie wybaczycie, ale sprawy Francyi przedewszystkiém. Jeżeli wieść była ważna, zwykł był przy stole odpisywać instrukcye (1) i półgłosem powiadać swemu *major do-*

---

(1) Póki wojsko niemieckie stało we Francyi, Thiers używał papieru z szeroką czarną obwódką. Pisał gęsiem piórem, nieczytelnie, strasznie niedbale, i nie zważał na „żydy“.

mo, dokąd odesłać takowe. Jeżeli wieść była szczęśliwa, porywał się od stołu, biegał po pokoju, sypiąc żartami—a oczy śmiały się mu po za złotemi okularami.

Po obiedzie, odbywała się codzienna—i *coram hospitibus*—dyskusya między nim i żoną, czyby mógł pić czarną kawę. Pozwolenia nigdy nie otrzymywał; mrugał więc oczyma ku przyjaciołom, śmiał się i narzekał na swe kajdany małżeńskie; potém siadał w fotelu i zasypiał. Wtedy téż pani Thiers, z palcem na ustach, szeptała: *Monsieur Thiers dort*! i odprawiała gości do przyległego salonu, gdzie rozmawiano półgłosem. Prezydent drzémał i wyglądał arcy komicznie, z podbródkiem na wstędze Legii honorowéj, z krótkiemi nogami, nie dotykającemi posadzki—postać maleńka, niemal wzgardliwa. Troskliwość żony i panny Dosne o zdrowie jego była ciągła. Znaną jest anegdota, że gdy mu lekarz zabronił ulubionéj prowensalskiéj potrawy, *brandade* (ryby z czosnkiem), historyk Mignet przynosił ją kontrabandą w blaszance do gabinetu przyjaciela; jak téż, razu pewnego, znalazła pani Thiers niespodzianie obu „braci prowensalskich“ rozkoszujących w przemyconéj potrawie.

Thiers świadom był, oczywiście, swéj godności, jako prezydent rzeczypospolitéj, i przy galowych okazyach usiłował występować odpowiednio; lecz wszystkie przygotowania na pół-majestatycznéj pompy niszczył i usuwał on sam, czyniąc to, co mu wprzód weszło do głowy. Lokaje pałacowi nosili liberyą czarną, a *major domo*, ozdobiony srebrnym łańcuchem, starał się wpuszczać porannych gości do gabinetu prezydenta stosownie do ich rangi; lecz Thiers wychylał głowę z za drzwi i sam sobie wybierał z pomiędzy czekających. Ztąd dyalogi często wcale nie dworskie:

— Panie prezydencie, to już trzeci raz tu przychodzę i za każdym razem czekam dwie godziny!

— *Mon ami*, gdybyś pan był przyszedł w sprawach Francyi, a nie swych własnych, dawnobyśmy się rozmówili!

W pałacu Elizejskim, gabinetem Thiersa była sala Monarchów, dawniéj zwana salonem pracy, w któréj Napoleon I. ułożył plan swéj ostatniéj kampanii r. 1815-go, i gdzie podpisał akt abdykacyi. Salon jest umeblowany w stylu Ludwika XV, z obiciem Beauvais; w salonie przyległym mieścił się słynny Napoleona *dépôt de cartes géographiques*. Tu, z wielką mapą Paryża na stole, ostatni cesarz z generałami St. Arnaud i Magnan przygotowali operacye wojskowe dla *coup d'état*. Za czasu Thiersa, była tu biblioteka; przesiadywał tam pracowity Barthélemy St. Hilaire, redagując *Journal Officiel*, lub akademicznie polerując owe listy niezliczone, jakie w Thiersa imieniu rozchodziły się po kraju i za granicą. Thiers da-

wał audyencyą dziennikarzom, jakiegokolwiek rzędu, przed wszystkimi innymi. Ambasadorowie wyczekiwali, gdy prezydent—sam niegdy spółredaktor dziennika *National*—rozmawiał najuprzejmiéj z „swym kochanym kolegą“. Łatwość pisania posiadał tak wielką, że nieraz sam siadał i w kwadrans redagował artykuł, po natchnienie do którego przybył redaktor. W czasie wyborów paryskich roku 1873, kiedy przyjaciel jego i minister spraw zagranicznych, hr. de Rémusat, był kandydatem rządowym przeciwko lichéj wartości Barodetowi—spółpracownik *Figara* przyszedł do pałacu po wskazówkę; Thiers sam napisał natychmiast cały jednołamowy artykuł, który téż wydrukowano z podpisem: *Un vieux bourgeois de Paris*. Na nieszczęście, paryżanie ze zwykłą sobie postąpili niedorzecznością; wybrali człowieka bez zasług i zupełnie nieznanego. W miesiąc potém, Thiers, oburzony i zniechęcony, zrezygnował.

Mimo swych ekscentryczności, był on popularnym w burżuazyi i między rzetelną klasą roboczą; mógł téż był pozostać na swém stanowisku, gdyby nie kapryśność i kłótliwość jego usposobienia. To jedno przyznać mu trzeba, że żaden monarcha francuski, ani nawet Napoleon, tak dobrze, jak on, niepotrafił obrać ministra. Ministrowie Thiersa byli to zawsze ludzie zupełnie odpowiadający wymaganiom swego urzędu, tak pod względem charakteru, jak i doświadczenia; mimo tego, prezydent nie dawał im spokoju—z wyjątkiem dwóch bodaj: Dufaure'a—który sam był mrukliwy i nie cierpiał, by się mieszano w jego sprawy—i Jules Simon'a, za którego Thiers dałby się był posiekać. Prezydent poniżał się, przyjmując szpiegów policyjnych i dając im instrukcye po za plecami ministra spraw wewnętrznych. Korespondował sam, wprost, z pewnymi ambasadorami francuskimi i otrzymywał od nich informacye wcześniéj, aniżeli ministerstwo spraw zagranicznych. Popierał wynalazców i inżynierów, narzucając najczęściéj ich szemata wydziałowi robót publicznych, bez względu na koszt, lub niestosowność chwili. Sam doskonały krytyk artystyczny, zachęcał artystów—ale, gdy panna Nélie Jacquemart dokonała jego portretu, ją właśnie wybrał na swą doradczynię w kwestyach sztuki i uwagi jéj uważał za dogmata, którym wszystko musiało ustępować w ministerstwie sztuk pięknych.

Największym jego błędem było to wszakże, iż będąc prezydentem, zatrzymał krzesło w izbie i brał udział w debatach. Jako prezydent, przemawiający w prawodawstwie przez usta swych ministrów, był nie do zaczepienia swéj konstytucyjnéj warowni. Wolał jednak być swym własnym pierwszym ministrem,—i rzecz naturalna, musiał ponosić wszystkie koleje losu walk parlamentarnych.

Koniec rządów jego nastąpił 24-go maja 1873 r. Monarchiści nie śmieli zwalić go z prezydyalnego krzesła; republikanie nie wierzyli, iżby on sam chciał ustąpić. Gdyby był oświadczył deputowanym, że przestali przedstawiać naród prawdziwie—gdyby był zażądał rozwiązania izby i nowych wyborów—byłby zapewne odniósł zwycięstwo. Ale Thiers zgniewany był na republikanów za wybór Barodeta, zniecierpliwiony ich burzliwością i niekarnością. Ostatnia mowa prezydenta była oskarżeniem wszystkich i wszystkiego, pełna téż staruszkowatéj (*s. v. v.*) chytrości i młodzieńczéj siły. W głosowaniu—ku ogromnemu przerażeniu republikanów—rząd znalazł się w mniejszości 14-stu głosów. Thiers zrezygnował natychmiast. Wiedział on dobrze, iż—według ówczesnego horoskopu—ustąpienie jego zadało cios śmiertelny republice, i zdawał się żywić nadzieję potężnéj reakcyi na swą stronę w jakiéj wielkiéj demonstracyi ludowéj. I byłoby z pewnością przyszło do takiéj demonstracyi, gdyby zgromadzenia narodowe nie było wtedy pod laską Buffet'a (zręcznie poprzednio wsuniętego przez monarchistów w miejsce Grévy'ego), który, nie solwując posiedzenia i prowadząc debaty po wojskowemu, zakończył wszystko w trzech sesyach. Bezkrólewia nie było: 25-go maja gazety ogłosiły równocześnie ustąpienie Thiersa i wybór Mac-Mahona.

Mac-Mahon przyjął prezydenturę bez ambicyi zatrzymania jéj. Zdawało się wtedy niemal pewném, że między legitymistami i orleanistami zajdzie zgoda, że zgromadzenie ofiaruje koronę Francyi Herykowi V. Ku temuż celowi pracował gabinet ministeryalny z księciem de Broglie na czele—a marszałek gotów był poprzéć siłą rezolucyę zgromadzenia, jaką by kolwiek ona była. Zarazem, dom swój urządził na stopę pół-królewską — jak gdyby chciał tymczasową świetnością i wystawą przypomniéć szlachcie francuskiéj dawne czasy i przedsmak dać nadchodzących. „*Monsieur*“ Thiers był *bourgeois*; książę marszałek był prezydentem *grand-seigneur*. Pani Thiers wystarczała wszystkim potrzebom sumą 900,000 franków apanażu parlamentarnego; księżna de Magenta uważała tę sumę, jako użyteczną subwencyą. Marszałek posiadał spory majątek własny (choć nie równy Thiersowemu), lecz mimo to, dwór swój trzymał z wciskaną i narzucaną sobie pomocą bogatych krewnych (1).

---

(1) Żona marszałka była córką księcia de Castries i spokrewniona z dwoma największymi bankierami wiedeńskimi.

Pierwsze objawy wracającéj do pałacu okazałości błysnęły w liberyach. Lokaje zarzucili fraki czarne, a przywdziali perłowe, szamerowane srebrem, z pludrami z czerwonego pluszu, pończochami i pudrowanemi perukami. Thiers wyjeżdżał na ceremonie publiczne landarą, z eskortą gwardyi republikańskiej, a przyjaciele jego — świtą ich nie nazywał — jechali za nim, jak sami chcieli lub mogli. Marszałkowstwo ze świtą zajmowali trzy karety, lakierowane zielono w trzy lub cztery odcienie, wybite perłowéj barwy adamaszkiem; każda z nich była zaprzężona w cztéry siwe rumaki, z woźnicami w perłowych żakietach i czerwonych czapkach — a wszystko poprzedzała i zamykała eskorta. Na przeglądy wojsk, marszałek naturalnie wyjeżdżał konno z całym przepychem licznego sztabu i adjutantów. Thiers miał swoję *maison militaire*, szefem któréj był kuzyn jego, generał Charlemagne, — ten jednak nie miał nic do czynienia i nie przyjmował gości. Kto chciał widziéć się z Thiersem, posyłał bilet sekretarzowi B. St.-Hilaire. Przeciwnie, marszałek Mac-Mahon równie był nieprzystępny, jak który bądź z królów. Kto za jego czasów przybywał do Elizeum, musiał przechodzić od jednego błyszczącego urzędnika do drugiego, aż doszedł do uśmiechniętego wice-hr. Emanuela d'Harcourt, sekretarza prezydenta, i to już było *nec plus ultra*. Dziennikarzom bramy pałacu były stanowczo zamknięte. Jeżeli dobroduszny marszałek mógł wogóle kogo nienawidziéć — to nienawidził dziennikarzy. Czytał jednak gazety: wieczorem *Journal des Debats*—poniekąd z obowiązku, rano *Figaro*—dla rozrywki.

Wizyta szacha perskiego w r. 1873 dużo musiała wpłynąć na wspaniałe urządzenie dworu. Szkoda, że szach nie przybył do Paryża kilka miesięcy wcześniéj, bo ciekawém by było widziéć Thiersa, rozprawiającego przez tłómacza o perskich starożytnościach i etymologii wschodnich języków—przed pół-barbarzyńcą, olśniewającym dwory europejskie swemi brylantami i dumno-grubiańskiemi manierami. W marszałku znalazł Nasr-ed-Din amfitryona, umiejącego okazać godność odpowiednią; wszystkie fety, dane na cześć szacha w Paryżu i Wersalu — wojskowe parady z pochodniami, galowe przedstawienie w operze i bankiet na sali zwierciadlanéj—urządzone były na skalę świetniejszą niemal, niż gdyby cesarz zajmował tron jeszcze. W czasie bankietu szach zwrócił się do księżnéj i w kilku wyrazach po francusku — zapewne dobrze przygotowanych — zapytał: dla czego mąż jéj nie zrobił się cesarzem? Księżna pominęła pytanie uśmiéchem; być może, iż myśl ta nie była jéj tak obcą, jak się zdawało....

W ciągu jesieni roku 1873 restauracya Henryka V zdawała się tak bliską, że do republikańskiego Lyonu nachodziły kolosalne obstalunki paryskich bławatników, pilne potrzeby jedwabnych materyi, ozdobionych liliami — a pewien słynny powoźnik miał zbudować trzy galowe powozy dla tryumfalnego wjazdu króla do stolicy. Nadszedł dzień, w którym berło królewskie leżało u stóp hrabiego Chamborda. Najbliżsi powiernicy doradzali mu stanąć w sali zgromadzenia i przyjąć hołd reprezentantów narodu. Wszystko miało być w pogotowiu do téj teatralnéj zmiany. Minister wojny, prefekt policyi i sam nawet prezydent wiedzieli o zamiarze i byli weń wtajemniczeni. Gwardya miała stać pod bronią dla stłumienia możliwego oporu; plakaty z proklamacyą króla były w ręku całéj armii agentów. Hrabia Chambord przybył *incognito* do Wersalu i pewnego wieczora chodził wzdłuż i wszerz jadalni p. de la Rochette, swego przyjaciela, pytając sam siebie, czy miał uczynić lub nie, co od niego żądano.... Istotnie był on zawsze — Henrykiem Niegotowym. Znikł téj saméj nocy i w trzy dni późniéj wysłał ów dziwaczny manifest, w którym chełpiąc się z przywiązania do wiary i swego sztandaru, nazwał białą chorągiew „*le drapeau d'Arques et d'Ivry*", zapominając, że bitwy te były zwycięstwami protestantów!

Z polityczném Henryka V samobójstwem, ustały wszelkie widoki przywrócenia monarchii i Mac-Mahon zażądał od zgromadzenia septennatu. Nie miał jednakże chwili spokojnéj; republikanie lżyli go, iż w mowach swych i manifestach unikał wyrazu „republika", a monarchiści wyrzucali mu, że nie myślał o *coup d'état*. Polityki nie cierpiał i o politycznych koniecznościach miał bardzo niejasne pojęcie. Np. oświadczył, że bądź-co-bądź nie przyjmie nigdy Gambetty do gabinetu ministeryalnego: podobna deklaracya zrobiła, bardzo naturalnie, z przywódcy oportunistów śmiertelnego wroga marszałkowi. Gambetta jednakże okazał sporo taktu, nie agitując nigdy za strąceniem Mac-Mahona z prezydentury. Stawiając słynne ultimatum: *il faut se soumettre, ou se démettre*— przed samemi wyborami r. 1877—stawił tylko konstytucyjną zasadę, że prezydent obrany powinien albo spełniać wolę narodu, lub ustąpić. Wcale mu przecież nie chodziło o ustąpienie marszałka. Mawiał często, że wielce pożądaną byłoby rzeczą, by pierwszy republikański prezydent wysłużył cały swój termin, tak, ażeby nastąpiło regularne, konstytucyjne zdanie władzy następcy; kiedy też marszałek ustąpił partyi liberalnéj i mianował Dufaure'a pierwszym ministrem — Gambetta zaznaczył zapatrywania swoje, stawiając się na recepcyi w pałacu. Mało to jednak pomogło. Księżna zrobiła najceremonialniejszy ukłon przywódcy republikanów, marszałek ski-

nął głową melancholijnie — i Gambetta rad wyszedł czémprędzéj z domu, gdzie obecność jego wzbudzała więcéj zadziwienia i ciekawości, aniżeli przyjemności.

Zapytano marszałka, czy stanowczo odrzuca wszelki sojusz polityczny z Gambettą. „Bezwątpienia—odparł. — Nie zgodzilibyśmy się ani na godzinę, więc pocóż się spotykać?“ Innym razem powiedział: „Nie żądam, by ministrowie moi szli ze mną na mszę, lub polowali ze mną; muszą jednak być ludźmi, z którymi bym miał wspólne pole rozmowy, a takiego nigdy mieć nie bedę z onym panem.“

To mimowolne może zestawienie nabożeństwa z łowami przypominało Karola X-go. Marszałek słuchał mszy św. w niedzielę i święta w pięknéj kaplicy podziemnéj pałacu, zbudowanéj przez Eugeniusza Lacroix. Towarzyszyli mu zawsze wielcy urzędnicy dworu i jeden lub dwóch ministrów. Księżna była na mszy codziennie i wyznaczyła biskupów, księży i zakonników, którzy kolejno kazali przed nią w poście i adwencie, zupełnie jak przed królową. Co do sportu, majątek nie pozwalał marszałkowi spraszać wielu myśliwców — jak to czynił Napoleon III — do Compiègne lub Fontainebleau — ale polował często w wyborowém towarzystwie w lasach Rambouillet, a sekretarz jego wojskowy dawał pozwolenie generałom i wyższym oficerom strzelania w innych lasach koronnych. Marszałek zwykł nosić *képi* na polowaniu i nakazywał ścisłe zachowywanie etykiety, o tyle przynajmniéj, o ile to było możliwém.

Marszałek zrezygnował z prezydentury wskutek nieporozumienia, zaszłego między nim a jego liberalnymi ministrami w kwestyi nominacyi wojskowych. W ciągu całego urzędowania był zawsze niewzruszony w rzeczach wojskowych i rozdawaniu honorowych odznak cywilnym. Rady gabinetowe odbywały się w Elizeum, w salonie Monarchów; marszałek, siedząc w fotelu prezydyalnym, mało mówił, chyba że obrady potrąciły o armią. Wtedy brał udział żywy w dyskusyi, wyrażał się ostro i krótko. Tak samo z dekoracyami. Nie sprzeciwiał się ozdabianiu cywilnych krzyżem Legii honorowéj, ale chciał wiedzieć, kogo miał odznaczyć — znać dobrze całe *curriculum vitae* kandydata. Wolnomyślnych stanowczo wykluczał, odpowiadając niezmiennie: „Kto nie jest chrześcianinem—krzyża nie potrzebuje.“ *Tempora mutantur!*

Istotnie komiczny kaprys fortuny zdał następstwo po marszałku Juliuszowi Grévy. Legenda paryzka mówi, że w czasie barykad rewolucyi 1830 r. jeden z oficerów gwardyi najechał pewnego studenta prawa i zamierzał go skarcić za zdarcie z muru królewskiéj

proklamacyi. Oficer miał broń — student jéj nie posiadał, więc uciekł. Oficerem był Patryk de Mac-Mahon, a studentem J. Grévy. Grévy został adwokatem, zyskał sławę i majątek, stawając w obronie dziennikarzy, procesowanych przez rząd, a po upadku Ludwika Filipa tymczasowy rząd drugiéj republiki mianował go — jeżeli się nie mylimy—prefektem. Następnie obrany posłem z departamentu Jura, Grévy odznaczył się, wnosząc, aby nowa republika nie miała prezydenta, to jest by prezydentem był po prostu pierwszy minister, któregoby można zwalić z urzędu każdéj chwili.... Grévy zmienił opinią późniéj — przekonał się, że prezydent, zasiadający pod damoklesowym mieczem parlamentarnéj łaski, nie wychodzi na korzyść republice.

Londyn, w sierpniu.





POTRZEBA NOWÉJ ORGANIZACYI

Gospodarstwa wiejskiego.

Wiemy, że w skutek obniżenia się cen na ziarno, głównie zaś na pszenicę, gospodarstwa nietylko nasze, ale całego środkowego pasu Europy, poniosły straty. Odnośnie do nas przyczynę strat, upatrywali niektórzy optymiści w nadprodukcyi zbóż, w gruncie zaś rzeczy było to normalne zwiększanie się produkcyi, które skutkiem mało spodziewanego współzawodnictwa Ameryki i Indyi, nie miało żądania na targach europejskich równego poprzedniemu. Faktycznie więc wywołało stagnacyą współzawodnictwo zamorskie, z którém rolnik nasz i na przyszłość liczyć się musi, konkurencya amerykańska i indyjska istniała oddawna, bruździła nieraz, nie zwracano tylko na nią uwagi, dopóki nareszcie nie stała się przerażającą dla nas na przyszłość i rujnującą dziś.

W najważniejszéj bodaj na teraz ekonomicznéj sprawie Europie—współzawodnictwa Ameryki—zabierali głos bardzo poważni ludzie; pisali o niéj Semmler, Rudolf, Meyer, Wolff, świeżo Singer, rozpatrując w świetle niemieckich państwowych interesów ekonomicznych. U nas do najpoważniejszych i najsumienniejszych na tém polu prac należy zaliczyć rozprawę p. Wład. Wścieklicy: *Siły obecne i przewidywana przyszłość zamorskiéj konkurencyi zbożowéj*. Warszawa 1886.

Wszystkie prace powyżéj zacytowanych autorów zajmują się tylko *ekonomiczną* przyszłością produkcyi zbożowéj, o ile ona od współzawodnictwa Amerki zależy, a Sering w swéj pracy (*) niesie rolnikom europejskim oliwną gałązkę nadziei pod formą zapew-

---

(1) Die landw. Concurrenz Nordamerikas in Gegenwart u. Zukunft.

nienia, że Ameryka przestaje już być straszną—dla Niemiec, a natomiast zgrozą go przejmuje wzrastająca produkcya Rosyi, od któréj zresztą zabezpieczono się już cłami.

Położenie nasze ekonomiczne i społeczne nakazuje nam przyjąć inny punkt zapatrywania się i nie pozwala stawić kwestyi zaoceanowego współzawodnictwa wyłącznie na gruncie ekonomicznym. My nie możemy, jak Niemcy, zapomocą ceł, lub polityki regulować naszéj produkcyi zbożowéj, a ogólne położenie kraju uniemożebnia w krótkim czasie rozwój takich gałęzi przemysłowych, któreby pozwoliły na zatrzymanie zbywającego od potrzeb wewnętrznych zboża, w kraju lub na eksportowanie go pod formą zmienioną. Brak odbytu na zboże i płody rolnicze stawi naszą własność wielką i średnią w pozycyi bez wyjścia prawie. System eksploatacyi indywidualistycznéj i odpowiednia, do niego zastosowana, organizacya gospodarstwa, przy braku kapitału nakładowego i obrotowego, a wzrastających jednocześnie ciężarach, grożą ruiną własności wielkiéj i średniéj.

W ten sposób kwestya ekonomiczna wiąże się u nas u podstaw niemal z najważniejszém naszém społeczném zadaniem—potrzebą utrzymania ziemi. Tu już nie chodzi o to czy własność będzie należéć do *a*, czy do wszystkich liter alfabetu, ale o to, ażeby ją w ręku polskich utrzymać, ażeby dzisiejsza ruina ekonomiczna nie stała się klęską, sprowadzającą stokroć gorszą ruinę—narodową.

Trzeba przyznać, że w obecnym stanie rzeczy, zupełne wydziedziczenie własności wielkiéj i średniéj staje się bardzo prawdopodobném, nie jest więc rzeczą obojętną nietylko jacy będą spadkobiercy narodowego mienia, kto zastąpi wydziedziczonych, ale czy nie ma już żadnego sposobu utrzymania się przy ziemi?

W ten sposób zadanie, któreśmy sobie postawili, składa się z dwóch części: wyjaśnić naszę rolę i nasze miejsce w handlu wszechświatowym zbożowym i w liczbach, reprezentujących fakty, wskazać przyczyny niemożności współzawodniczenia na głównych rynkach europejskich w produkcyi zbożowéj i wskazać punkty wytyczne na przyszłość w celu utrzymania własności ziemskiéj w rękach polskich.

Kryzys—jak się podoba niektórym nasze położenie nazywać,—a według mego zdania spodziewane, więc normalne, położenie, do któregośmy bez naszéj winy, a co gorsza wiedzy, doszli—dałby się nazwać p s z e n i c z n y m, gdyż osią całego nieszczęścia stał się upadek cen pszenicy na targach europejskich, która stanowiła główny przedmiot eksportu najbogatszych południowo-wschodnich i południowych prowincyi cesarstwa Rosyjskiego. Pszenica więc stać się

musi osią rozumowania, ile razy o współzawodnictwie zbiorowém będzie mowa.

Przedewszystkiém, ażebyśmy sobie mogli zdać sprawę z obecnego położenia, musimy poznać kraje konsumujące naszą pszenicę a następnie kraje współzawodniczące z nami, siłę ich produkcyi, wybitniejsze warunki i prawdopodobną przyszłość na polu współzawodnictwa,—jedném słowem poznać z téj strony, która nas obecnie interesuje. Wnioski, jakie się same przez porównanie liczb nasuną, będą w części odpowiedzią na postawione pytania.

Pierwsze miejsce należy się Anglii dlatego, że jest największym naszym konsumentem, że spożycie się zwiększa, a więc wobec wolnego handlu przedstawiać może najwięcéj szans importu naszego zboża. Na rynki angielskie dowieziono:

Lata	z Rosyi pudów.	ze Stanów Zjedn. pud.	z Indyi pud.	z Australii pud.
1867	43.478.000	12.981.000	16.144	2.226.000
1868	31.166.000	17.315.000	500.000	600.000
1869	28.390.000	40.862.000	3.093	555.000
1870	31.834.000	38.352.000	26.660	264.000
1872	55.352.000	27.031.000	485.000	1.551.000
1873	29.746.000	61.368.000	2.296.000	5.584.000
1874	17.749.000	71.579.000	3.320.000	2.813.000
1875	31.016.000	72.922.000	4.136.000	3.586.000
1876	27.219.000	59.901.000	10.190.000	8.077.000
1877	33.567.000	66.299.000	18.925.000	1.319,000
1878	27.967.000	90.088.000	5.644.000	4.506.000
1879	24.814.000	112.729.000	2.749.000	6.967.000
1880	8.928.000	112.191.000	10.010.000	3.163.000
1881	12.544.000	111.588.000	22.728.000	9.203.000
1882	29.670.000	108.684.000	26.280.000	7.690.000
1883	41.209.000	80.804.000	34.854.000	8.344.000 (*)

Widzimy więc, że dowóz pszenicy z Rosyi, przy bardzo wahającym się stanie, dosięgnął zaledwie wysokości z roku 1867, dowóz z Indyi w r. 1867 nie mający żadnego znaczenia, w r. 1883 prawie dorównał dowozowi z Rosyi. W tym samym czasie import z Australii powiększył się cztery razy, a ze Stanów Zjednoczonych 10 razy.

(*) 1884 god w sielskochazlajstwiennom otnoszenii 1885. Liczby z ostatnich lat porównane zostały z Neumanna-Spallarta: Uebersichten ueber Production, Verkehr u. Handel in d. Weltwirtschaft, 1884 i okazały się w ogólnéj sumie prawie bez różnic. Większość dat i faktów z tego samego źródła czerpiemy.

Jeszcze lepiéj wyjaśni się rola współzawodniczących państw w procentach, stosownie do ogólnego importu Anglii.

	Rosya		Stany Zjed.		Indye		Australia
	%		%		%		%
1867	40,5	—	12,1	—	0,01	—	2,0
1868	30,8	—	15,0	—	0, 5	—	0,6
1869	24,3	—	35,0	—	—	—	0,5
1870	33,2	—	40,0	—	0,02	—	0,2
1871	39,8	—	34,4	—	0,31	—	0,9
1872	42,4	—	20,7	—	0,37	—	1,1
1873	21,9	—	45,2	—	1,6	—	4,1
1874	13,8	—	55,6	—	2,5	—	2,1
1875	19,3	—	45,4	—	2,6	—	2,0
1876	19,7	—	43,5	—	7,4	—	5,9
1877	19,9	—	39,5	—	11,2	—	6,9
1878	18,0	—	58,2	—	3,7	—	2,9
1879	13,4	—	60,8	—	1,6	—	3,5
1880	5,2	—	65,5	—	5,8	—	7,6
1881	7,0	—	63,8	—	12,8	—	5,1
1882	14,9	—	54,8	—	13,1	—	3,8
1883	20,7	—	40,5	—	17,6	—	4,3

Udział więc Rosyi, głównie, jak powiedziałem, południowo-zachodnich i południowych prowincyi cesarstwa Rosyjs. w zaopatrywaniu angielskiego rynku pszenicą zniżył się z 40,5% do 20,7%, a miejce Rosyi zajęły Stany Zjednoczone, zwiększywszy przeszło potrójnie swój dowóz.

Wobec angielskiego rynku francuski i niemiecki mają drugorzędne znaczenie.

Na rynki francuskie dostarczono:

	z Rosyi		ze Stanów Zjedn.
		pudy	
1877	7.871.000	—	3.107.000
1878	39.998.000	—	35.482.000
1879	36.749.000	—	82.888.000
1880	24.636.000	—	84.354.000
1881	15.810.000	—	39.206.000
1882	21.851.000	—	36.130.000

Na rynki niemieckie dostarczono:

		pudy	
1877	22.445.000	—	1.533.000
1878	24.401.000	—	55.000
1879	16.768.000	—	696.000
1880	2.303.000	—	3.049.000
1881	4.961.000	—	6.881.000
1882	13.199.000	—	4.539.000
1883	15.164.000	—	2.279.000
1884	19.850.000	—	4.406.000

Poznajmy teraz, w głównych zarysach przynajmniéj, współzawodników. Pierwsze miejsce należy się Stanom Zjednoczonym Ameryki północnéj. Ponieważ zwróciliśmy uwagę jedynie na pszenicę, przypatrzmy się pod tym względem Stanom Zjedn. Uprawa pszenicy w Ameryce rozrosła się szybko i nadzwyczajnie, posuwając się ku zachodowi. Granica uprawy pszenicy posunęła się na zachód w ciągu ostatnich 30 lat na 411 mil angiel. (*). W r. 1849 środek pszenicznéj strefy leżał pod 81° Gr., a w r. 1879 odchylił się do 88°45. W miarę posuwania się pszenicznéj strefy na zachód, przestrzeń uprawna zmniejszała się na wschodzie; niegdyś pobrzeże atlantyckie produkowało 50% pszenicy, a stany z tamtéj strony Missisipi tylko 5%, w roku zaś 1879 wschodnie stany produkowały tylko 13%, środkowe 50, zaś stany za Missisipi 370%. Ażeby dać miarę postępu wzrostu, dość jest powiedziéć, że w ogóle produkcya wzrosła w ciągu 30 lat na pobrzeżu atlantyckiém o 14%, na zachodzie zaś o 300%.

Reasumując daléj statystyczne wykazy, co do przestrzeni zajętéj pod uprawę pszenicy, widzimy, że w r. 1863 było obsiane tylko 13 mil. akrów, a zbiór wynosił 173 mil. buszli (**); w roku zaś 1883 pod posiewem było 37 mil. akrów, a zbiór dosięgnął 420 mil. buszli—był to jednak zbiór nie najlepszy, gdyż w r. 1882 zebrano 520 mil. buszli. Stosownie do tego zwiększał się wywóz. W r. 1860 wywieziono tylko 14 mil. buszli, w 1882 (z mąką) 121 mil. buszli, w 1883—150 mil. b., wreszcie w r. 1884—180 mil. b. Uwagi więc Seringa, w cytowaném dziele, o zmniejszaniu się eksportu Stanów Zjednoczonych co do pszenicy, słuszne są tylko względnie do Niemiec. Utrzymuje on, że kiedy w r. 1881 przywóz Stanów. Zjed. do Niemiec wynosił 48%, wliczając w to partye nadeszłe przez Belgią, Holandyą, Hamburg i Bremen, w r. 1886 import zmniejszył się do 26%. Przyczynę takiego zwrotu, bardzo pozorną zresztą, upatruje w rabunkowém gospodarstwie fermerów ameryk., które sprowadziło przedwczesne wyczerpanie się żyznych gruntów, doprowadzonych już jakoby do stadyum nieomal połowicznéj urodzajności, jako téż w polityce rolnéj Stanów Zjednoczonych.

Polityka owa polegała, według zdania Sering'a, na tém, że rząd, rozparcelowawszy najżyzniejsze ziemie na cząstki od 80—150 akrów i oddawszy tę ziemię tylko za koszt pomiarów, wywołał wzmożenie się produkcyi pszenicy, która dziś, znalazłszy się w warunkach

(*) Trudy komisii pri Imp. wolnom ekonom. obszczestwie po woprosu o wnieszniej torgowlie. Pietierburg, 1885.

(**) 1 akr = 0,724 morga; 1 buszel amer. = 0,275 korca.

mniéj dogodnych (wyczerpanie roli, spadek cen, nadprodukcya itp.) zmuszona została do zmniejszenia przestrzeni uprawnéj. Sering uważa dzisiejszą produkcyą Stan. Zjed. za maksymalną niemal granicę, głównie wobec téj okoliczności, że resztki żyznéj gleby, jakie pozostały od parcelacyi rządowéj *homestead act*, skupiły się w ręku spekulantów, kolei żelaznych lub należą poprostu do nieużytków (moczary, błotniste ponizia itp.).

Gdyby nawet nadzieje Seringa dały się rozciągnąć i po za Niemcy, to dobre następstwa ich byłyby bardzo krótkotrwałe. Nie należy zapominać, że pszenica, a wogóle zboże należy do pierwszorzędnych potrzeb człowieka i dopóki będzie wielkie zapotrzebowanie na rynku, dopóty kraje, w odpowiednich warunkach będące, usiłują produkować ziarno kosztem ograniczania innych produkcyjnych gałęzi, a wtedy Ameryka i Indye nie stracą wcale swego znaczenia, gdyż Europa, z wyjątkiem Rosyi i księstw naddunajskich, sama siebie wyżywić nie może, a chwila ta, kiedy Ameryka, Indye i Australia będą zmuszone ograniczyć swój wywóz dla zaspokojenia konsumcyi wewnętrznéj, jest jeszcze tak daleka, że się nawet określić nie da.

Obecnie współzawodnicy Europy nietylko są w stadyum wzmagania się, ale przewyższają ją organizacyą handlu, która pozwala dostarczać na rynki szybko i tanio. Zwiększenie się konsumcyi i przyrost ludności w Stanach Zjednoczon. nie stoją w żadnym stosunku do siebie na tyle, ażeby Europa mogła korzystne wnioski wysnuwać. Miarą zwiększającéj się konsumcyi są następujące liczby:

W roku	1849	na 1 mieszkańca	przypadało (*)	4 1/3	buszli	285	℔.
„	1859	„	„	5 1/2	„	363	℔.
„	1869	„	„	7 1/4	„	478	℔.
„	1879	„	„	9	„	594	℔.

Pomimo to wszystko przyrost produkcyi znacznie przewyższa przyrost ludności, bo kiedy według Block'a (**) ludność od r. 1870 do 1880 wzrosła o 30%, produkcya w tymże czasie podniosła się o 111%, a więc przyrost produkcyi prawie 4 razy był szybszy.

W Kanadzie uprawa ziarna robi także olbrzymie postępy. Angielska komisya, wyznaczona do zbadania pod tym względem kraju, wróży mu najświetniejszą przyszłość. Część kraju — Ontario i Wyższą Kanadę — nazywają *the future wheat granary of the new World* (przyszły szpichlerz zbożowy nowego świata). Bra-

(*) Buszel = 66 funt.

(**) W. Wścieklica: Zamorska konkurencya zbożowa.

kuje tylko dróg żelaznych i kolonistów. Kraj ten jest prawie dwa razy większy od Rosyi i oprócz 512 mil. hektarów lasu (970 mil. morgów), posiada 256 mil. hektarów roli (486 mil. morgów) odpowiedniéj pod kulturę pszenicy tj. dwa razy tyle ile posiada Rosya. Gdyby nawet w tych datach nie było ścisłéj dokładności, prawdopodobieństwo samo byłoby zastraszającém dla naszego rolnictwa i gospodarstwa zbożowego.

Przejdźmy teraz do Indyi Wschodnich. Rola Indyi, jako współzawodnika na europejskim rynku zbożowym, nie jest jeszcze dobrze wyświetlona, a poglądy ekonomistów na tę rolę w przyszłości wyrobiły się bardzo bałamutne i sprzeczne. Optymiści pocieszają się zwykle tą okolicznością, że Indye należą do krajów o niezmiernie nierównném zaludnieniu: obok prowincyi o zaludnieniu gęściejszém niż europejskie są takie, gdzie ludność ⅓ części gęstości europejskiéj zaledwie dosięga. Stąd się robi wniosek, że przy zwiększonéj ludności i produkcyi nastąpić musi także pewne wyrównanie pod względem zaspokojenia potrzeb wewnętrznych, które eksport na wielką skalę uniemożebni. Następnie gospodarstwo indyjskie nie posiada takiéj organizacyi, która z Europy przeszła do Ameryki i nosi nazwę w i e l k i e g o i n t e n s y w n e g o g o s p o d a r s t w a, a natomiast posiada gospodarstwa małe,—według więc utartych w naszéj nauce ekonomicznych teoryi, nie może produkować na wywóz, lecz tylko na konsumcyą. Potwierdzenie tego faktu znajdują w zwiększającéj się ludności, która spożyje wszelkie zapasy. Byłoby to w istocie faktem niezbitym, gdyby pożywienie można było zdobyć bez kapitału tj. bez kosztów kupna w okręgach, posiadających nadprodukcyą, i dostawy.

Większą może przeszkodą byłby nierówny klimat: w jednych prowincyach—suchy i potrzebujący nawodniania, w innych zbyt wilgotny, utrudniający normalny rozwój zbóż wogóle kłosowych. Nie trzeba jednak, zapominać że w wielu bardzo miejscowościach możebny jest podwójny zbiór w jednym roku. Pierwszy zbiór (*charif*) składa się z ryżu, sorgo (*dżugary*), indygo i bawełny, a często bardzo i trzciny cukrowéj, a drugi (*rabi*) daje pszenicę, jęczmień, len i przypada na tak zwaną zimową porę. Dodawszy do tego nadzwyczajną taniość robotnika, nie znającego chłodu, a często i odzieży, łatwo zrozumiéć, że Indye nie są wcale tak mało straszne dla przyszłości rolnictwa europejskiego, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało.

Anglia robi obecnie olbrzymie starania, ażeby w Indyach nietylko podnieść produkcyą ziarna, ale powiększyć ilość powierzchni uprawnéj i ułatwić komunikacyą z metropolią. Państwo nie robi tak

wielkich nakładów bez przyczyn uzasadnionych. Jedną z takich przyczyn niezawodnie jest utworzenie własnego rynku zbożowego i nie tylko utworzenie przez to wymiany produktów, ale możebne usunięcie zależności od obcego współzawodnictwa na wypadek nieporozumień zbrojnych.

W tym celu w Indyach zbudowano nowy kanał, mający 502 mile angiel. długości, który łącznie z bocznemi gałęziami pozwoli nawadniać przeszło 700 tysięcy akrów ; koleje żelazne zkrzyżowały kraj w różnych kierunkach, a niedawno ukończona została najdłuższa linia znana pod nazwą kolei doliny Indu *(Indus Valley Railway)*, która łączy Pendżab, najżyźniejsze ponizie pięciu rzek, z portem Kurrachee.

Pszenica indyjska do r. 1873 nie była dowożona do Europy, od tego zaś czasu rok rocznie dowozi się na targi wszechświatowe. Rozwój sieci kolei żelaznych, zniżenie taryfy przewozowéj ułatwiają odbyt. Już w r. 1879 Watson Forbes, w raporcie złożonym ministeryum, utrzymywał, że Indye Wschodnie mogą 30—35 mil. kwarterów (*) produkować, czyli 396 — 462 mil. pudów, t. j. mniéj więcéj tyle, ile obecnie produkują Stany Zjednoczone, a d-r Hunter utrzymuje, że produkcya może się jeszcze podnieść o 10—20%. Biorąc na uwagę bardzo małą wydajność, bo tylko 13 buszli z akra, przy bajecznie nizkiéj cenie robotnika, Hamilton mniema, że Indye mogą produkować na wywóz normalnie 13—14 mil. hektolitrów przy ogólnéj produkcyi, wynoszącéj 85 do 90 mil. hektolitrów rocznie, czyli około 180 mil. korcy. Obecnie produkcya Indyi obejmuje 26 mil akrów (**), czyli 18.820.000 morgów, a eksport w 1883 dosięgnął 20 mil. cetn., czyli 62 mil. pudów, czyli 10.330.000 korcy. Co zaś do rynku angielskiego, z Indyi dowieziono tam w r. 1882 cetn. 8 mil. (3.333.330 korcy), a z Rosyi 9½ mil. (3.950.000 korcy). Jest-to więc współzawodnik zbyt poważny, ażeby go można było lekceważąco traktować. Wszystko to, co się mówi i pisze o zanieczyszczeniu pszenicy indyjskiéj i wogóle na jéj niekorzyść, trzeba przyjmować z wielką ostrożnością, gdyż zdobycie rynku europejskiego już jest faktem bardzo znamiennym i na korzyść produktu mówiącym. Widocznie kupcy sądzą inaczéj, kiedy indyjska pszenica potrafiła sobie zdobyć tak wymagające rynki jak francuski i belgijski. Znawcy przypisują tę okoliczność dwóm wybitnym jéj przymiotom: cienkości naskórka i suchości ziarna, a niezawodnie i przymiotom chemicznym, skutkiem czego daje więcéj ciasta.

(*) Kwarter = 8 buszli.

(**) 1884 god w sielskochaziajstwiennom otnoszenii.

Poznaliśmy w głównych zarysach siły i zasobność produkcyjną wybitniejszych współzawodników, mogliśmy i mieliśmy niejakie prawo wnioskować, że przyszłość handlu zbożowego do nich należy, — rzućmy więc teraz okiem, jak wygląda ogólna produkcyi Rosyi i jaki udział w niéj biorą południowo-zachodnie prowincye, produkujące pszenicę na wywóz, a więc w sprawie współzawodnictwa najbardziéj zainteresowane.

Jak Ameryka przeważnie produkuje pszenicę ozimą, tak Rosya jarą, a jedynym dostarczycielem na rynki europejskie jest pas czarnoziemny. Pierwsze miejsce pod względem produkcyi pszenicy zajmuje Rosya południowa, mianowicie gubernie: Besarabska, Chersońska, Ekaterynosławska, Taurycka i ziemia kozaków Dońskich; drugie miejsce wschodnie i południowo-zachodnie gubernie: Kazańska, Symbirska, Saratowska, Samarska, Ufimska, Orenburska, Astrachańska. Trzecie dopiéro miejsce przypada w udziale południowo-zachodnim gub., produkującym, jak powiedzieliśmy, wyłącznie ozimą pszenicę. Stosunek liczbowy przedstawia się jak następuje:

		1883		1884
		w czetwiertlach (*)		
I. Południowe stepowe gubernie wyprodukowały wogóle pszenicy . .	jaréj	11.300.000	—	12.200.000
	oziméj	2.750.000	—	3.580.000
II. Wschodnie i połudn.-wsch. gub.	jaréj	11.250.000	—	13.320.000
	oziméj	33.500	—	123.700
III. Południowo-zachodnie guber.	oziméj	3.176.000	—	6.054.000
	jaréj	207.860	—	270.100
IV. Środkowe czarnoziemne gub.	oziméj	944.000	—	1.373.000
	jaréj	3.112.000	—	3.503.000

Ogólna zaś produkcya pszenicy w Rosyi wynosiła:

	1883		1884	
	w czetwirtlach			
oziméj . . .	8.835.000	—	13.106.000	
jaréj . . .	27.981.000	—	31.706 000	
łącznie .	36.816.000	—	44.812.000	(**)
w korcach „ .	58.905.600	—	61.699.200.	

W roku więc 1884 dosięgliśmy maksymalnéj produkcyi, która od téj chwili zmniejszać się poczęła. Da się to zastosować nie tylko do całéj Rosyi, ale i do prowincyi południowo-zachodnich, które nas w danéj chwili najbardziéj interesują.

(*) 1 czetwiert'=10 pudów, 1 korzec=240 funt. czyli 6 pudów, 8 korcy=5 czetw.
(**) 1884 god i t. d.

Zestawmy teraz ostatnie wyniki rozumowań, ujęte w liczby:

	Produkcya		Wywóz
Stany Zjedn. (520 mil. busz.) .	1.300 mil. pud.	—	480 mil. pud.
Indye Wschodnie	410 „ „	—	300 „ „
Rosya (wogóle) r. 1884 . . .	440 „ „	—	310 „ „
Południ.-zachod. prowincye. .	60 „ „		m. w. 40 „ „

Liczby te świadczą o naszéj sile, udziale na wszechświatowym rynku i stosunku do dwóch głównych współzawodników.

Stany Zjednoczone, posiadając o połowę mniéj mieszkańców niż Rosya, produkują trzy razy więcéj i wywożą przeszło o połowę więcéj. Produkcya w Indyach Wschodnich ostatniemi laty zrównała się z Rosyą co do siły i eksportu, posiadając przytém szanse zwiększenia produkcyi, pomimo zwiększającéj się ludności. Przyrost produkcyi w Rosyi w strefie południowéj i południowo-wschodniéj jest bardzo problematyczny co do eksportu, a w żadnym wypadku nie może przybrać tak szerokich rozmiarów jak w Indyach, Kanadzie i Stanach Zjedn. z powodu, że zwiększenie się jedynie byłoby możebne na drodze ulepszonéj kultury, a tylko w bardzo małéj części przez zagarnianie pod pług nieuprawnych przestrzeni. Zresztą stosunkowy przyrost ludności powiększy konsumcyę wewnętrzną. Ogólny więc wywóz zbożowy Rosyi w obecnéj chwili należy uważać jako punkt niemal najwyższy, do którego dosięgła bez uszczerbku innych gałęzi produkcyjnych. W takich więc warunkach koszta produkcyi nie umniejszać się, ale zwiększać się tylko mogą, czyli mówiąc innemi słowami: produkcya zbiorowa będzie się coraz bardziéj zbliżać do warunków zachodnio-europejskich, przy których wewnętrzna potrzeba staje się mimowolnym celem produkcyi państwowéj w granicach omawianych. Nic więc dziwnego, że w podobnych warunkach współzawodnictwo będzie coraz trudniejsze.

Co do prowincyi południowo-zachodnich, położenie ich jest o tyle gorsze, że one stanowią pikietę jeszcze bardziéj na zachód wysuniętą, wolnéj od kultury ziemi nie posiadają prawie wcale, a nadwyżkę, którą mogłyby na rynki europejskie dostarczyć, zawdzięczać muszą tylko zmniejszonéj przestrzeni uprawnéj pod inne rośliny. Sprowadzić się więc to wszystko może do kwestyi porównawczego rachunku i lat urodzajnych. Dodać potrzeba, że własność wielka i średnia, w znacznéj swojéj większości zmuszona jest produkować drożéj, z powodu droższych podatków, nadpłat i kredytu.

W obec tych liczb i uwag, nie można nie przyznać, że położenie, przy obecnéj organizacyi gospodarstwa, jest nie do zazdrości i że przyjść może chwila jeszcze gorsza dla własności wielkiéj i średniéj—co wtedy robić?

Nie dość, że co do obszaru produkcyi jesteśmy w warunkach znacznie gorszych niż nasi współzawodnicy, posiadający glebę naturalnéj żyzności, zdatną do produkcyi pszenicy, w ilości wielekroć przewyższającéj niekiedy całą Europę, warunki wewnętrzne handlu i transportu są u nas w stanie bardzo pierwotnym. Nie tu miejsce roztrząsać owe warunki i mówić o nich, dość tylko wspomniéć—znamy je wszyscy. Nie da się jednak zaprzeczyć, że państwa współzawodniczące z nami dążą do wszelkich ułatwień swoim producentom — chociażby co do transportu. Kilka liczb zestawionych najlepiéj nas o tém przekona.

W Stanach Zjedn. konkurencya między zarządami komunikacyi na jeziorach a zarządami kolei, jako téż konkurencya rozmaitych linii kolei żelaznych z sobą przyczyniły się do zniżenia taryfy przewozowéj. Od Chicago do Baltimore (1840 mil ang.) w r. 1877 przewóz jednego buszla pszenicy (66 ℔ ros.) kosztował 17,5 cent. (*), z Indyanopolis do Baltimore (716 mil) 17 cent., z Toledo do Baltimore (668 mil) 14 cent. Dla uniknienia przeładowywania zboża oczyszczono deltę Mississipi tak, że stała się dostępną dla wielkich statków i tym sposobem zboże szło wprost z wnętrza kraju przez Nowy Orlean do Europy. Oprócz tego pogłębiono kanał Erie i za pomocą dwóch nowych kanałów połączono Mississipi z przystanią Hudson. Nowy York stał się środkowym punktem handlu Stanów Zjedn. Między Chicago a Nowym Yorkiem w następujący sposób zniżała się taryfa przewozowa dla 1 buszla pszenicy w centach amerykańskich:

Jeziorem i kanałem .	1868	25,3
	1873	19,2
	1878	10,1
	1879	13,0
	1880	13,2
	1881	8,6
Jeziorem i koleją . . .	1868	29,0
	1873	26,9
	1878	11,4
	1879	13,3
	1880	15,7
	1881	10,4
Samą koleją tylko . .	1868	42,6
	1873	33,2
	1878	17,7
	1879	17,0
	1880	19,7
	1881	14,4

(*) Za 1 dolar płaci się zazwyczaj 4,25 marek niemieckich.

Koszt przewozu morzem z portów atlantyckich amerykańskich do Anglii jest również zniżony do minimum. Z Chicago do Liverpoolu kosztował przewóz 100 funtów angielskich.

W roku	1875. . . .	35⅓ pensów
„	1876—1877 .	33⅓ „
„	1878. . . .	31⅔ „
„	1879. . . .	30⅓ „

czyli przeciętnie za sto funtów 3,25 marek za przestrzeń 3073 mil.

Z portów Indyi Wschodnich jest prawie dwa razy tyle odległości, co z Chicago do Liverpoolu. Z Bombay do Londynu jest 6274 mil mor., z Kurrachee (Kureczi) do Londynu 6080 mil; przewóz morzem jednéj tonny (*) kosztował:

z Bombay do Londynu . .	35 szyl. 2 d.
z Kurachee „ . . .	38 „ 9 „

Mimo tak wielką różnicę pszenica indyjska mogła konkurować z amerykańską, gdyż Anglia w rzeczywistości z portów Atlantyckiego oceanu otrzymuje tylko 60% potrzebnéj pszenicy, a 40% z portów oceanu Spokojnego. Transport zaś z San-Francisco do Liverpoolu kosztuje 63 szyl. 11 d. (1882) za tonnę, co już umożebnia Indyom konkurencyą.

Przytoczyliśmy ceny frachtowe szczegółowo, ażeby można było porównać je z drożyzną naszych cen.

Transport 10 pud. pszenicy przez 100 wiorst kosztuje (1884) z Rosyi:

wodą	22,5 kop. pap.
na tę samą przestrzeń koleją .	30,75 „ „

W Ameryce transport w takich samych warunkach téj saméj ilości:

wodą . .	4,3 kop. pap.
koleją . .	7,35 „ „ (**)

Przejdźmy na grunt lokalny — i dopiéro wtedy przekonamy się, jak drogo nas kosztuje przewóz:

z Berdyczowa do Gdańska pud kosztuje. .	30 kop.
„ „ Odessy „ „ . .	20 „
z Białéj Cerkwi do Gdańska „ „ . .	21½ „
„ „ „ Odessy „ „ . .	12 „

W obec takich nierówności, a często niesprawiedliwości i wyzysku, co mogą począć rolnicy? A jednak jest to tylko malutka cząstka złego. Dodajmy barbarzyńską organizacyę przewozową,

(*) Tonna = 2000 funt., około 80 korcy à 240 f.
(*) Trudy komissii pri Imp. wol. ekonom. obszcz. 1885 g.

która oddaje na łaskę zarządów kolei rolników, brak elewatorów, brak magazynów, zdzierstwo komisantów i naczelników stacyi, które stało się u nas zwyczajem, a łatwo zrozumiemy dla czego współzawodnictwo z Indyami i Ameryką jest dla nas niedościgłą mrzonką.

Téj więc chwili naszego smutnego ekonomicznego życia nie możemy uważać jako przejściową, która zmieniać się może na lepsze, a raczéj lepsze czasy, które nastąpić mogą, za przejściowe uważać należy. Dopóki nic nie zmieni się z tych podstaw, które współzawodnikom naszym zabezpieczają zwycięstwo nad nami, dopóty wszelkie nadzieje będą iluzyą i błahą pociechą. Wogóle położenie handlu zbożowego, a więc względnie produkcyi ziarnowéj u nas nie należy uważać jako kryzys, ale jako zwrotny punkt w produkcyi. Europa już nieraz takie zwrotne punkty przebywała, a wywoływało je najnaturalniejsze w świecie zjawisko: coraz większe oddalanie się granicy zbożowéj produkcyi, w miarę narastania ludności. Weźmiemy choćby takie ognisko, jakim był Rzym. Z początku Sycylia była jego szpichlerzem, potém własna produkcya współzawodniczyła z dowozem Egipskim, od XV w. na widownię wystąpiły porty morza Baltyckiego i Czarnego, zkąd okrętami przewożono ziarno, nareszcie teraz występuje Ameryka i Indye udział w żywieniu już nie Rzymu, ale całego państwa biorą. To samo się dzieje nie tylko z każdém państwem europejskiém, ale działo się z każdém państwem starożytnego świata, czy było ono rzeczpospolitą, składającą się z jednego miasta i okręgu, czy obejmowało wielkie różnoplemienne terytoryum. Naturalnie, obok przyczyn normalnych, rzekłbym przyrodzonych, które na coraz szersze rozsuwanie się granic produkcyi zbożowéj wpływały i wpływają, działają także przyczyny drugorzędne, o które nam nie chodzi wcale.

Europa obecnie jest w przededniu takiéj chwili, lub ściśle powiedziawszy, jest na przełomie starych stosunków ekonomicznych; porządek mający ustąpić już rozpoczął walkę z porządkiem mającym nastąpić. Europa w sferze rolnictwa, z wyjątkiem wschodu i południa Rosyi z państwa produkującego przechodzi w stadyum państwa konsumującego, a następstwo wywołane owym przełomem, trapi nas jako położenie, określone nazwą kryzysu, nadprodukcyi, współzawodnictwa i t. p.

W obec takiego stanu rzeczy, położenie nasze staje się o wiele groźniejszém niż by być mogło, gdyby zjawiska przeżywanéj doby, dające się objąć jednym wyrazem stagnacyi, były tylko chwilowém przejściem do innych, normalnych pod względem ekonomicznym czasów. Mimowoli więc wysuwa się przerażające widmo

naszéj najbliższéj przyszłości. Z jednéj strony staje nierozwiązalne prawie pytanie: jak utrzymać ziemię, którą pogarszające się warunki ekonomiczne, obok innych, z rąk nam powolnie wysuwają; z drugiéj strony—jak się przysposobić do spotkania nowych warunków życia, które logika historyczna wywołać musi i utrzymawszy się przy ziemi, pozyskać tym sposobem podstawę, coraz bardziéj chwiejną, coraz bardziéj usuwającą się z pod nóg, w obec któréj wszelkie myśli w przyszłości sprowadzają się do marzeń.

Obok ciężkiéj doby ekonomicznéj, przeżywamy jeszcze chwilę jeżeli nie panowania to szerzenia się radykalizmu, trzymającego się bardzo wąskich ścieżek w ocenianiu wzajemnego stosunku różnych warstw społecznych do siebie i w zapatrywaniu się na własność wielką i średnią. Żądanie zamiany własności wielkiéj i średniéj na drobną, włościańską jest tak samo pozbawione wszelkich logicznych podstaw, jak żądanie przekształcenia drobnéj własności na wielką. Gdyby można sobie wyobrazić państwo jako płaszczyznę ziemi wolną i niezajętą, a teoretyków i publicystów jako ludzi niezwiązanych niczém z tą własnością, wtedy można by przeprowadzić taki lub inny podział własności, według mniemania pewnych kół, najodpowiedniejszy. Skoro się jednak stosunki ukształtowały inaczéj, przekształcenie ich musi się odbywać z taką samą powolnością, jak kształtowanie się — o tyle może prędzéj, o ile potrzeba zmuszać będzie.

Jeżeli mówimy o potrzebie zachowania ziemi, jako jedynéj podstawy, bez któréj rozumna przyszłość nie możebna, to chodzi nam nie tylko o to, ażeby włościanin polski został przy ziemi, posiadał jéj w miarę możności najwięcéj, był otoczony najwyższym dobrobytem, ale żeby własność wielka i średnia nie przeszły w obce ręce. Własność wielka i średnia stanowi połowę własności narodowéj i to połowę znajdującą się w ręku najwykształceńszéj warstwy, zmarnowane wsi lub wykupione, jak w Poznańskiém, przez Niemców, prowadzi naród do bankructwa ekonomicznego i moralnego. Połową organizmu nie żyje żaden człowiek i żaden naród żyć nie może. Cokolwiekbyśmy mówili o sile żywotnéj włościanina wogóle, bez wyjątku narodowości, jest ona mało odporną, jeżeli działa sama, zewnątrz naciskana obcoplemiennym klinem. Za najlepszy dowód służy ta łatwość, z jaką Niemcy wyparli nas z zachodu i z jaką zniemczyli za naszéj historycznéj pamięci Szląsk. My widzimy tylko te resztki, które pozostały i poczuwają się do narodowości, ale nie widzimy zniemczonych, którzy nie protestują. A przecież tam najwcześniéj rozpoczęło się przejście wielkiéj i średniéj własności w obce ręce.

To samo nas dziś czeka, a czeka tém rychléj, że obok anormalnych społecznych stosunków, własność wielka i średnia są pod fatalnym naciskiem nowokształtujących się warunków ekonomicznych.

Jaką obrać drogę postępowania przejściową, któraby pozwoliła utrzymać się przy ziemi i pozostawić przekształcenie agrarnych stosunków powolnéj, a raczéj normalnéj ewolucyi?

Podział własności ziemskiéj u nas daje do pewnego stopnia odpowiedź na powyższe pytanie. Jakiż jest ten podział? Ażeby nie przeciążać artykułu datami statystycznemi, można je streścić, a streszczenie przekona nas o nadzwyczajnéj nieproporcyonalności władania. Królestwo Polskie jest może jeszcze lepiéj ustosunkowane niż inne prowincye. Nie chodzi nam zresztą o wyjątki i szczegóły, ale o większość i opartą na niéj charakterystykę. Istnieje więc przedewszystkiém własność wielka, którą nie w i e l k ą należałoby nazwać, według klasyfikacyi europejskich ekonomistów, ale raczéj rzymskiém mianem l a t i f u n d y ó w. Przeciętne jéj granice wprawdzie od lat 25 znacznie się zwęziły, ale zwężenie odbyło się ze stratą społeczną, bo było to albo marnowanie własności, albo przymusowe wywłaszczenie pod różną formą. Dziś jeszcze własność wielka jest przeważającą, albo równą własności małéj. Mówimy tu o własności ziemskiéj w granicach produkcyi rolnéj. Nie chodzi jednak o to, czy ta lub inna grupa przeważa, i nie o to, ażeby ta lub inna przeważała, ale o stosunek organizmu wielkiéj własności do małéj, gdyż z tego czysto ekonomicznego stosunku wypływają pewne niedogodności w obec własności drobnéj, nieproporcyonalnie małéj.

Mogą mi słusznie zarzucić, że własność drobna w większéj części państw europejskich jest jeszcze mniejsza. Nie zaprzeczam temu wcale, lecz tam z powodu rozwinięcia się rozmaitych gałęzi przemysłowych, siły zbywające na małéj własności łatwo znajdują potrzebowanie i zastosowanie w przemyśle, a więc nie tylko nie marnują się niepożytecznie, ale przeciwnie zapracowanym groszem gospodarstwo rolne wspierają. U nas dzieje się odwrotnie. Przemysłu rolnego lub téż mającego siedzibę swoję na wsi prawie nie ma, a jeżeli jest, to albo skoncentrowany w pewnéj miejscowości, albo sił roboczych zużytkować nie może z powodu szczupłych granic swego działania. Stąd wynika, że drobna własność posiada siły robocze, lecz nie posiada dróg, na których te siły zastosowanie znaleść by mogły. Zmuszone więc są one do trzymania się roli i do nędznego życia na swojéj własności z powodu braku zapotrzebowania rąk.

Jedynym wielkim rynkiem na siły robocze wiejskie jest własność wielka i średnia, ale obecnie ta własność znajduje się w ciężkiém położeniu ekonomiczném z powodu małego odbytu na produkty i braku kapitału obrotowego, z natury więc rzeczy ogranicza się do minimum potrzebnych sił i do minimum kapitału. Ztąd wypływa, że nawet niezbędnego robotnika nie opłaca, a poniekąd nie może opłacać należycie. W rezultacie więc posiadamy robotników bez dostatecznego zajęcia i robotników niedostatecznie płatnych, a nie mamy przed sobą prawie żadnych wskazówek i nadziei, ażeby nierówności ekonomiczne prędko i z zadowoleniem stron obu wygładzić się mogły.

Nieproporcyonalna więc nierówność własności ziemskiéj pociąga za sobą fatalne następstwa: własność wielka nie może produkować o tyle tanio, ażeby mogła współzawodniczyć na rynkach wszechświatowych, zmuszona więc produkować wiele bez pożytku; własność zaś mała produkuje tyle, że jéj na pożywienie nie wystarcza, pomimo to, że siły posiada, a nadmiar tych sił zmuszona jest marnować w obec niemożności zastosowania. U góry marnuje się ziemia, bo właścieiel przyzwyczajony do pewnéj skali życia, a nie mogąc jéj zaspokoić z gospodarstwa, sprzedaje własność lub zadłuża ją i doprowadza do sprzedaży; u dołu marnuje się lud, rozrodzony na szczupłéj zagrodzie i przymiéra głodem, chociaż o miedzę tylko graniczy z bogatym sąsiadem.

Czyż jako najprostsze rozwiązanie tego ekonomicznego i społecznego problematu nie nasuwa się myśl możności wzajemnego ratowania się, myśl jakiegoś bliźniego skojarzenia się ziemi, roli z pracą i siłą, własności wielkiéj z małą? Oczywiście więc mogłaby to być jakaś spółka—nie ta, którą nam szlacheccy demokraci przedstawiają pod nazwą współki chaty z dworem, opartéj na sentymentalno-patryotycznéj podstawie bratania się, którego szlachta nie żąda, a lud nie rozumié, lecz po prostu na podstawie ekonomicznéj. Jeżeli w takich warunkach nie zdoła się zadzierzgnąć węzeł przyjaźni i łączności, jeżeli wspólność interesów ekonomicznych nie wywoła innéj wspólności, to na solidarność, wywołaną teoryą bratania się zbyt długo wypadnie nam czekać.

Jakaż to mogłaby być spółka, o któréj wspomnieliśmy? Jest-to system znany już na zachodzie Europy, na który słynny angielski agronom Joung, w podróżach swoich po Francyi, Włoszech i Hiszpanii uwagę zwrócił. Było to w końcu XVIII w. System ów zwany *métayage* albo *mezzeria* nie cieszył się ani sympatyą Joung'a, ani późniejszych ekonomistów aż do doby dzisiejszéj z bardzo prostéj

przyczyny—że wyprzedzał swój wiek. Była to epoka niesłychanego wzmożenia się i panowania kapitału, który poczuwszy swoję potęgę wszystkie sfery pracy użytkował na swoję wyłączną korzyść; stosowany więc zrzadka system połowniczego gospodarstwa, użytkującego pracę kolektywną, nie mógł się cieszyć uznaniem. Joung przekonał się, że gospodarstwo połownicze uboży ruch wiejski i nie pozwala wprowadzić organizacyi postępowéj. Podróże jego zeszły się z chwilą pierwszych kroków na drodze postępu rolnictwa: w Anglii wszyscy czołem bili przed Joungiem i Davy'm, w Niemczech—przed Thaerem, Eichhornem, Schubertem, Sweitzer'em i in. którzy na podstawie nauk przyrodniczych i chemii stawili podwaliny nowoczesnego rolnictwa, wróżącego sobie jakąś idealną przyszłość. Śród tego chóru chylącego się przed wszechpotężną nauką, odezwał się jeden tylko głos prawdziwie genialnego ekonomisty v. Thünen'a, który zwrócił uwagę na istnienie obrębów czyli kół produkcyi, zmieniających się w miarę narastania ludności, środków komunikacyi, drożyzny ziemi, wzrostu miast itp.

Zdawało się, że niezmierny postęp nauk przyrodniczych, zastosowany do rolnictwa, stworzy z roli niewyczerpaną skarbnicę dla kapitalistów i właścicieli; nic więc dziwnego, że połownicze gospodarstwo ganiono, gdyż dawało ono znacznie mniéj niż drogą inną otrzymać można-by było i psuło harmonię całości folwarcznego organizmu, która ujętą została w szereg formuł, przepisów i planów.

Jeżeli dziś jednak na zachodzie jeszcze możebny indywidualistyczny ustrój gospodarstwa, a na wschodzie i południu (Rosyi) konieczny, to tylko dlatego, że zachód posiada jeszcze obfitość kapitałów i taniość, a wschód—obfitość ziemi i brak zaludnienia. Tam kapitał zdobędzie robotnika tu—robotnik przyjdzie do chleba. I tu i tam własność zagrożoną nie jest wydziedziczeniem i bankructwem, można więc czas jakiś łudzić się zdobyczami nowożytnéj nauki. U nas inny stan rzeczy, inne położenie. My musimy nietylko ziemię ratować dla przyszłości, bez któréj samodzielna przyszłość nie świetna, ale zbliżyć się do siebie dobrowolnie—w imieniu téj saméj przyszłości.

Ratunek własności i zbliżenia się w połowniczém gospodarstwie spoczywa. Jest to środek ratunkowy niezmiernie wątły jeżeli patrzymy nań zdaleka, niezmiernie doniosły jeżeli do podstaw sięgniemy.

Że system parobczany, obecnie jeszcze w rutynie gospodarstwa wiejskiego panujący, przestaje być ideałem i w wielu razach niezadawalnia patronów lub ich zastępców, widać już z tego, że sta-

rają się go w części zastąpić robotą ugodową, szczególnie spostrzegamy to we francuskiém i niemieckiém gospodarstwie, które bliżéj i lepiéj obserwować możemy. Zawierają się w ten sposób umowy na sprzęt jednostki pewnéj zboża na pniu lub głąbi, płaca robotników obrabiających buraki (we Francyi i Niemczech) normuje się według ilości urodzaju, o ile on zależy od jakości roboty itp. W pewnych wypadkach i okolicach, gdzie panuje wzajemne zaufanie, i u nas roboty ugodowe w życie wchodzą. Wszystko to jest wskazówką wadliwości systemu parobczanego dla obu stron: wielka własność zmuszona jest płacić nie za natężenie siły i zręczność użyte, ale za c z a s; robotnik niczém nie będąc zachęcony do pracowania lepiéj, sumienniéj, szczerzéj, a przedewszystkiém będąc wynagrodzony niedostatecznie, troszczy się tylko o to, ażeby mu czas minął najrychléj.

Oczywiście, że podobny stosunek nie może żadnéj strony zadowolnić i rodzi tylko wieczne niechęci wzajemne, wywołuje codzienne zaostrzenia. Właściciel, widząc złą i nieodpowiednią pracę, słusznie bywa z niéj niezadowolony, a wobec niemożności zaradzenia złemu, tém bardziéj, że się nie zawsze właściwą przyczynę złego odnajduje, w końcu zniechęca się do pracy rolniczéj i ucieka do miasta. Następca jego pozostaje w tych samych warunkach, a powodzenie jego materyalne nie tyle będzie zależne od umiejętności i pracy osobistéj, ile od temperamentu i charakteru, od mniejszéj lub większéj łatwości i spokoju, z jakim przeciwieństwa pokonywać będzie. Ustawiczny anormalny stosunek patrona i robotnika, przy lada sposobności zaostrzający się, wywołuje wzajemną zawiść, nienawiść, a często pogardę. Naturalnie wszelka uczciwa praca w podobnych warunkach staje się mrzonką.

Kiedy system pańszczyzniany usuwano z gospodarstwa przez akt zniesienia zależności osobistéj i pracy obowiązkowéj, głosiciele haseł wolnéj pracy obiecywali sobie i innym złote jabłka, a przedewszystkiém widziano w nim podniesienie się materyalnego bytu i obywatelskich uczuć w sferze włościaństwa. W gruncie rzeczy nic się nie zmieniło—oprócz f o r m y zależności, bo jéj s t o p i e ń, z punktu ekonomicznego, nieraz się podniósł. Na ruinach systemu pańszczyznianego powstał system parobczanego gospodarstwa, który nie tylko nie zagoił długowiekowych ran, ale wzajemne stosunki często jeszcze bardziéj zaostrzył, a mimo to nie ziścił obiecanek.

Zniesienie pańszczyzny, połączone z brakiem kapitału, już wówczas instynktownie wywołało nowy zwrot, w organizacyi gospodarstwa, szczególnie na Litwie, gdzie wspólnicy połowniczego go-

spodarstwa przyjęli nazwę zapaszników. Tu i owdzie, system połowniczego gosp. praktykuje się na Ukrainie, Podolu i Wołyniu na niewielkich kawałkach roli, które położone między polami włościańskieml lub zbyt daleko od folwarku, przedstawiały pewne niedogodności dla eksploatacyi folwarcznéj. Nie o to jednak chodzi: kiedy i gdzie poraz pierwszy zastosowano system połowniczy, ale o to: czy w obecnym stanie rzeczy przedstawia on rzeczywiście korzyści materyalne i na jakich podstawach oprzéć go można.

Popróbujmy przeprowadzić szematyczny rachunek gospodarstwa na 300 (*) morgach roli uprawnéj, opartego na parobczanym systemie i porównajmy go z gosp. połowicznêm. Z jednéj strony będziemy liczyć jedynie rozchody, tylko kapitałem obrotowym zaspakajane, nie dołączając do niego podatków i innych rozchodów stałych, nieobjętych rubryką „wydatki gospodarskie“,—jak: inwentarz istniejący żywy i martwy, utrzymanie budynków itp.

Na 7 pługów konnych potrzeba:

7 parobków, 7 poganiaczów	rs. 450
1 gumienny . . . . , ...	„ 90
1 stróż nocny i dozorca	„ 60
ekonom	„ 250
pisarz i rachmistrz w jednéj osobie	„ 150
	rs. 1000

Zbiór:

75 morg. pszenicy 750 kop po 40 kop. . .	rs. 300	
25 „ żyta 200 kop po 40 kop. . . .	„ 80	
100 „ jarzyny; kosowica po 1,50 kop.	„ 150	
wiązanie 700 kop po 15 kop.	„ 105	
50 „ koniczyny po 1,50 kop.	„ 75	
młocka 1650 kop po 15 kop.	„ 249	960
odnowienie inwentarza żywego i martwego i straty		300
10% od obrotowego kapitału m. w. 1000. . . .		100
nieprzewidziane i różne (wozowica, układanie w stérty itp.)		400
	Razem	rs. 3000 (**)

(*) Ponieważ folwark nie składa się nigdy tylko z roli uprawnéj, ale posiada jeszcze łąki, nieużytki, lasy lub zarośla, nie zajęte pod kulturę rolną, przeto faktycznie folwark o 300 m. uprawnéj roli posiadać może około 500 morg obszaru tj. będzie stanowić własność średnią w wielkiem przecięciu w cesarstwie rosyjskiém.

(**) Naturalnie, w wolnych od robót chwilach parobcy mogą być użyci do zbioru i wozowicy, ale powyższy dodatek roboczizny równoważyć się będzie różnicą mogącą wyniknąć na cenie, którą dla pośpiechu podnieść nieraz potrzeba w czasie gwałtownych ro-

Tyle może kosztować gosp. parobczane.

Obaczmy co daje takie gospodarstwo?

Żyta	100 czetw.	800 pud	po kop.	45	. . rs.	360
Pszenicy	300 „	3000 „	„	75	. . „	2250
Owsa	250 „	1750 „	„	45	. . „	787
Jęczmienia	150 „	1200 „	„	50	. . „	600
Koniczyny		10.000 „	„	10	. . „	1000
					Razem rs. okrągło	5000

Odtrąciwszy rozchód 3000

Pozostawało by zysku wyłącznie z roli rs. 2000 bez potrącenia podatków i innych rozchodów, nie policzonych w szematycznym rachunku, dlatego że są wspólne gospodarstwu połowniczemu i parobczanemu.

Dochód *brutto* przy połowniczém gosp. przypadałby właścicielowi w połowie tylko, a więc za:

Żyto	rs.	180
Pszenicę	„	1125
Owies	„	395
Jęczmień	„	300
Koniczynę	„	500
Razem około	rs.	2500.

Z poprzedniego parobczanego rachunku pozostawało mu zysku 2000 rs.; odliczywszy owies w ziarnie i koniczynę w sianie na paszę dla koni, zysk zmniejszył by się o 895 rs. bez opłaty podatków czyli wynosił by (2000—895) = 1105 rs. Przy gospodarstwie zaś połowniczém gospodarz posiadałby więcéj (2500 rs.—1105 rs.) o 1395 rs. przy identycznych warunkach. Liczba ta wydaje się zbyt imponującą, przyjąwszy w rachubę małą skalę gospodarstwa, tém nie mniéj jest ona bardzo prawdopodobną.

Kilka wyjaśnień usprawiedliwi ją w oczach czytelników. Przy gospodarstwie połowniczém gospodarz nie ponosi żadnych rozchodów stałych, poszczególnionych wyżéj, a wynoszących rs. 3000 (myśmy je mimo to przyjęli w całości), co najwyżéj obciążać go może połowa kosztów ziarna na posiew i ekonoma, ale rozchody te wynagrodzić się mogą wypożyczeniem budynków, inwentarza martwego, młócarni itp. Koszt utrzymania inwentarza roboczego odpada także, a więc przypadające na niego owies i koniczyna mogą być spieniężone.

---

bót. Zresztą szematyczny rachunek powinien dać wskazówkę, ale nie ma pretensyi do ścisłości lokalnéj a tembardziéj do tego, ażeby mógł stanowić jakąś normę dla ogółu ekonomiczno-rolnych stosunków. Gdzie i kiedy gosp. połownicze będzie możebne, rozstrzygnąć mogą tylko miejscowe warunki pewnego gospodarstwa.

Oprócz wymienionych tu dogodności, właściciel majątku przy gospodarstwie połowniczém nie ponosi żadnego ryzyka na inwentarzu, żadnych kosztów na reperacye budynków folwarcznych, które zresztą może wypożyczać wspólnikom. Pozostaje mu przytém cały inwentarz martwy, z którym bądź może wejść do spółki, jako z kapitałem, bądź sprzedać go lub wypożyczać. W dodatku do wszystkiego rezerwować sobie może paśniki, lucerniska i t. p., nie zaliczające się zwykle do kompleksu gospodarskiego, a mogące mu zabezpieczyć utrzymanie kilku krów i pary koni, zwłaszcza przy połowie plewy i słomy, przypadających na jego część. Streściwszy to wszystko do ostatecznych wyników, wypadnie, że właściciel folwarku przy gospodarstwie połowniczém nie potrzebuje wcale kapitału, którego zdobycie obecnie jest dla niego Scyllą i Charybdą; posiada połowę krescencyi, któréj wartość realna przedstawia wartość podatku i stałych rządowych rozchodów, a wartość targowa, mierzona nawet najniższą ceną na rynkach wewnętrznych, może najmniéj trzy razy przewyższać wartość realną. Przy najgorszéj więc nawet cenie targowéj, sprzedaż nie może się dokonać ze stratą gospodarstwa.

Przy takich warunkach nie tylko współzawodnictwo długo jeszcze byłoby możebne, ale i pozyskałoby się większe szanse utrzymania ziemi, o którą nam dziś tak bardzo chodzi.

Tyle zyskuje jedna strona,— ileż zyskuje i na czém—druga?

Weźmy dwa typy gospodarstw włościańskich. Jedno zupełne, całkowite, reprezentujące mniéj więcéj 16 m. pola i rodzinę składającą się z 5 robotników. Rola wyżywić wprawdzie może całą rodzinę, ale zatrudnić przez cały rok nie może, szczególnie jeżeli się przemysłem domowym nie zajmuje. Gospodarstwo utrzymuje dwa lub cztery konie, lub taką samę ilość wołów tak dla robót rolnych jakotéż dla zarobkowania. Jest-to inwentarz dla gospodarstwa 16-stomorgowego za wielki i zatrudniony przez cały rok być nie może, utrzymywany zaś być musi także i dla tego, że plewy i słomę spożytkowuje najlepiéj. Roboty w polu zatrudniają kilkanaście do kilkudziesięciu dni w ciągu roku, przez resztę czasu, jeżeli nie zarobkuje — a brak zarobku nazbyt często się zdarza—spętany gryzie wątłą trawkę na ugorach i ścierniskach. Siły robocze ręczne muszą być—o ile nie wynajęte—zatrudnione nieprodukcyjną pracą domową.

Przejdźmy teraz do drugiego typu—do gospodarstwa niekompletnego lub nawet zagrodowego. Rodzina składa się także z téj saméj liczby osób, a często więcéj, kilka morgów pola zaledwie kilkanaście dni roboczych absorbuje w roku, a mimo to na takim gospodarstwie także znajduje się paru koni, w roli pomocników.

I tu i tam więc są zbywające siły sprzężajne i ręczne, które z bardzo małym kosztem dałyby się zużytkować w gospodarstwie połowniczém, bo tylko kosztem zwiększonego pożywienia. Można więc śmiało utrzymywać, że włościanin, przystępujący do spółki gospodarskiéj, prawie żadnego kapitału nie potrzebuje: ziemię posiada, inwentarz i narzędzia również, pracę ręczną daje zbywającą od potrzeb własnego gospodarstwa i w rezultacie bywa za tę pracę wynagrodzony, daje przytém lepszą pracę, — jedném słowem posiada to wszystko, na co właścicielowi folwarku potrzebny jest bardzo znaczny kapitał nakładowy i obrotowy. Połowa zaś krescencyi, przypadająca w udziale połownikom, gdyby nie przynosiła żadnéj innéj korzyści oprócz stałéj lokacyi pracy i dobrego wynagrodzenia téj pracy, już byłaby dla wspólników wielkim zyskiem.

Używając terminu gospodarstwo połownicze, połownik, nie rozumiem przez to spółki, w którejby właściciel zawsze połowę zbiorów otrzymywał; w jednéj miejscowości wypadło by mu zapewne więcéj, w innéj—mniéj, stosownie do ogólnych warunków ekonomicznych. Regulatorem musiałby być stosunek wartości ziemi do wartości pracy i siły zaprzężnéj. Pewność zarobku z jednéj strony i najlepsza zapłata, bo regulowana wysokością natężenia własnéj pracy, przyczyniły by się do podniesienia dobrobytu włościan lepiéj i łatwiéj niż wszelkie inne filantropijne zachcianki, a uobywatelnienie musiałoby nastąpić jako rezultat wspólności interesów materyalnych. Byłaby to podstawa jasna, zrozumiała, a wytworzenie się solidarności nie potrzebowałoby żadnych obsłonek.

W jaki sposób zawiązać spółkę i utworzyć organizm gospodarski na zasadzie pracy kolektywnéj?

Nie silę się wcale na rozwiązanie tego pytania tak, ażeby wszystkie szczegóły rozumowania można było wprost przenieść w rzeczywistość i zastosować. Z zarzutami niemożności uczynienia tego zbyt często się spotyka, a robią je zwykle ludzie nie lubiący zastanawiać się, myśléć, przystosowywać się, jednem słowem tacy, którzy o tyle myśl cenią, o ile ona ujętą już jest w skończoną formułkę. Wprowadzenie jéj w czyn nie wymaga wtedy żadnego natężenia umysłowego. Ułożenie takiéj formułki nie było wcale moim zamiarem. Warunki ekonomiczne są tak lokalne i tak rozmaite, że na opracowanie powszechnie obowiązującéj umowy lub szematu nie pozwalają. Nie szczegóły więc gospodarskie, natrafić się mogące w praktyce, interesują nas w danéj chwili, ale ogólne podstawy, na których zawiązanie spółki byłoby możebne.

Przedewszystkiém spółka musi być zawarowana umową, ażeby jedna i druga strona wiedziały o wzajemnych zobowiązaniach i ich wysokości, a niewiadomością żadna strona tłómaczyć się nie mogła. Więc najprzód czas trwania spółki. Z uwagi na to, ażeby obie strony, właściciel folwarku i spólnicy, byli jak najmniéj krępowani i mogli łatwo z niedogodnéj umowy wycofać się, należałoby termin roczny przyjąć; jako normalny, z prawem prolongaty. Jest to jednak termin zbyt krótki i dla obu stron uciążliwy, gdyż z byle jakiego powodu zmusza właściciela lub połownika do szukania nowéj lokacyi dla ziemi lub pracy przy zupełnéj niepewności znalezienia innéj. Zresztą, jeżeli system gospodarstwa polowego zorganizowany jest według wymagań nowożytnéj nauki, to cykl robót gospodarskich nie kończy się jednym rokiem, tylko ciągle robią się zaliczki kapitału i pracy na lata następne i te zaliczki muszą być tém większe im gospodarstwo bardziéj skomplikowane. Wspólnik, usuwający się ze spółki, usuwać się także będzie od roboty takiéj, jaką zwykle dla swego interesu wykonywał, a ponieważ kontrola będzie utrudniona, gospodarstwo ponosić musi niewidzialne straty (zła uprawa ziemi, nieodpowiedni siew itp.) i zaciera się przez to możebna jednolitość gospodarska. Ponieważ system gospodarstwa polowego bywa 3—4—5—6 itd. roczny, bądź płodozmienny bądź nie, przeto i umowę należałoby ograniczyć do tego okresu; wtedy dla obu stron złe szanse nie są coroczne, ale przypadają co 3—4—5—6 itd. lat, zastrzegłszy specyalnemi warunkami prawo usunięcia lub usunięcie się spólnika.

Dla lepszéj gwarancyi można byłoby żądać od każdego spólnika kaucyi, w odpowiedniéj wysokości i w razie możności solidarnéj odpowiedzialności robotą, gdyby w ciągu roku zdarzył się nadzwyczajny wypadek, zmuszający spólnika do niedotrzymania umowy (śmierć kilku osób w domu, pomór inwentarza itp.). Solidarna odpowiedzialność byłaby tu bardzo na miejscu nietylko w interesie właściciela, ale i spólników. Kaucya, niekiedy konieczna, z punktu ekonomicznego jest szkodliwa, bo więzi niepotrzebnie kapitał, mniejsza o to w jakiéj formie.

W umowie oczywiście nietylko powinna być wymieniona osoba spólnika, ale oznaczona także jednostka jakaś ekonomiczna. z którą spólnik do umowy przystępuje, określająca do pewnego stopnia siłę robotniczą spólnika, a jednocześnie odpowiadająca mniéj więcéj jakiéjś jednostce powierzchni uprawy. Taką jednostkę rolnictwo wyrobiło sobie już w starożytności, jest nią tak zwany pług nie jako narzędzie do uprawy roli, ale jako pewna siła robotnicza. Pług lub socha, stosownie do miejscowości, składa się z dwuparowe-

go, parowego, a nieraz i jednokonnego zaprzęgu, zależnie od spoistości gleby i można liczyć przeciętnie na jeden pług 15—16 m. ziemi. Stąd téż spólnik mógłby przystąpić z pługiem tj. zobowiązać się do zupełnéj uprawy 16 morgów roli, licząc w to zbiór, zwózkę, młockę itp., z pół-pługiem i ćwierć-pługiem, a w takim razie pół-pługi i ćwierć-pługi składałyby się odpowiednio do ilości ziemi w folwarku.

Naczelne zwierzchnictwo musiałoby być w jednych ręku, dla tego ażeby całéj pracy nadać charakter jednolitości i roboty gospodarskie uskuteczniać w najodpowiedniejszym czasie, kierunek naczelny mógłby pozostać w ręku właściciela lub osoby, wybranéj wspólnie przez obie strony i wspólnie płatnéj. Połownicy obowiązani byliby do robót, według pór roku i potrzeb, stawić się bez oporu z jednostajnemi narzędziami i sprzężajem na tyle silnym, ażeby przerwy w robocie lub przeszkód nie było. Być bardzo może, że właściciel wejdzie w umowę z połownikami i ustąpi im własne narzędzia. Każdy połownik może sobie donająć na własny rachunek tyle robotników, ile mu w danéj chwili do pośpiechu potrzeba, a w razie potrzeby, właściciel lub jego zastępca mogą także donająć robotników na rachunek spólników, z poręczeniem opłaty w gotówce lub w naturze.

Ubezpieczenie plonów i ziarna na wypadek gradobicia lub pożarów muszą być także wspólne, a połowa tylko ryzyka, na jaką właściciel może być narażony, jest także dla tego ostatniego jako téż i dla połowników wielką ulgą.

Rozdział plonów odbywać się może w naturze rozmaicie: bądź w snopie, bądź w ziarnie i trawie; lepiéj oczywiście, jeżeli odbywa się w formie ostatecznéj, gdyż wtenczas łatwiéj zachować sprawiedliwość, ścisłość i równość. Pozostawienie prawa wyboru lub pierwszeństwa właścicielowi nie daje połownikom gwarancyi, jak i odwrotnie, gdyby pierwszeństwo przysługiwało połownikom.

System gospodarstwa połowniczego na tyle jest łatwy i możebny, że w każdém niemal gospodarstwie da się zastosować, bo gdyby brakowało włościan, zajętych nazbyt własną rolą, ci sami parobcy lub większość ich, którzy na folwarku służą mogliby stać się połownikami, pracującymi dworskim inwentarzem na odpowiednich warunkach.

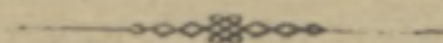
Takie mogłyby być mniéj więcéj zasadnicze podstawy naszéj organizacyi gosp. wiejskiego, któréj wobec coraz cięższych warunków ekonomicznych coraz więcéj miejsca udzielać należy. W ten sposób przeszłoby się powoli, bez gwałtów, od ściśle indywiduali-

stycznego władania do formy kolektywnéj, jak czytelnik łatwo mógł przekonać się, pod względem ekonomicznym donioślejszéj dla obu stron. Zmieniłaby się tylko forma użytkowania z własności ale własność pozostałaby w posiadaniu tych samych osób, klas czy warstw społecznych, jak się to komu podoba nazwać, aż do chwili kiedy nowa kombinacya warunków ekonomicznych zmusi do obmyślenia i przyjęcia nowéj, lepszéj, odpowiedniejszéj formy władania, którąby walkę o byt—owo widmo, prześladujące nietylko rodziny, ale i państwa—ułatwiła.

Jest to zresztą system témbardziéj zasługujący na polecenie, że do rozwiązania kwestyi społecznych i narodowych prowadzi drogą ekonomiczną, najbardziéj odpowiadającą potrzebie człowieka, kiedy u nas często się manifestują dążenia odwrotne: zapomocą rozwiązania kwestyi społecznych osięganie dobrobytu materyalnego. Pierwsza droga—jest drogą ewolucyi, budowania, druga—prowadzić-by mogła do zniszczenia i chaosu.

Obecne stosunki ekonomiczne, wyrażające się w gospodarstwie systemem parobczanym, otrzymane zostały w spadku po pańszczyznianym systemie, i wzmocniły się w epoce absolutnego panowania kapitału. Tak jednak niebyło zawsze. Statut toruński (1521), który nakazał włościanom *unum diem septimanatim*, ugruntował pańszczyznę, a z nią system gospodarstwa folwarcznego, które, nie wahałbym się powiedzieć, doszło dziś do kresu swego istnienia, przeżywszy najświetniejsze chwile ekonomiczne. Przed utrwaleniem się systemu pańszczyznianego panował system kolonizacyjny i czynszowy; przy dzisiejszych warunkach kolonizacya zakończyła się w naszéj strefie, a system czynszowy może się odrodzić pod nową formą gospodarstwa połowniczego. Wtenczas spólnik tak samo jak dziś wkładał w rolę swoję pracę i za używalność pewną część w naturaliach dawał, którą podobało się nazywać czynszem. Był to system połowniczego gospodarstwa w zarodku; dziś możemy wrócić do zaczątków spólnoty istniejącéj (w XIV w.) nie z nazwiska lecz faktycznie, bogatsi doświadczeniem, chociaż w innych warunkach i dla innych celów.

Fr. Gawroński.





ZŁY DUCH.

OBRAZEK.

I.

Tego dnia wszystko ożyło w wiosce! Przed każdą stodołą mężczyźni, baby i dzieci roztrząsali wilgotne siano, snopy owsa i żyta rozstawiali na słońcu, ruszali się żwawo, chwytali jedno, po drugie biegli, jakby z dziesięć robót naraz zrobić chcieli. Kobiéty drżącemi od pośpiechu rękami rozwieszały na płotach uprane szmaty, długie kawałki płótna, kożuchy i siermięgi; wpadały do chat, a każda wynosiła na podwórze wiązki kopru, lnu, konopi, ustawiała między kołkami w płocie; troskliwsze, nawet dzieci w kołyskach wyciągały z izby na słonko, na samo słonko, gdzie ani źdźbła cienia, ani najlżéjszéj chmurki nie widać! Wypędzono w pole chore i zdrowe bydło; z chat powysuwali się staruszkowie schorzali, przysiedli na kłodach wzdłuż płotów, grzeli się, oddychając słonecznem powietrzem, które nawet w ich piersiach skrzepłą duszę zbudziło! W ogródku, przy chacie Jakóba, wśród żółtych goździków, georginii zwarzonych przymrozkiem, przybitych do ziemi kilkotygodniową słotą, stał chory wyrostek, bosy, w ojcowskim kożuchu na ramionach. Wczoraj już mu gromnicę dawano, dziś wylazł z chaty jakby nie o swoich siłach! Przytulił się do płotu, dzwonił zębami, zgasłém okiem spoglądał na strzechy słonkiem oblane, chwytał powietrze, za każdym powiewem wiatru krztusił się, kaszlał, coraz mocniéj za płot trzymał, jakby się bał, żeby go wiatr nie uniósł, nie cisnął do izby, w któréj śmierć czyhała na niego ze wszystkich ciemnych okopconych kątów. Mógłby sobie nawet nieboszczyk wstać z grobu i przejść się po słońcu w ulicy, ludziska nie zwróciliby na niego uwagi! tak bardzo dręczyło każdego widmo

głodu przyczajone za porosłemi snopami żyta, pszenicy, jęczmienia, kryjące się w kopach nawpół zgniłych kartofli!

Dészcz miał już zatopić wioskę, podmył stare chaty, pozalewał dziurawe obory; przez kilka tygodni bydło stało w wodzie, a ludzie schli z żalu, ze strachu, z bezsilności co duszę wygryza! Nad Niemnem piasczysty brzeg rozmiękł, usunął się, unosząc kilka płotów i odrobinę różnego warzywa; czekali kiedy przyjdzie koléj na chaty rzędem wzdłuż brzegu stojące, spodziewali się nawet skończenia świata! Tymczasem młodzi i starzy spali po całych dniach, przebudziwszy się, wychodzili przed wrota, żeby raz jeszcze spojrzéć na niebo ołowiane, na ziemię błotem pokrytą, na zczerniałe od deszczu płoty i budynki, na sąsiada zresztą, co stojąc przed swemi wrotami, rozglądał się po mokrym świecie zaspanemi oczyma! Najstarsi przez cały wiek swój tyle nie przespali, co w to lato dziwne! W izbach duszno było jak w arce podczas potopu, oprócz śpiących ludzi, w dni uléwy, przebywały tam wszystkie kozy, prosięta, na noc do sieni zabierano krowy i owce; wszystko to osowiałe, senne, jedząc i drzémiąc wyczekiwało upragnionéj pogody! W końcu zaczął padać dészcz zwykły, bez ulévy, potém z wiatrem; wicher szalał, ciskając spienioną falą aż na brzeg wysoki, zrywał przemokłe strzechy, wywracał płoty spróchniałe, chat tylko nie poruszył, gdyż były napełnione zbyt ciężkiém powietrzem. Ludzie sypiali już tylko do południa, potém wyglądali przez drzwi, przez okna, miarkowali, nadsłuchiwali, aż w końcu doczekali się pogody jesiennéj, świeżéj, tak przezroczystéj, że nawet ci, którym oczy od snu zapuchły, słonko boże wśród błękitnego nieba dostrzedz potrafili.

Zawrzało jak w ulu: wszystkie roboty zaległy! Na łąkach osuszonych zwiększego, na polu zczerniałą nacią kartofli pokrytém roili się ludziska słońcem odegrzani. Około południa podążyli tam nawet staruszkowie, aby własnemi oczami raz jeszcze spojrzéć na siano zmarniałe, na przegniłe kartofle, aby tegoroczną klęskę z dawniejszemi porównać i raz jeszcze wspominając swoje lepsze czasy, na dzisiejsze gorsze wyrzekać.

Wioska opustoszała. Każdy przechodząc koło ostatniéj chaty nad rzeką, dziwił się, że nawet stary Czmiel z izby wylazł, na przyzbie usiadł, twarzą do słonka zwrócony, wodził wzrokiem po pustém podwórku, osowiałe oczy ku wrotom zwracał, kręcił głową na prawo, na lewo, jakby pierwszy raz świat boży ujrzał! Łysy dziad z siwą brodą, suchy, z wklęsłemi skroniami, podobny był do świętych w obrazach, tylko siermięgę miał łataną, a obok, na przyzbie, drewnianą konewkę z wodą i kawał chleba solą posypany, żeby w samotności, zanim synowie i synowe z pola wrócą, z głodu nie umarł.

— Ho! I Ewkę do roboty popędzili — mówiły baby, spoglądając na puste podwórko, na drzwi chaty kołkiem zatknięte.

Pilno im było, biegły zasapane, a jednak koło téj chaty zatrzymywały się chwilę, odszedłszy, oglądały się na nią ciekawym, niespokojnym wzrokiem, jedna nawet na podwórko wbiegła, w okienko zajrzała do obórki, na ogródek okiem rzuciła.

— Ani żywego ducha! — krzyknęła, dopędzając sąsiadki na drodze.

Stary przeprowadził ją wzrokiem; wzruszył nieznacznie ramionami; dziwił się może, że baba skacze jak koza, a on ledwo o kiju z izby wyłazi, w nogach mocy żadnéj nie czuje i choć już całe lato chory, dotąd jakoś ani sił, ani zdrowia doczekać się nie może! Dziś zato znacznie zdrowszy... lżejszy, nawet dziwnie lekki jakiś... Żeby sił trochę... poszedłby z innymi na pole, na łąkę... z kijem, z groźbą... po dawniejszemu. Bez jego dozoru strasznie źle idzie.... Eh, nie chce nawet myśléć o tém, co przeżył, co widział przez ostatnie lata!... Niech ich tam Bóg sądzi... Wypędziliby go może z chaty na żebraninę, żeby nie trochę grosza zebranego w lepszych czasach, kiedy to jeszcze on sam wszystkich ich w garści trzymał! Teraz jeszcze, kiedy myśli o tém, skostniałe palce zaciskają się mimowoli! Grosz ten chowa... ho, ho! Węszą koło niego, śledzą, szukają, ale nie znajdą!... Oni tam może na setki, na tysiące liczą?... Niech liczą, nie przybędzie, ani ubędzie od tego... Niech tam bajki gadają o jego bogactwie! On tylko jeden wié prawdę... Wié przytém, że żadna ręka ludzka krzywdy mu nie zrobi! W chudobie téj swojéj chował pieniążek cieniutki, zczerniały... od żebraka dostał go za parę kwaszonych ogórków... Żebrak miał go po sławnym złodzieju, który dwory i kościoły okradał, a zawsze uchodził szczęśliwie, aż raz kąpiąc się, pieniądz z odzieżą na brzegu zostawił! Złowili go wówczas i nagiego do kozy zabrali! O pieniądz starali się potém panowie, proboszcze i żydy, ale żebrak nikomu oddać nie chciał, nosił go zwykle przy sobie i chociaż po lasach, po wąwozach sam jeden w nocy i w dzień chodził, nie obdarli go nigdy, nie okradli nawet wówczas, gdy oprócz kija i dziurawéj siermięgi miewał w torbie szczyptę soli i pełną tabakierę tabaki! Czmiel od czasu jak ten talizman posiadł, worek z pieniędzmi ukrywał jeszcze staranniéj. Dawniéj skarby te widywali czasem synowie, gdy pieniądze na podatki, albo na inne koszta wyjmował, teraz on sam zapominał czasami, gdzie schował... W końcu jednę kryjówkę obrał akuratną, a gdy sąsiedzi żartowali, że skarby w ziemi trzyma, nie zaprzeczał, umyślnie, żeby nie pytali daremnie! W chorobie już parę razy chciał starszemu synowi oddać, ale jak tylko o tém pomyślał,

zdrowiał jakoś, sił nabierał, czuł, że jeszcze pożyje rok, drugi, a może i więcéj... A jak raz chudobę z rąk odda, poważanie straci. Teraz poją go od czasu do czasu herbatą z pieprzem, ugotowaną w garczku tłuszczem przesiąkłym, jadło akuratnie na piec podają. Potém, kto wié, zmarłby z głodu może... Niech sobie myślą, że im setki srebrnych rubli zostawi! Ho! żeby miał tyle, jak gadają, dawnoby już chatę i ziemię kupił dla Piotra... dla najmłodszego... Maksym i Franek chatę i ziemię, jako matczynę, zabiorą, a ten biédak jak palec na świecie zostanie! Z ubogiéj dziewki urodził się... Czmiel ją do saméj śmierci w chacie dochował, silna była, koścista, do ostatniego dnia życia pracowała jak wół roboczy... Skonała w samo południe na wiosnę, w taki jasny, cichy dzień jak dziś.... Głosu jéj nigdy nie słyszał, czasami tylko do żywiołki, do kur przemawiała... przed śmiercią rozgadała się jakoś...

— Nie krzywdź Piotrka—rzekła—pożałuj sierotę! Jeszcze coś mówić chciała, ale głosu czy słów nie stało; pocałowała go w rękę, jakby za swoję ciężką dolę dziękując! On sam otarł jéj z twarzy ostatnie dwie łzy, jakie na tym bożym świecie wypłakała. Nigdy już potém nie miał takiéj cichéj, pracowitéj dziewki! Krzyż na jéj mogile postawił duży, czarny, między dwoma sosnami; wioskowy stolarz wypisał na nim: „Marcynko Panno, módł się za nami gorższkiemi grzesznikami!“ Napróżno sąsiedzi dowodzili mu, że zmarła nazywała się Agatą i nie była panną; stolarz potrafił ich przekonać, że każde imie również święte, a na tamtym świecie nikt panny od mężatki nie odróżni. Napis został; Czmiel ile razy koło mogił przechodził, zawsze patrzał w tę stronę... Miał tam gdzieś i żonkę... prawdziwą — ale ta zmarła tak dawno... że już nawet zapomniał gdzie leży!... I chłopcem jéj więcéj się niż starszymi synami zajmował, sporego malca czasami na rękach nosił, kiedy z pola wracając, spotkał go w ulicy, albo pod płotem gdzieśkolwiek! Krzywdzić go nie pozwalał — karmił jak mógł i cieszył się w duszy, że chłop rósł zdrowo, silny był, czerwony i tylko trochę głupowaty!.. Kiedy przejeżdżając, gdzieś chatę porządną ujrzał, z ogrodem, z kawałkiem ziemi, zawsze sobie myślał, że taką dla Piotra kupi! Parę razy nawet targował, wypytywał się, ale gdy do kupna przyszło— ociągał się jakoś, odkładał... rachował... Przynosił mu z pola młode zające, ptaszki, kije, których chłopak używał tymczasem zamiast konia; gdy do cudzego ogrodu lazł po marchew, po rzepę lub wiśnie, konia tego u płotu zostawiał; szedł w szkodę bezpiecznie, ufny w pomoc ojca, który zawsze w porę nadbiegł. Sąsiedzi przepowiadali, że na złodzieja wyrośnie, wyrósł tylko na silnego, barczystego parobka, milczał i pracował, jak niegdyś jego matka. Maksymo-

wa szyła mu coraz szersze koszule, a w całéj wiosce nie było rośléjszego chłopa, zgarbił się bez pory, ciągle w ziemię patrzył; wówczas tylko, gdy sam z ojcem został w izbie lub na dworze, podnosił głowę, zwracał na niego jasne, nieśmiałe oczy, jakby zapytywał w milczeniu: co ze mną będzie, tatulu? Stary chmurzył się, czasem nawet z izby wychodził, drapał się za uchem markotny, sam nie wiedział co tu robić! Pieniądze miał niby... jakie tam zresztą pieniądze! Szczypta potu krwawego, pracy ciężkiéj... kiedy pomyślał; że ma je oddać, ból w sercu uczuwał, w złość wpadał, w pole szedł do roboty, żeby złe myśli odpędzić. Darował mu stary kożuch, ślepą kobyłę obiecał, Piotr jakby tego nie słyszał, nie podziękował nawet, tylko coraz częściéj zatrzymywał na nim lękliwe spojrzenie.

— Nie bój się, kogo Pan Bóg stworzy, tego nie umorzy—mówił stary, żeby mu dodać otuchy i cierpliwości.

Piotr milczał, sapał głośno i spoglądał z podełba w prawo, to w lewo.

— Potém może... gdzieś... jakkolwiek... trzeba będzie... ot... tak... eh, Boża wola we wszystkiém!

Piotr zaczerwieniony nadstawiał uszu, tłumił oddech, o mało się nie dusił, wyczekując łaskawszego słowa, ale stary urywał, jąkał się, machnął ręką i odchodził, nie chciał obiecywać zawczasu, majaczył sam przed sobą, chciał i bał się, wyczekiwał z roku na rok, aż zasłabł nareszcie! Wtedy dopiero—przypomniał sobie, że w razie jego śmierci chłopak na poniewierkę pójdzie, w ciężkiéj niemocy ciągle o tém myślał, chciał nawet z sąsiadami pogadać... do słowa jakoś przyjść nie mógł! Musiałby pieniądze z kryjówki wydostać, pokazać, odliczyć—wolał poczekać jeszcze trochę... aż raptem w cieplejsze dni odżył jakoś... dziś ozdrowiał zupełnie, bólu żadnego nie czul; słaby był tylko... senny, jakoś dziwnie ociężały:

— Na przyszłą wiosnę, da Bóg doczekać... to już kupię... co będzie, to będzie; niech tam gadają, czy nie gadają... a ja kupię chatę... ziemię... — powtarzał jak przez sen.

Słonko zatrzymało się nad samą chatą, od godziny już paliło go w czaszkę, ogrzéwało od stóp do głowy. Zsunął kożuch z ramion, nogi wyciągnął, poruszył zwolna ramionami, skostniała dusza odegrzała się w piersiach; sen morzył; mrużył oczy. Zdało mu się na raz, że coś go podnosi, że płynie sobie w błękitném powietrzu.. Wioskę, okolicę widział jak na dłoni... Pola słońcem oblane, siny Niemen w piaszczystych powyrywanych brzegach, ciemnym lasem porosłych... Nigdy jeszcze nie było mu tak jasno w oczach! każde źdźbło trawy w żółtém ściernisku dostrzegał wyraźnie! Łąki, pola, lasy, jakie kiedy w życiu widział, stały teraz przed nim... Mieszały

się różnie w kwadraty, w pasy długie, wyciągnięte het aż tam, gdzie niebo z ziemią się łączy! Patrzał i napatrzéć się nie mógł, usta otwiérał, powietrze ciepłe chwytał, koło uszu roje pszczół brzęczały, szum drzew daleki, plusk fali odurzał go, ogłuszał, wszystko co słyszał kiedyś zosobna, teraz zebrało się razem, silniejsze tylko, wyraźniejsze, jakby na świecie całym on był sam jeden, i sam jeden patrzał i słuchał za wszystkich! Aż pot na czoło wystąpił oddech ugrzązł w gardle.

— Oj Bożeż mój mileńki!—jęknął, otworzył oczy. Wiatr powiał od pola; słonko zasunęło się za strzechę, cień chaty równym pasem sięgał do środka podwórka; nogi skrzepły... chłód obejmował kolana, zdrętwiał jakoś, zesztywniał, powieki ciążyły, a przed oczami snuła się jakby mgła biaława: wioskę widział niby przez obłok, kłęby mgły słały się po ściernisku... ze wszech stron wiał chłód przenikliwy; stary skostniał, w piersiach tylko czuł palenie... w oczach szkliły się jakby łzy zastygłe... chatę swoję widział stojącą na uboczu, nad samym urwiskiem, niską, zczerniałą, ze strzechą mchem porosłą, z pod węgłów spróchniałych piaszczysty brzeg usuwał się powoli, grudki piasku staczały się jedna po drugiéj ku rzece... Zacisnął powieki; czuł jak go coś ciągnie do ziemi, widział jakby swoję polankę pod lasem, zoraną, zabronowaną akuratnie, przerzniętą miedzą zieloną... Spadał ku niéj zwolna, bez strachu, uśmiechał się nawet! Tyle razy leżał na téj miedzy, wyczekując w południe nim trochę woły podpasą się orką zmęczone!

Słońce zachodziło, na podwórku cień zapadł, strzechy tylko i drzewa złociły się jeszcze w ostatnich promieniach. Koło wrót otwartych przechodzili ludziska z kosami na ramieniu, baby z pustemi dzbankami, dreptały dzieciaki konno na kiju i pieszo. A każdy przechodząc, w podwórko na przyzbę i na starego spojrzał. Siedział plecami o ścianę oparty, z głową pochyloną, dłonie na kolanach złożył, drzémał, czy osłabł ostatecznie. Ten i ów, przechodząc „pochwalonym“ go powitał, pastuchowa krzyknęła, żeby wrota otworzył dla bydła, poszła daléj, a stary ani drgnął. Krowy same sobie głową i bokiem wrota odsunęły, przeszły obie jedna za drugą, obejrzały się na niego, stanęły przy drzwiach oborki; gromadka owiec szarych i białych napełniła dziedzińczyk; tłocząc się, trzęsły zesztywniałe kolana starego; ruch i wrzawa zapanowały w wiosce, tuman złotawego kurzu pędził przez środek ulicy, za bydłem wrócili i ludzie. Maksym z Frankiem przeszli przez podwórko, jeden do chaty, drugi do stodoły; kobiéty owce i świnie do chlewu zapędzać zaczęły, na starego nikt nie spojrzał. Dopiero gdy Maksymowa ze skopkiem pod krową usiadła, obejrzała się na niego przez ramię.

— Idźcie już do chaty, rzekła, a to was znowu febra schwyci.

— I duszę wytrzęsie! podchwyciła Ewka, siadając pod drugą krową.

Zajęte robotą, odwróciły się plecami do niego; tymczasem Piotr z kosą na podwórko wszedł, od wrót już wpatrzył się w ojca, stanął przed nim, patrzył długą chwilę, nie mogąc zmiarkować, czy on śpi... czy może... Stał z kosą na ramieniu, z wyciągniętą szyją... stłumił oddech... coś strasznego przemknęło przez głowę. Stary siedział jak żywy, pod siwym zarostem, pod włosami spadającemi na czoło, twarzy prawie nie widzi. Piotr w twarz nie patrzał, słuchał tylko, i słyszał jak jego własne serce stukało w piersiach, krew uderzała w skroniach; podniósł brwi, wzrok natężył, ale ani najlżejszego drgnienia dostrzedz nie mógł! Obejrzał się zwolna na kobiety, znowu na starego spojrzał... Zmrok zapadł, chłodna rosa pachniała w powietrzu; w podwórku, otoczoném z dwóch stron chatą i obórką, było już prawie ciemno—Piotr stał jeszcze chwilę, potém stąpając ostrożnie do chaty poszedł. Wiedział już wszystko, ale jeszcze sam sobie nie wierzył. Z sieni raz jeszcze obejrzał się na niego, kosę w kącie ustawił, opuścił ręce... przysłonił się do ściany, odrętwiał z żalu i ze strachu. Nie chciał, nie mógł o tém mówić pierwszy... zdawało mu się, że jak przemilczy... może to jeszcze przemieni się jakoś. Stał w ciemnym kącie zaczajony, kolana drżały, łza za łzą spływały po twarzy. Słyszał, że go Maksym woła ze stodoły, wiedział, że przed nocą mieli jeszcze snopy żyta z toku uprzątnąć, żeby miejsce na siano oczyścić, ale z kąta ruszyć się nie mógł, wpatrzył się w ziemię i czekał... Z izby dolatywał zapach gotowanych kartofli... przypomniał sobie naraz, jak dziś na łące, kiedy trochę zamarudził przy jedzeniu, Ewka nazwała go „wołem“, „psim synem“, kopnęła nogą w garnek z mlekiem, chleb psu rzuciła i poleciała jak szalona, wiedźma przeklęta!... On ją kiedyś nauczy... kiedyś... kto wie... co teraz z nim samym zrobią... Oni tu teraz gospodarze... pany wszechmocne... Kobiety weszły ze skopkami, drzwi do izby otworzyły szeroko; ogień z komina oświecił sień, bose nogi stojącego w kącie Piotra; majstrował coś niby koło kosy, szmatą kij okręcał, a ręce drżały, żal za gardło dusił, febra go trzęsła z niepokoju... a nuż nieprawda?.. raz jeszcze przekonać się nie śmiał... ryknął-by tam z żalu... ej, niech lepiéj oni!... oni tu gospodarze... a on syn tylko... i to... jaki tam syn jeszcze! Maksym i Franek weszli razem, za nimi wpadli do sieni malcy, ciągnąc za rękę Juziuka Frankowéj—z izby buchnęła para od kartofli i krupniku, „gospodarze“ do stołu zasiedli.

— A gdzież stary? Stasiek! po dziadula! a co to wy szelmy sa-

mi pierwsi do miski przypadli!—huknął Maksym, chłopca swego za kark ku drzwiom popchnął.

Piotr aż przysiadł na ziemi, w uszach zadzwoniło. Słyszał przeraźliwy krzyk Staśka... widział jak wszyscy jedni za drugimi wybiegli na dwór, jak ze strachu, czy z pośpiechu Maksymowa z zapalonem łuczywem z izby wyleciała... Słyszał, urywane słowa podziwu, przerażenia, piskliwy płacz dzieci... Ale z miejsca wstać nie mógł; ściskało go w żołądku, skurczył się we dwoje, głowę w ramiona wsunął.

— Boże mileńki... Bożeż mój mileńki, szeptał przełykając ślinę—oczy przymykał; nawet ciekawość go nie brała, żeby pójść spojrzéć w martwą twarz ojca, żeby zobaczyć czy jeszcze podobny do siebie! Nie mógł, osłabł jakoś... Wielki, barczysty z czerwoną twarzą, ogromnemi wąsami chłop, osłabł zniedołężniał jak dziecko, tulił głowę do ściany a po twarzy łzy dziecinne coraz częściéj spływały!..

Uspokoili się w izbie, starego na łóżku złożyli, wówczas Maksym raz, drugi przez sień przeszedł, po kątach się obejrzał trochę zafrasowany.

— Chodź do chaty,—szepnął ujrzawszy Piotra... za ramię go wziął, postał przy nim chwilę, coś jeszcze powiedziéć chciał, ale nie mógł na razie.—No, chodź, cóż tam, ot, wiadomo... każdemu tak będzie... — Zamilkł, głowę odwrócił. Piotr sam nie wiedział dlaczego pocałował go w rękę. — Ch...o...dź — powtórzył Maksym; rękawem przesunął po oczach i weszli razem do izby, za stół usiedli; Maksym podsunął mu miskę z jadłem, chleba z bochna odkroił; sam łokieć na stole oparł, twarz w dłoniach ukrył, siedział i milczał. Piotr jadł; od ciepłéj strawy cieplé j się zrobiło w piersiach i w żołądku, od dobrych słów Maksyma dziwnie jakoś łechtało koło serca. Łzy wciąż jeszcze spływały do miski, mieszały się z krupnikiem, ale w głowie już szum ustał. W piersiach odżyła otucha i siła—on by teraz dla Maksyma w ogień poszedł, pracowałby dla niego od świtu do nocy, ot, za chleb tylko, za łyżkę strawy, dobraby jego pilnował—on możeby nawet i ukradł dla niego, a cóż? ot ukradłby, żeby trzeba było... Zawsze lubił go i słuchał, a teraz... Teraz to już i myśli nie stało do wyrażenia nieujętych wybuchów wdzięczności, podniecanéj żalem, trwogą i niepokojem. Jedząc, zérkał na niego z pod oka, łyżkę po łyżce pochłaniał, misę opróżnił, chleb odkrojony zjadł akuratnie, wykazując tu na razie swoje posłuszeństwo, gotowość do usług, spotniał przytém, zaczerwienił się jeszcze więcéj... Czuł, że za plecami, w okopconym kącie na łóżku leży stary białą płachtą, przykryty, spostrzegł go przechodząc przez izbę i teraz czuł go

wciąż koło siebie... żałował jeszcze, i w twarz jego jeszcze spojrzéć nie chiał, ale już o Maksymie więcéj myślał niż o nim.

Chata opróżniła się tymczasem. Franek poszedł deski na trumnę gotować, malcy chrapali na piecu, Maksymowa tylko krzątając się koło czystéj odzieży, wyjmując ze skrzyni bieliznę i siermięgę, co chwila nos fartuchem wyciérała.

— Chodźmy, on tam jeden nie poradzi!—rzekł Maksym, wstał zwolna, Piotr poszedł za nim, w progu obejrzeli się obaj na łóżko. W sieni spotkali Ewkę. Przez cały wieczór latała jak opętana, z izby na dwór, na strych po drabinie łaziła, kręciła się po izbie, zaczerwieniona jak w gorączce. Sześć lat już była za mężem, a wyglądała jak dziewczyna, szczupła, smagława, z wielkiemi siwemi oczami, brwi i włosy miała czarne, twarz drobną i bardzo białe zęby. Gryzła wargi, rzucała oczyma na wszystkie strony; w czerwonéj spódnicy, w bialutkiéj koszuli i niebieskich paciorkach na szyi, odbijała jaskrawo na tle okopconych ścian izby.

— Czy wy tak do nocy tuptać będziecie,—spytała zasapana, przebiegając wzrokiem od Maksymowéj, do łóżka, do skrzyni i kubłów, paliło ją w piersiach, dłonie i podeszwy swędziły, poruszała plecami niecierpliwie.

— Ja posiedzę... przy nim, zaraz od Jakóba przyjdę... połóżcie się...

Maksymowa, pochylona nad skrzynią, spojrzała na nią przez ramię.

— Pilnowała ja jego za życia, to i po śmierci popilnuję,—odrzekła zwolna.

Ewka przysiadła na ławie, w drżących palcach kręciła rąbek fartucha.

— To i ja z wami posiedzę syknęła przez zęby. Kręciła się na ławie, bosemi stopami szorowała po ziemi; w końcu porwała wiadro i wodę złopać zaczęła, odpoczęła chwilkę i znowu piła jak koń zmęczony, Maksymowéj z oka nie spuszczając. Wiadro na ziemię cisnęła, kopcącą lampkę ze stołu schwyciła:

— Ja wam poświecę, rzekła,—pociemku zamiast spodni włożycie staremu swoję spódnicę!—zaśmiała się, pokazując białe zęby od ucha do ucha. Maksymowa splunęła, wzruszyła ramionami, spojrzała trwożliwie na białą płachtę na łóżku, z pod któréj na jednym końcu widniało czoło przysłonięte siwemi włosami, na drugim—wyglądały bose skrzepłe nogi.

Nazajutrz zrana stary był już na cmentarzu. Sąsiedzi prosto z pogrzebu w pole do roboty poszli. Franek, Piotr i Maksym, tym samym wozem, na którym trumnę przywieźli, na łąkę o kilka wiorst

po siano pojechali. Siedzieli plecami zwróceni do siebie, Piotr, stojąc zacinał konia. Jechali brzegiem rzeki, słońce dogrzewało jak latem, na ściernisku, gdzie niegdzie błyszczały jeszcze krople nocnéj rosy. Wjeżdżając na górę piaszczystą, zwolnili kroku, Piotr obejrzał się, cmentarz na brzegu sosnowego lasu, widział jak na dłoni; wśród rzadkich sosen kilkanaście krzywych krzyżów, kilkanaście mogił zrzadka trawką porosłych; promienie słońca przekradały się przez gałęzie u góry, między równe pnie wysmukłe, oświecały nową żółtym piaskiem usypaną mogiłę:

— Ot... gdzie stary... leży! pomyślał Piotr, spoglądając przez ramię, podczas gdy konie szły zwolna pod górę. Maksym powiedział mu wczoraj jeszcze, że z pieniędzy trzecią część dostanie, że go nie skrzywdzą, oddadzą mu nawet starą siermięgę, czapkę i tabakierę, o butach tylko nie wspomniał, nie mówił też ile pieniędzy zostało, bo sam nie wiedział; Piotr pewny był, że dostanie może sto, a może dwieście rubli! Uspokoił się, poweselał, spojrzawszy raz jeszcze z góry na las ciągnący się długim pasem wzdłuż brzegu, na kilkanaście piasczystych pagórków wśród sosen:

— Ot gdzie stary leży!..—powtórzył z doskonałą rezygnacyą...

Stanęli na chwilę przed karczmą; otynkowana, wybielona, zwrócona frontem ku rzece, wyglądała jak dwór albo plebania, z gankiem o czterech murowanych słupach, po jednéj stronie, gdzie było mieszkanie Szmula, w oknach widniały szydełkowe firanki, fuksye i geranium w doniczkach; Szmul stał na ganku w spodniach, w rozpiętéj kamizelce w pantoflach włóczkowych na bosych nogach. Od czasu jak trzy córki zamąż wydał, a sam ożenił się powtórnie z młodą ładną dziewczyną, rozpaniał jakoś, zpoważniał i z chłopami wdawać się nie lubił, do szynkowéj izby nawet rzadko wychodził, interes prowadziła żonka, on tylko dla pewnych religijnych obrządków okazywał dotąd szczególniejszy szacunek. Jeśli kumowie z chrzcin wracając, wstąpili do karczmy, każdemu darmo po kieliszku wódki dawał, chrześniaka téż częstował kilku kroplami, żeby odrazu poznał co jest dobrego na świecie! Dla państwa młodych też same okazywał względy, na pogrzeby zaś, dla swatów dawał taką wódkę, że ludziska po jednéj, po drugiéj kwaterce pogrzebu od wesela odróżnić nie umieli! Jechali téż do niego z własnéj i z obcéj parafii, nieraz parę mil drogi nakładali, żeby Szmulowi chrześniaka pokazać, poczęstunek wypić i dziecko dobrą wódką bezpłatnie napoić. Wesela zatrzymywały się tu akuratnie, choć na chwilkę, a zostawały nieraz do nocy, albo i do rana, Szmul kredytował chętnie, a że przy rachunku ustępował zwykle parę dziesiątek, woleli pić u niego na kredyt, niż u innych za pieniądze.

— Głupi ludzie,—mawiał z niedbałym uśmiechem przy wszelkich kwestyach pieniężnych,—czy to mnie wasz grosz potrzebny, czy ja z was żyję? Ot, wielki zarobek! z chłopa, jak z kozła, ani mleka ani mięsa! Karczma, to żaden interes, żeby ja to miał, co do niéj dokładam, dawnoby już z głodu umarł! No, co tam gadać!—ja waszéj krzywdy nie żądam!

Chłopi, słuchając, kręcili głowami z niedowierzaniem, ten i ów czasem „Judaszem“ nazwał, wogóle jednak mieli pewien szacunek dla jego atłasowego chałata, dla srebrnego zegarka, flegmatyczny spokój imponował im trochę! Raz tylko znany pijak Hawryłko ukradł mu blaszaną kwartę, schował do wozu, i wracając do chaty, przez całą drogę, dla uspokojenia sumienia, pijanym głosem powtarzał:

— Ot--bestya Chrystusa ukrzyżował... i żyje... grzésznik przeklęty... a!.. po świecie bożym chodzi i śmierci na niego nie ma!

Kwartę zgubił w drodze, potém przez cały miesiąc nie śmiał jakoś oczu w karczmie pokazać, gdy wrócił, Szmul przyjął marnotrawnego syna z biblijną łaskawością, poczęstował wódką na mahorkę nalaną; rozpaliło go jak ogniem, pił potém przez cztery dni, aż w końcu trzeba go było z karczmy wyrzucić.

— Jaki z ciebie gospodarz,—perorował Szmul na piąty dzień,—przepił buty i siermięgę? to wstyd; mnie nawet wstyd, co takie gospodarze w mojéj karczmie piją! Zapłać za wódkę, a ja i buty i siermięgę darmo oddam — mnie ona nie potrzebna! Ja chwała Bogu chłopskiéj odzieży nie nosił i nosić nie będę.

Mówiąc, przechadzał się poważnym krokiem, z rękami za plecy założonemi, od bogatszych przyjmował czasem szczyptę tabaki, rozmawiał z nimi, ale nie zpoufalał się zbytecznie; najbogatszych nawet nazywał w oczy „mużykami“, ile razy, pogadawszy w karczmie o tém, o owém, wychodzili trzeźwi, po jednéj zaledwo kwaterce. Z Maksymem miał rachunki dawne i bardzo zawikłane. Chłop, myśląc o nim, czuł smoktanie pod sercem, słabość dziwną, jakby naraz wszystką krew utracił! Unikał go, w ostatnich miesiącach nie zaglądał do karczmy; Szmul tylko przez sąsiadów dowiadywał się o tego „złodzieja“, „paskudnika“, groził mu i zapowiadał, że swego nie daruje.

— Ja tam o te pieniądze nie dbam, niech on moję krzywdę na doktora wydal.. Ale mnie serce boli, że teraz i gospodarskim synom wierzyć nie można! Nu, ja sobie myślę, że ja to na biédnych oddał! Maksymowi aż iskry w oczach błyskały, gdy tego słuchał, sto razy już chciał zdusić żyda i zawsze do przyszłego razu odkładał, ale długu nie płacił! Spotkawszy go, głowę spuszczał, w zie-

mię patrzył, przesuwał się jak złodziéj, a w duszy klął żyda, dziwił się, że go czart dotąd nie schwycił! Wolałby już turbacyą wszelką, natrętne dopominanie się, niż tę moralno-żydowską wspaniałomyślność, za którą będzie musiał gotówką z procentami zapłacić.

Podjeżdżając pod karczmę, zdaleka gdy żyda spostrzegł, splunął, fajkę pykał daléj, a w piersiach głos zamarł z zadowolenia, że nareszcie psu temu pieniądze w oczy rzuci!

Siedząc na wozie, plecami do karczmy zwrócony, krzyknął na niego przez ramię:

— Héj ty, kręciel, a ile tam na mnie nakręcił. Niech czort tobie zliczyć pomoże!.. bo ja jutro zapłacę, dość już w twoich łapach siedział! bodaj ty przepadł,—mruknął pod nosem, pykając fajkę.

Szmul udał, że nie słyszy, z rękami w kieszeni patrzył na rzekę pomarszczoną z lekka, połyskującą na słońcu. Przywykł do pogróżek i wymyślań, nieraz sam nawet wywoływał je dość zręcznie, od próżnéj gawędy skóra nie boli, a potém łatwiéj interes kończyć. Bywało nieraz, że chłop wygadawszy co na myśl przyszło, dodawał zakwestyonowaną dziesiątkę, albo i dwudziestkę.

Szmul chował naddatek z olimpijskim spokojem, i myślał w duchu.

— No, ten zna się na grzeczności przynajmniéj.

Maksyma ta obojętność drażniła, chciał jeszcze raz żyda „kręcielem“ nazwać, zmiarkował jednak, że nie warto, milczał brwi ściągnął i splunął. Czekali na Maksymowę; z cmentarza po chléb i po mleko do chaty zaszła; krótszą drogą, przez pola, miała ich przed karczmą napędzić.

— Jak asan pieniądze przyniesie, to i zliczymy rachunek, na co tu czort? Odrzekł Szmul z żartobliwą powagą. Może tam u was jaki parobek jest? Ot kupiec z wiciną stanął, daléj płynąć nie może, człowiek zachorował; popytajcie się, może który pójdzie? On sprawiedliwy kupiec, dobrze płaci, nu, i wam gościńca da!

— A niech on sam zębami ciągnie!—mruknął Maksym, dziwnie jakoś przeciw żydom rozjątrzony.

Na przeciw, przy lewym brzegu stała wielka barka zczerniała, kawał szarego płótna, przedstawiający żagle, zwieszał się na wysokim drągu, do którego uwiązano kilka lin grubych, zakończonych parcianemi pasami. Niska, szeroka, szczelnie gontami kryta, wyglądała jak żółw olbrzymi, czerniejący na niebieskawych wodach, w jednym i drugim końcu widniały zwoje lin, deski, obręcze, klepki, puste worki z czarnemi napisami zrzucone na kupę, kilka kożuchów futrem na wierzch wywróconych, na zrębie, suszyła się uprana koszula i para płóciennych spodni. Nowiutka łódź biało i niebie-

sko malowana, uwiązana na węzłowatym postrzępionym sznurze, kołysała się zlekka, poruszana spokojną falą. Obok barki na brzegu pod piasczystym urwiskiem, kilku ludzi wygrzéwało się na słońcu; leżeli na brzuchach, z podniesionemi głowami, gadali coś między sobą, głuche echo niosło ku karczmie urywane odgłosy.

Franek przyglądał się im stojąc na brzegu, ręką oczy przysłonił i patrzył na osmoloną barkę, to na łódź ładną, leciuchną, z leżącemi wewnątrz nowemi wiosłami. Odciąłby ją chętnie — taka łódka... ho, ho—pokręcił głową w niemym zachwycie!

— A ten chory gdzie? — spytał żyda, wracając od brzegu do wozu.

Szmul wskazał głową na zarośle przy karczmie.

— Licho wié, co jemu stało się, chłop zdrów, silny, przystał w drodze, dalej iść nie chce.

Pod krzakiem jałowca, na trawie siedział bosy parobek w koszuli, w płóciennych spodniach, opasany szerokim skórzanym pasem; kolana rękami objął, rudą głowę wsunął w ramiona, usta otworzył i patrzył apatycznie przed siebie. Obok niego stała blaszana kwarta rdzą pokryta, leżało dwie cebule.

— On od twojéj wódki do jutra zdechnie—rzekł Franek,—cudzy człowiek, nie wié jeszcze, że ty ludzi trujesz.

— Oj, jaki Franek mądry! nu, czemu was z wojska żołnierzem puścili, kiedy wy jeneralski rozum macie?

— A gdzież ty żydzie takich młodych jenerałów widział? Rozumu swego ja u ciebie nie przepiję! Nie bój się! Niedoczekanie twoje! Dalibóg struł! — powtórzył, wpatrując się w siedzącego nieruchomie chłopa.

Podszedł zwolna ku niemu, Szmul przeprowadził go szyderskim wzrokiem.

Franek widział, jak w słonecznéj przestrzeni, od strony wioski Maksymowa dreptała śpiesznie w poprzek zagonów, niosąc garnki w obu rękach; czasu do stracenia nie było; stanął przed nieznajomym, obrzucił go wzrokiem. Pomimo piegów i ogorzelizny, chłop wyglądał blado, pod ociężałemi powiekami kryły się niebieskie znużone oczy; brodę na kolanach oparł, patrzał w las na przeciwnym brzegu.

— Zdaleka? — spytał Franek.

Chory tylko brwi rude podniósł i milczał; nogi miał czarne, zeschłém błotem pokryte, zamiast paznogci, na palcach plamy krwi z piaskiem zmięszanéj.

Frankowi aż w sercu ukłuło, gdy na te poranione nogi spojrzał; obok niego na trawie leżała granatowa kamizelka z błyszczą-

cemi guzikami, malowana porcelanowa fajka i zawiniątko w czerwonéj chustce, z którego wyglądały szklane, niebieskie paciorki!

— Długo ciągnęli?—spytał znowu, wskazując głową na barkę.

Chory zrobił głową ruch niewyraźny, jakby muchy opędzał; spojrzał z ukosa na zakurzone buty Franka, brwi ściągnął, najeżył się i milczał.

— Pewno nie tutejszy! — pomyślał Franek — niemiec może? A że będąc w wojsku nauczył się tego i owego, między innemi rzeczami i kilka niemieckich wyrazów umiał, ręce w kieszenie wsunął, nogę po żołniersku odstawił, uśmiechnięty, mrugnął okiem sam do siebie.

— *Ferflucher*, *a brod*, *a wasser?*—spytał, szczérząc zęby. Miało to znaczyć: Niemcze, może chcesz jeść? Ale chory i na to odpowiedział ponurém milczeniem.

Franek ramionami zżymnął, poszedł do wozu, gdzie już Maksymowa ustawiła garnki i sama obok męża usiadła.

Chory przeprowadził go wzrokiem, popatrzył na całą gromadę, na wóz, na konie bardzo chude, zapracowane, a gdy Piotr stojąc na wozie, zaciął je biczyskiem, targnął lejce, na piasczystą drogę zwrócił.

— Durny chłop! — mruknął chory, splunął i patrzał, jak ślina z krwią zmięszaną zwolna w suchy piasek wsiąkała!

W chacie pozostała tylko Ewka; bosa, w podkasanéj za kolana spódnicy, rękawy koszuli zakasała za łokcie, czerwoną chustkę zawiązała mocno na włosach, zasapana, z wypiekami na twarzy, uwijała się po izbie. Łóżko starego na podwórko wyniosła, siennik, kołdrę, szmaty różne na płocie porozwieszała, obejrzawszy wprzód każdą starannie; z siennika słomę wytrzęsła i długi czas przebierała w niéj, przeglądając każdą garść z osobna; do izby wpadła, kubeł dnem do góry przewróciła; oprócz staréj kamizelki, wełnianych rękawiczek o jednym palcu, wysypało się z niego drobiazgów różnych sporo, sznurki cienkie i grubsze, rzemienie, guziki, bobu i fasoli ziarna odwieczne, zeschłe kłosy pszenicy, czerwony czepek, w żółte kwiatki, podgarnirowany tiulem, jeszcze po pierwszéj żonce pamiątka! Ewka rwała, gniotła, odrzucała na bok i znowu chwytała, macając, kręcąc na wszystkie strony, pochylona przebierała na ziemi każdą szmatkę drżącemi rękami; krew napłynęła do głowy, żyły nabrzmiały na szyi, wyprostowała się zasapana, spojrzała ponuro po izbie; na progu, w drzwiach otwartych do sieni, siedział kot czarny z podwiniętym ogonem, patrzał na nią zielonemi ślepiami. Ewka zacisnęła zęby, schyliła się śpiesznie po polano, kot zemknął, cisnęła za nim polanem do pustéj sieni.

— Zgiń ty! przepadnij!—syknęła. Przez chwilę stała jak odurzona. Czarny, nieznany kot w pustéj chacie, podczas gdy tak gorliwie przetrząsała rzeczy nieboszczyka, przeraził ją trochę, splunęła raz, drugi, a serce w piersiach biło jak młotem! Ochłonąwszy, zabrała się znowu do roboty; gorączka ją paliła, odsunęła stół, ławy, tapczan z pościelą, co już prawie do ziemi przyrósł, z miejsca poruszyła, wzdłuż ścian, dokoła izby suwała się jak opętana, próbując bosemi nogami, czy gdzie na miękką glinę, na ślad jamy lub dziury nie natrafi, macała ściany, pod piec wlazła, w komin nawet zajrzała, na piecu cegły drapała, probując, czy któréj wyjąć nie można, zeskoczyła na ziemię i znowu do szmat się rzuciła! Z pod tapczanu baryłkę z dziegciem słomą zatkniętą wysunęła, worki, łapcie, garnki z pierzem wyrzucała na środek z coraz większym pośpiechem! W uszach dzwoniło, co chwila przerywała robotę, słuchała.... Ktoś przeszedł koło chaty, wiatr drzwi w sieni poruszył, zaszeleściło coś pod piecem... i znowu wszystko ucichło — smugi światła słały się po ziemi, świerszcz brzęczał w śmieciach przy progu! Rzucała się do roboty! Już każdą szmatę z dziesięć razy miała w drżących od pośpiechu rękach, nie wiedząc za co chwytać, gdzie jeszcze szukać i patrzéć. Zadyszana, przysiadła na tapczanie wśród kupy rupieci.... opuściła ręce; koszula przylgnęła do spotniałych pleców, pot błyszczał na czole... Sapała ciężko, przełykając kurzem przesiąkłe powietrze. Jeszcze cały dzień miała przed sobą. Oni aż wieczorem wrócą... Strych, strzechę, świéron przetrzęsie, pazurami ziemię drzéć będzie... a znaleść musi! Wiedziała, że stary chował gdzieś pieniądze, przez sześć lat czatowała na niego. On to rozumiał, przeczuwał raczéj... wystrzegał się... pilnował chaty przedewszystkiém, jak stary wilk pilnuje łożyska, w którém kilka kości schował na głodną godzinę! Pewną była, że ukrył gdzieś w chacie. Ale gdzie? Spróchniałe ściany przy ziemi białą pleśnią pokryte, okopcony pułap, komin, podłogę gliną ubitą, wszystko już obejrzała, omacała, wszędzie węszyła, ocierając się o każdy kąt, drapiąc w szczelinach, nadsłuchując... Strzecha jeszcze została odwieczna, mchem porosła, za każdą krokwią mogła być kryjówka... Spojrzawszy na skrzynię w kącie przy piecu, skrzywiła się pogardliwie, stary był chytry... umiał chować! Duża kłódka wisiała przy skrzyni, odemknęła by ją jedném uderzeniem siekiery... Wzruszyła ramionami na samą myśl podobnéj kryjówki! Wczoraj już, świécąc Maksymowéj, prześwidrowała wzrokiem każdy drobiazg! Zamka nie poruszy! Niech dla tych wołów zostanie! Ona lepszéj kryjówki poszuka... A jeżeli i ona nic nie znajdzie?... Odrętwiała na samo to przypuszczenie, stłumiła oddech, przez chwilę siedziała jak

martwa. Ucieknie! utopi się, ale dłużéj w téj chacie przeklętéj nie wytrzyma. Sześć lat żyła jak na uwięzi.... dłużéj tak żyć nie chce! Zerwała się, setny już raz może schwyciła poduszkę, szarpnęła, pierze rozleciało się po izbie, pokryło rozrzucone na podłodze rupiecie.

II.

Kiedy szła za mąż, baby i dziewczęta krakały jak wrony, dziwiąc się i zazdroszcząc, że do najbogatszéj chaty idzie! Ona wówczas już wzruszała ramionami na to swoje szczęście! Stu innych wolałaby niż jednego Franka; chudy był wówczas, z krzywemi nogami, bez wąsów nawet! Niedawno bydło z chłopcami pasał, a teraz przechwalał się, że ją rozumu nauczy, dotąd bić będzie, aż do roboty przyzwyczai jak należy! Śmiała się, słuchając, dyabeł uciekłby od tego śmiechu, a Franek nie uciekał! Z biédy poszła za niego; głód prześladował ją od dzieciństwa, jak gdyby w głodny rok na świat przyszła! Strasznie głupią miała matkę, dziś jeszcze, kiedy ją wspomni, wzrusza ramionami pogardliwie. Wysoką, z czarnemi oczami, młodą jeszcze będąc, chodziła w łachmanach jak żebraczka! Pisarz w ich wiosce chciał ją do siebie za gospodynię wziąć... Nie poszła!

— Dość jednego grzéchu!—mówiła—teraz pokutować trzeba... Boga przepraszać.

Pisarz znalazł inną, czerwoną, hożą, panowała u niego jak we własnym domu! Ewka nieraz widziała ją w różowéj spódnicy, w niebieskiéj fularowéj chustce, karmiącą kury ziarnem, albo siekającą zielsko dla wieprzów; pierścionki miała, kolczyki, siadywała sobie całemi godzinami w otwartém oknie, przy samowarze, piła herbatę, cukrem przegryzając! Utyła, wypiękniała, chłopi przed nią czapki zdejmowali, kury, jaja, orzechy znosili! W najpilniejsze czasy, kiedy inne baby od świtu do nocy przy żniwie potem się oblewały, ona siedziała sobie na ganku, wygrzéwała się na słońcu, gryzła orzechy, albo pisarskiego psa grzebieniem czesała!

Chuda, czarna Ewka w poszarpanéj spódniczce, w brudnéj, rozpiętéj na piersiach koszuli, zaczajona w krzaku, przyglądała się téj rozkoszy, pożerała wzrokiem wszelkie oznaki pisarskiego dostatku. Duży błyszczący samowar miał dla niéj prawie takiż urok powagi, jak sam pan pisarz! Dreszcz ją przebiegał, oskoma dręczyła, na widok jadła różnego, na samę woń pieczywa i smażonego mięsa. Poruszała nozdrzami, przełykała ślinę i jak lunatyczka, bezwiednie prawie przysuwała się coraz bliżéj do pisarskiego domu! Z za węgła, szła wzdłuż ściany, aż pod ganek, stawała w kącie skurczo-

na, nieśmiała.... Siwe oczy latały na wszystkie strony, chude, jak u małpy, palce kurczyły się nerwowo! Skrzętna gospodyni na ganku nic nie zostawiała, w najlepszym razie znajdowały się na ławce strąki grochu, ogryzione jabłko, albo resztki chleba z masłem, którego pies nie dojadł! Sama zato dawała jéj czasem kawałek cukru, séra, odgotowane mięso, Ewka chowała śpiesznie zdobycz za pazuchę i, nie oglądając się, uciekała przez płoty, przez zagony, do staréj kuźni, gdzie matka jéj kąt miała, w izbie malutkiéj jak skrzynia, obrosłéj z zewnątrz pokrzywą i łopianem, ciemnéj i zimnéj jak psiarnia. W izbie téj zamykała ją czasami, na robotę wychodząc, zostawiwszy trochę zimnych, odgotowanych kartofli, chleba kawałek i garnek pierza do skubania! Koło okienka świergoliły wróble, przez szczeliny w ścianach przekradały się cienkie smugi słonecznego światła, z pod węgłów spróchniałych wyglądała trawa, zielone jaszczurki, ogrzane słońcem, wsuwały główki, rozglądały się po ciemnéj izbie, znikały, szeleszcząc w gęstych liściach. Ewka poszła za ich przykładem: zjadła co było do zjedzenia, wyśliznęła się z izby, wyłamawszy kawałek spróchniałéj deski. Głodne psy odtąd nakrótko zakradały się tą drogą do ich chaty, po chwili wyłaziły również głodne jak weszły. Ewka na żer szła, niszcząc po drodze wszystko co się dało! Najadłszy się jabłek, gruszek, jarzyn wszelkich, resztę łapała chciwie w fartuch, za koszulę, czaiła się za płoty, chyłkiem przechodziła przez las konopi, obładowana łupem, padała biegnąc przez pole po zagonach, w końcu, dopadłszy do izby, ukrywała zdobycz w pokrzywy, przysłaniała zielskiem i trawą, odpocząwszy chwilę, zasapana biegła daléj po orzechy, po jagody, po grzyby różne!

Choroba jakaś ją trawiła, zęby swędziły na widok jadła w jakiéj bądź formie; zdaleka już węszyła zapach gotowanéj strawy, smażonéj słoniny, z błyszczącemi oczami biegła w tę stronę, serce biło gwałtownie, stawała przy drzwiach, czekała, oglądała się, nadsłuchiwała.... W izbie jedli; czasami pies w zębach kość wynosił, ogryzał u jéj stóp bosych kość ciepłą jeszcze, wilgotną, z resztkami żył żółtawych. Ewka przełykała ślinę, aż w gardle bolało, ocierała się plecami o ściany izby, z nogi na nogę przestępowała, ale wejść do izby nie śmiała; rozjątrzona, zaciskała zęby, schwyciwszy kość psu, biegła z nią w pole, oglądając się co chwila, gdy pies nadbiegał, ciskała ją w krzaki, w warzywo między zagony, śmiała się piskliwym śmiechem, widząc, jak skrzywdzony, zbity z tropu pies stawał, węszył i wracał do chaty ze łbem spuszczonym....

Ona to odkradała pastuchom z torby sér, chléb i kwaszone ogórki! Przez długi czas oskarżano o to samego dyabła! Tak zręcz-

nie, przyczaiwszy się, umiała wymacać przez płótno każdy kęs jadła; upatrzywszy stosowną chwilę, wsuwała do torby chudą, małą rękę; dziad nie zdołał jeszcze głowy odwrócić, a ona była już ze zdobyczą w najgęstszéj leszczynie nad strumieniem, jadła chciwie, spoglądając dokoła między gęstemi liśćmi.

W leszczynie téj cienistéj, podesłanéj miękką trawą, usianą białą i różową dzięcieliną, w największy upał nawet panował wonny chłodek; ptactwo różne zlatywało się tu gromadnie, obsiadało gałązki, kryło się w gąszczy; od gwaru, świergotania, szczebiotu, drgały liście, drgało wonne błękitnawe powietrze. Tu, w południe parobcy zostawiwszy woły w polu, przychodzili wyciągnąć się w trawie nad strumieniem, tu dziewczęta i młode kobiéty z wioski prały zwykle bieliznę na dwóch wielkich kamieniach, stojąc po kolana w przezroczystéj, z cicha szemrzącéj wodzie! Siwe oczy Ewki zerkały na nich z pomiędzy gęstych liści. Stała tam jednak tylko dokąd nie pochłonęła ostatniego kawałka. Nieraz, podczas najdrażliwszéj sceny, odchodziła, wzruszając ramionami obojętnie. Gdy ją tam matka spotkała przypadkiem, pędziła do chaty, perorując po drodze o Bogu, o cnocie, biła w kark pięścią, popychała przed sobą, chudą, głodną dziewczynę, zalewając się łzami nad jéj próżniactwem i hardością!

— Bodaj tę cnotę dyabli wzięli—mruczała Ewka. Od szybkiego ruchu głód znowu jéj dokuczać zaczynał; zérkała w prawo, w lewo, a dostrzegłszy płot niski, rzucała się nagle w tę stronę i jak ryba w wodzie, znikała w konopiach, w szerokich liściach brukwi i buraków; tylko potrącone gdzie-niegdzie maki i kopry, świadczyły o obranym przez nią kierunku!

Matka patrzyła osłupiała.... w dziewczynie téj złe jakieś siedziało.... Wiedziała o tém dawno, w końcu jednak i sąsiadki mówić o tém zaczęły! U każdéj prawie wyjadała warzywo, wykradała suszące się séry w koszach, w końcu zaczęła śledzić kury.... W wiosce krążyły już wieści, że sekretnie podbiéra jaja... Stare baby, co już niejedno na świecie widziały, zaczęły przebąkiwać, że ona może i krowy w polu wydaja.... Szkodny pies nie miał tylu wrogów, co ona! Zaledwo weszła w ulicę, z sieni, z za płotów wychylały się głowy w czerwonych, w białych lub brudnych chustkach; syczały na nią zdaleka, psy i dziatwa wybiegały na jéj spotkanie, dopędzały, wyskakiwały z podwórków z prawéj i lewéj strony.... Na szczęście chudą była jak chart, miała długie i cienkie nogi; rozpędziwszy się, dziatwę zostawiała daleko, psy tylko dotrzymywały placu, dopędziwszy, targały zębami za starą spódniczkę, chwytały za łydki, nieraz do krwi ugryzły w bose, zabłocone pięty. Wrzawa ta i nie-

bezpieczeństwo podniecały w niéj ducha. hartowały odwagę; widząc ślady krwi na piasku, wzruszała ramionami; po każdéj takiéj przeprawie jadła z większym apetytem, albo szła spać strasznie głodna i śniła, że ma cały bochen świeżutkiego chleba, lecz zanim skosztować zdołała, budziła się raptem na słomie, w pustéj izbie.... i płakała z głodu gorzkiemi łzami! .

Na służbie, gdy została niańką u ekonomowéj, jadała codzień ciepłą strawę w kuchni, dostawała czasami kęs jakiś ze stołu, natomiast codzień w niemej bezczynności spoglądać musiała na prawdziwie ekonomski apetyt i dostatek! Woń tłustych, posilnych potraw snuła się za nią; w dwóch dusznych niskich izbach pachniało twarogiem, okrasą, na stołach przy oknach suszył się naprzemian, mak, kasza, mąki różne, po kątach przy piecu i za drzwiami wisiały suszone grzyby, jabłka i gruszki; gdy słońce przez okna ogrzało ten ład i dobytek, powietrze w izbie stawało się odurzające! Muchy latały zwolna jak pijane, Ewce głowa ciążyła, uspokoiła się jakoś, spoważniała; dano jéj czerwoną spódnicę i wyblakłą niebieską chusteczkę, którą mogła przykryć koszulę dziurawą na plecach.

W kilka lat, gdy wyrosła na szczupłą, smagławą dziewczynę kucharz chciał jéj kupić pierwsze trzewiki. Na wszelkie zaloty wzruszała ramionami obojętnie, głodną teraz bywała rzadko, a że dzieci u ekonoma przybywały każdego roku, przez całą wiosnę i lato, wraz z dzieckiem, wygrzewała się na słońcu, drzémała, gdy sen zmorzył i tylko w porze śniadania i obiadu uczuwała dawny niepokój i energią. Mówili o niéj, że jest trochę leniwa, ale porządna dziewczyna, i na to wzruszała ramionami! Inne dziewczęta dostawały wstążki, paciorki, wracały czasami pijane z jarmarków, ale w kieszeniach miały pierniki i groszowe cukierki. Ona w swojéj czerwonéj spódnicy, krótkiéj i wyblakłéj, w siwéj koszuli, łatanéj na plecach białym perkalem, patrzała na to wszystko z pod czoła, zaciskała zęby....

Dawnoby już rzuciła służbę, gdzie ją prawie tylko za chléb i przyodziewek trzymano, lecz bała się, żeby znowu między chłopstwo na głód i ciężką pracę się nie dostać. Przytém jeden z parobków, Andrzéj, powiedział jéj raz nazawsze, że się z nią ożeni, jeżeli będzie uczciwą dziewczyną, w przeciwnym razie, kości jéj połamie, kamień do szyi uwiąże i na rzekę puści. Obiecywał to spokojnie grubym, ochrypłym głosem, kija nawet przy sobie nie miał, uwierzyła jednak, przeczuła raczéj, że on obietnicy dotrzyma. Lękała się go trochę, była żwawszą i pracowitszą, gdy na nią patrzał, kilka razy nawet, gdy w święto do stajni zajrzała, stawała przy drzwiach zdziwiona, jakby onieśmielona. Podczas gdy inni parob-

cy wałęsali się z kąt w kąt, spali na słomie, albo grali przed kuchnią w stare zasmolone karty, on, siedząc na kulu słomy pod żłobem, czytał!... Elementarz na kolanach rozłożył, palcem po literach wodził i bąkał, niezrozumiałe jakieś sylaby, czerwony, zasapany jak przy ciężkiéj robocie, rękę w rude kudły zasuwał, drapał się za uchem, wzdychał—ale czytał! Ujrzawszy we drzwiach dziewczynę, elementarz śpiesznie za koszulę chował.

— No i czego przyszła — wołał zaczerwieniony — ruszaj do dziecka, ot, po stajniach jeszcze wałęsać się zacznie... Odwracał od niéj głowę, patrzał z podełba w ciemny kąt stajni, wstydził się swojéj uczoności, nie chciał, żeby ludzie gadali, że on nie taki jak inni.

— Ot dureń!—szeptała Ewka, drepcząc od stajni ku dworowi.

Dopędzał ją czasami; szedł obok z rękami w kieszeniach spodni, z pochyloną na piersi głową: buty miał zawsze porządne, bieliznę czystą i całą, mówił niewiele, z rozwagą i zawsze w ziemię patrzał. We dworze szanowali go wszyscy, nie upijał się, nie kradł, silny był, pracowity, tylko hardy, ekonom zanim do niego słowo przemówił, namyślał się, rozważał i często odszedł z tém, z czém przyszedł, bojąc się hardéj odpowiedzi.

— Ty, Ewka, domu pilnuj — mówił łagodniéj, idąc z nią ku dworowi — złych języków strzeż się, człowiek... tego... no, wiadomo... każdy człowiek powinien dbać o ludzi.

Chciałby to jaśniéj wytłómaczyć—nie umiał, słów brakło; czuł tylko, że duszę oddałby za tę szczupłą czarniawą dziewczynę, z siwemi oczami, ze złym, ale jakby mądrym uśmiechem.... czuł zarazem, że zdusiłby każdego, ktoby jéj chociaż jednym palcem śmiał dotknąć! Ożeniłby się z nią choć dziś, ale kiedy bał się; widział jak inni parobcy z dziećmi, z żonkami włóczyli się ze służby na służbę, ciągnąc za sobą na wozie złamany stołek, skrzynię bez zamka, kolebkę łozową, w któréj jedno albo dwoje małych piszczało! Ile razy koło czworaka przechodząc spostrzegł brudne, opuszczone maleństwo, pełzające po kamieniach, szturgane przez świnie, skubane przez gęsi i kozy — stawał i patrzał — bronić nawet nie miał ochoty.

— Niech marnieje, niech zdechnie wprzód, nim od ziemi odrośnie; lepsza śmierć niż psie życie — spluwał i odchodził.

— Durny chłop! — szeptało mu coś w duszy! brwi ściągał, patrzył w ziemię i czasami przez kilka dni do nikogo słowa nie przemówił.

— Żeń się ze mną — powtarzała nieraz Ewka, patrząc mu w twarz siwemi oczyma. Uśmiéchało jéj się życie parobkowéj, spa-

łaby wówczas długo, gotowałaby co chciała i tylko z łaski poszłaby czasami podoić dworskie krowy albo wypléć warzywo.

— Poczekaj, może potém lepiéj będzie — odpowiadał.

Wzruszała ramionami na to nieokreślone „potém“; jéj i teraz źle nie było; żeby jeszcze miała nową odzież i nie potrzebowała prać pieluszek, byłaby zupełnie szczęśliwa.

— Może ziemi kawałek, chatę własną... dostanę... ot, wtedy....

Zamyślał się na te słowa, przymykał oczy.... gęsta czupryna spadała na czoło, nastawiał rude wąsy. Barczysty, ponury, imponował jéj siłą i powagą.

— A ty, Ewka, ekonomskiego cukru nie kradnij — perorował na wpół surowo, na wpół po przyjacielsku, znalazł ja, idąc za tobą, kawałek i psom rzucił; co słuszne, to słuszne, a co kradzione to wstyd i grzéch. Gospodynią ty u mnie będziesz, żonką, to i duszy poczciwie pilnować musisz.... Na co nam cukier i to cudzy? byle własny chléb był! Na ten raz przebaczę, na drugi — wybiję, dalibóg! Choć mnie samego serce boli, że ty dobrego słowa słuchać nie chcesz!

— Ot, dureń! tfu! niech go choroba!—powtarzała Ewka w duszy, ochłonąwszy nieco z wrażenia powagi i spokoju. Chleb ja mam! a cukru kto mi da, jeśli sama nie wezmę?

Czekała, co daléj będzie; on zaś z roku na rok odkładał; stawał się coraz bardziéj milczący, czasami w gniéw wpadał, breweryc wyprawiał, ekonom zapowiedział w końcu, że go odprawi.

— Sam pójdę! dość już tu swego potu zmarnował! Świat szeroki, głód i robotę wszędzie znajdę — odrzekł hardo.

Ekonom bał się, żeby w złości nie podpalił gumna ze zbożem, albo krów nie potruł; milczał tedy do czasu, kazał go nawet pilnować zdaleka.

— Pójdę w świat — mówił Andrzéj do Ewki — teraz taki czas nastał, że kto rozum ma, w świat idzie.... za morze, albo za Dunaj pójdę.

Chmurzył się, mówiąc o tém; zérkał z pod oka na pola, falującém żytem porosłe, na łąkę, wśród któréj drzémało jeziorko pleśnią pokryte, błotniste, przepełnione żabami! W monotonnéj, ubogiéj okolicy nie było na czém wzroku zatrzymać, Andrzéj rozglądał się jednak, a im dłużéj patrzał, tém ciszéj powtarzał:

— Pójdę w świat!

Czasem i wcale nie powtarzał. Wracał do roboty i przez kilka dni jak wół pracował zawzięcie, do krwawego potu, ekonom dawał mu zato wieczorem kieliszek wódki i o wydaleniu nie wspominał. Myśl wędrówki wzrastała stopniowo.

— Co ja tu wypracuję? — powtarzał przed Ewką, która słuchała z szeroko otwartemi oczyma i od czasu do czasu wzruszała nieznacznie ramionami. — Za młodu parobkiem będę, na starość pastuchem! Ludzie na świecie, słyszę, wzbogacają się odrazu, ten tak, ten owak, grosz zarobi, ziemię kupi... i pracuje na swojém! Pójdę w świat! Ty, Ewka, mego psa pilnuj, niech o mnie tu choć jedna dusza pamięta. Za rok, za drugi wrócę... Ja tam wielkich rzeczy nie szukam, trochę zarobię, trochę pożyczę, chatę po leśniku kupim i dosyć!

Słuchała, a w piersiach drgał zły śmiéch, oglądała się po podwórku, żeby mu w oczy nie patrzéć.

— Dokąd on pójdzie... a!... ot nie widzieli na świecie durnia! — powtarzała w duszy.

Powiedziéć tego głośno nie śmiała; wyglądał coraz posępniéj, opuścił się, postarzał, zbierał zwolna manatki, chodził jak odurzony, czasem nawet jeść zapominał, w końcu zabrał resztę należności od ekonoma.

— Jutro już pójdę — mówił do Ewki ostatniego wieczoru.

Siedział pod wierzbą za stajnią, kolana rękami obiął i nasłuchiwał, jak za ścianą konie obrok chrupały, łowił uchem głuchy, nieujęty szmer jesiennego powietrza, szelest liści wierzbowych.... Stłumił oddech, na razie więcéj mówić nie mógł.... Ewka, oparta ramieniem o drzewo, kręciła w palcach rąbek fartucha, miała już wówczas swoje projekta... czekała tego „jutra“.

— W Poniemuniu las rąbią, po rublu za dzień żyd płaci... pójdę, potém może co lepszego trafi się... trzeba będzie po świecie poszukać — mówił jak senny, równym, monotonnym głosem.

Zamilkł; od błotnistego jeziorka powiało chłodną wilgocią; poruszył nozdrzami, powoli, jak lunatyk, zwrócił głowę w tę stronę; niemoc go ogarniała, zasnąłby tak pod wierzbą i spałby do dnia sądnego!

Ewka poruszyła się niecierpliwie, odejść nie śmiała; chociaż nie wybił jéj ani razu, bała się jego żelaznych pięści, grubego głosu, bała się nawet tych brwi rudych, najeżonych jak u zbója. Przestąpiła z nogi na nogę i westchnęła ze złości. Spojrzał na nią; szczupła, bosa dziewczyna w staréj spódniczynie, z głową do pnia wierzby przysłoniętą, wyglądała smutnie... tego wieczoru cały świat jakoś smutnie wyglądał, — na niebie snuły się szare chmury, chłodnawy deszczyk prószyć zaczynał.

— Nie bieduj, wrócę! rok nie wiek! Będziesz poczciwa... nie pożałujesz! Zgubisz duszę, to i ja ciebie zgubię! Powiedział raz, że ty dla mnie sądzona, to już tak być musi! Nikt doli swojéj nie prze-

mieni! Ja od rodu na baby nie patrzył, a ciebie umiłował, od krzywdy, od poniewierki bronił, tak i ty, Ewka, pilnuj się... Głowę skręcę, żeby ja tak zdrów był! ty wiész, że ja nie pies, darmo szczekać nie lubię!

Złagodniał trochę, wziął ją za rękę, potrzymał chwilę i puścił.

— No, bywaj zdrowa, jutro o świcie już mnie tu nie stanie! Szelma Piotrek będzie teraz łysego poił! kat on na konie! miłosierdzia żadnego nie ma! ha, niech katuje! Nie moje konie, nie moje biédowanie!

Splunął, sięgnął do kieszeni po lulkę, nim zapalił, Ewka była już w połowie podwórka; spojrzał za nią; w zmroku wieczornym widział jéj bielejące plecy, widział, jak szła coraz prędzéj, znikła za domem. Opuścił rece, o lulce zapomniał, postał jeszcze czas jakiś i powlókł się ociężałym krokiem, na ostatni nocleg do stajni!

W rok potém Ewka była już żonką Franka. W piérwszych czasach chodziła jak odurzona, sama nie wiedziała, czy to sen, czy jawa ciężka, dusząca, stokroć gorsza od służby we dworze, od głodnych dni dziecinnych, bez pracy na swobodzie! Odrazu do najcięższéj roboty ją zaprzęgli, od świtu do nocy chwilki jednéj swobodnéj nie miała!

W niskiéj, okopconéj chałupie stary ojciec, wysoki, jak zbój obrosły, śledził ją wzrokiem z pod brwi najeżonych; do roboty pędzał, przysiąść nie pozwalał; sam, jak wół, wciąż jeszcze w jarzmie chodził, w każdy kąt zazierał, a jéj pilnował więcéj niż wszystkich. Pod ziemię skryłaby się od niego, a tu nawet za płotem, w konopiach skryć się nie mogła. Zaledwo na chwilkę przysiądzie, odurzoną głowę rękami ściśnie i kości na słońcu prostować zacznie— stary z za płota wyłazi, dolną wargą rusza, sapie, sękatym kijem po ziemi stukając. Ewka zrywa się, przez płot, przez zagony do roboty wraca, klnie w duszy dolę swoję, chatę i męża przeklina, ale milczy i robi! Robota jéj kiepska, do niczego porządnie wziąć się nie umié—ze strachu, ze złości wszystko z rąk pada. Stary od pierwszego dnia nazwał ją darmozjadem, zapowiedział, że z chaty wypędzi, Franek uspokoił go trochę, obiecując, że sam na niéj ze dwa kije połamie i rozumu nauczy.

Maksymowa dziwiła się, ramionami wzruszała; dała jéj swoję koszulę, spódnicę, czystą, białą chustkę na głowę, i obiecała, że pracować nauczy; jeden tylko Maksym nic nie mówił, patrzał na nią z pod oka i milczał! Ewka przeczuła w nim sprzymierzeńca, a gdy sam-na-sam zostali w polu czy w chacie, uśmiéchała się do niego i zaglądała w twarz siwemi oczyma. Odwracał się zwykle, odchodził, czasem nawet splunął jak na grzeszną pokusę!

W chacie dobra wszelkiego podostatkiem, sześć krów, wieprze, owce, stado gęsi, kur bez liku, w świérnie zboże od kilku lat leży; płótno, sukno, kożuchy! oczom swoim nie wierzyła na cały ten dostatek patrząc, dziwiła się, do każdéj rzeczy dotykała z osobna, wszedłszy do świérna, stawała na środku, rozglądała się po ścianach zawieszonych siermięgami, uprzężą, workami z kaszą, z mąką, słoniną i wieprzowiną wędzoną.

— Ot! bogacze! a! — powtarzała, wodząc oczami dokoła.

Przez cały rok nie potrafiłaby zjeść wszystkiego! Na razie nawet, nasycona wonią dostatku, straciła apetyt. Po kilku dniach żarłoctwo odżyło w niéj znowu, podniecane widokiem jadła, z którego czerpano bardzo ostrożnie, oszczędnie, jak gdyby na sto lat wystarczyć musiało! Ewka oczy otwierała szeroko, na ustach jéj zastygał okrzyk złości, oburzenia, na widok chudo okraszonych kartofli, postnego krupniku, podczas gdy w świérnie pleśniała wieprzowina, słoninę myszy jadły!

— Dla złodziei dobytek chowacie — burknęła raz do Maksymowéj, łzy miała w oczach, w sercu wrzał gniéw sprawiedliwy.

Maksymowa popatrzała na nią spokojnie... na razie nie zrozumiała nawet o co chodzi; cały wiek swój tak żyli, nikt jeszcze z głodu nie umarł, nikomu na myśl nie przyszło lepszéj strawy żądać. Człek święta od dnia powszedniego odróżnićby nie potrafił, gdyby codzień akuratnie mięso i okrasę jadał.

— Nie kradniemy nigdy i nas, chwała Bogu, nie okradali — odrzekła.

Zmiarkowała jednak odrazu naturę Ewki, klucz od świernu zawsze za pazuchą nosiła, na noc pod siennik kładła, jak dawniéj, tak i teraz sama wszystkiego doglądała, Ewkę tylko do posług, do roboty używając.

— Ubogą sierotę do gospodarskiéj chaty przyjęli, szanuj dobrą dolę, od pracy nie uciekaj! Ciężko z początku, cóż robić, matka rodzona dziecko bije, nim rozumu nauczy, a tobie tu krzywdy tymczasem nie ma. Ojca starego szanuj, mądry on, sprawiedliwy, a że pomruczy czasami, na to stary.... Komu do grobu bliżéj, temu z drogi ustępować trzeba, tak już na świecie sam Pan Bóg postanowił—mawiała—wiedząc, że Frankowa rzuca się nieraz po izbie jak dzika kotka, świat i ludzi przeklina, albo siedzi na ławie jak skamieniała, usta gryzie i w ciemne kąty z pod czoła spoziéra.

— Żeby wasze całe bogactwo czort wziął, wy w biedzie żyliby tak samo, jak dziś w dostatku żyjecie — rzekła, coraz bardziéj rozjątrzona spokojném, pracowitém, niezmiernie skąpem życiem.

— A żyliby! — odrzekła Maksymowa.

— Bodajże was wszystkich nie stało! Woły przeklęte! — syknęła zaczerwieniona i wyskoczyła z izby.

W wiosce nie znała nikogo; Franek wziął ją z pod miasteczka, z obcéj strony; tu jakby ludzie insi, przyglądali się jéj z początku, a potém i patrzéć na nią przestali.... oswoili się jak z nowym koniem, albo z nową krową na targu kupioną. Zaczépiała baby, zaglądała do chat, probowała skarżyć się, narzekać — słuchali w milczeniu.

— Głupia, bo młoda, pożyje—zmądrzeje — mówiły o niéj stare kobiéty.

— Wiedźmę do wioski przywiózł — powtarzali mężczyźni młodsi i starsi, przeprowadzając ją wzrokiem, ile razy przez wioskę biegła.

Dusiła się w chacie wieczorem szczególnie, gdy stary chrapał na piecu, Maksymowa krzątała się po izbie, a Franek, Piotr i Maksym siedzieli rozparci za stołem nad resztkami wieczery. Wybiegała przed wrota, przygładziwszy uprzednio włosy nad czołem; po drodze poprawiała na sobie koszulę i fartuch, uśmiechała się do myśli różnych. Koło wrót przechodzili gospodarze i parobcy, nie patrzyli na nią, albo mruknęli „pochwalony“ i szli swoją drogą, zaczépiała ich sama, ale zaledwo śmiać się i rozmawiać zaczęła, Maksymowa wołała na nią, że spać pora, że ogień w izbie gasi; nie doczekawszy się, wychodziła sama z założonemi rękami, zbliżała się wolnym krokiem do wrót, stawała między nią i parobkiem, zaledwo rozbawionym, jakby podochoconym trochę, spoglądała na niego, na nią.

— Wstyd tobie, Ewka, na ulicy zęby szczerzyć, czy ty dziewczyna! — upominała po macierzyńsku — pacierz zmów i spać idź. Jutro przed słonkiem do żniwa pójdziemy, stary cztery morgi we dworze zajął.

Ewka udawała że nie słyszy, obracała się do niéj plecami, ale Maksymowa nie odchodziła, powtarzając: „Wstyd tobie Ewka“— ciągała ją za spódnicę, za rękaw od koszuli, zmuszała w końcu do odwrotu; po drodze wypowiadała jeszcze parę uwag, na które Ewka pluła, wzruszając ramionami z oburzeniem.

— Ucieknę, dalibóg ucieknę! — szeptała zdławionym głosem, spoglądając z nad brzegu rzeki, z pola, na chatę nizką, zczerniałą, na dwa stogi słomy stérczące przy stodółce, jak dwa pomniki pracy i dostatku. — Niech im czort służy! za co ja mam tu duszę gubić, młodość marnować? Czy mi życie nie miłe? Oj, Boże mileńki, za co ty mię tak pokarał! Wolałabym ja ziemię czarną gryźć, w ciemnéj mogiłce leżéć, niż w téj chacie przeklętéj, w pracy ciężkiéj, śmierci wyglądać!

Rozmyślała tak nieraz całemi godzinami, ukryta za urwiskiem nad rzeką; lada szelest dreszczem ją przejmował, oglądała się, czy z za krzaków nie wyjrzy stary z sękatym kijem, czy Franek albo Maksymowa nie idą aż tu, żeby ją do wiecznie nieskończonéj roboty zapędzić? Z krzaków wylatywał szary ptaszek jakiś spłoszony szelestem, krążył nad brzegiem, w cichém, letniém powietrzu, spuszczał się zwolna ku ziemi i znikał w zaroślach. Uspokojona Ewka opierała się plecami o piaszczyste urwisko, grzała nogi w rozpalonym piasku, przeciągała się jak kotka mrużąc oczy. Wieczorem napadną na nią, stary zaniemieje ze złości, kijem tylko w ziemię stukać będzie, ślépie wytrzészczy, zapluje sobie brodę bełkocąc przekleństwa! Franek, według zwyczaju, raz jeszcze powtórzy, że już do pół śmierci zbije, Maksymowa pokiwa głową, jak nad umarłą! To cóż? oswoiła się już z tém wszystkiém, z robotą tylko oswoić się nie mogła.

Ziemi mieli mało, całą gromadą na zarobki chodzili, a każdy grosz stary im z rąk wydzierał, oglądał, rachował, drżącemi rękami na wszystkie strony obracał, do skórzanego woreczka zsypywał i zapazuchę chował; zamyślał się potém; stał jak słup w podwórku, albo przed drzwiami chaty, liczył coś, miarkował, brwi ściągał, znać jeszcze miarki nie dobrał, a może już wątpić zaczynał czy dobrać zdoła? Kiwał głową zwolna, wzdychał wpatrzony gasnącemi ślepiami w tę ziemię czarną, którą przez tyle lat krwawym potem polewał. Synowie przechodzili koło niego ostrożnie, mówili ciszéj, jakby się bali, żeby starego z ciężkich myśli nie zbudzić!

Ewka śmiała się w duszy z tych wołów roboczych, którzy mu swoję krwawicę dobrowolnie oddawali, nie zostawiwszy sobie ani jednego grosza na tabakę! Oho,—ona tak głupia nie będzie! Prędzéj stary śmierć swoję ujrzy, niż jeden szeląg z jéj zarobku! Kiedy pierwsze dziewięć złotych we dworze za żniwo dostała, wracając z Maksymową, rozmyślała podrodze, że w niedzielę kupi sobie za te pieniądze trzewiki, fartuch, albo różowego perkalu na kaftan—na wspomnienie o starym wzruszała ramionami z lekceważeniem. Nie zabije jéj przecież, od żywéj zaś nie dostanie ani grosza! Mogłaby przysiądz na własną duszę! Czekał już na nie; zaledwo weszły na podwórko wstał z przyzby, wyprostował się, wyższy był jakiś tego wieczoru, ramiona podniósł i wyciągnął kościstą rękę po pieniądze—Ewce zimno się zrobiło koło serca, odwaga zastygła w piersiach; patrzała z przerażeniem, jak Maksymowa oddała mu cały zarobek. on jéj dziesiątkę dwojakami na dłoni zostawił. Dzieci młodsze wymiérały jéj jedno po drugiém, stary umyślnie kilka groszy zostawił, żeby w niedzielę żebrakom pod kościołem rozdała. Ma-

ksymowa ścisnęła w dłoni pieniądze, pięścią łzy otarła i podreptała do chaty, stary rękę do Ewki wyciągnął, spojrzał jéj w twarz z podełba. Sama nie wiedziała, kiedy i jak oddała mu co do grosza!

A gdy z pieniędzmi powlókł się do chaty, ona o mało nie ryknęła z wściekłości! Tego wieczoru pierwszy raz wybiła swego męża. Umyślnie poto wyleciała za nim z izby po wieczerzy. W wiosce już było cicho, wszystkie gwiazdy wysypały się na niebie, Ewka zérknęła w prawo, w lewo, poskoczyła do Franka, który, nachylony koło wozu, zepsute koło zdejmował, urznęła go pięścią raz, drugi, cofnęła się z zaciśniętemi zębami, drżąc ze złości, czekała kiedy on jéj kark skręci! Wyprostował się, patrzał na nią jak gdyby własnym oczom i własnym plecom nie wierzył.

— To ty, znaczy się, mnie wybiła?—spytał.

— A wybiła! No, tak cóż, ot wybiła, a ręce nie uschły! Co dzień bić będę, bo ty mnie tu na zgubę, na śmierć przywiózł! Bo ty mnie na poniewierkę oddał. Nie wyrobnica ja, ale żonka i gospodyni, a grosza przy duszy nie mamy, dobra nie używam... z głodu mrę... własną krwawicę temu... temu... odda... łam!

Głos urwał się w piersiach, zacisnęła pięści, wciąż wyczekując, kiedy téż on ją bić zacznie.

— Wiedźma ty, a nie żonka,—odrzekł głos tłumiąc, przez ramię na oświetlone okienka spojrzał. Ja ciebie z dobrego serca wziął, i choć ty mnie już do żywego dojadła, wszystko czekał, że poprawisz się pomądrzejesz! Ale kiedy ty taka, to i ja... teraz inszy będę.

Zaśmiała się, poskoczyła ku niemu z pięściami.

— Cóż ty mi zrobisz? z chaty wypędzisz? Oj, oj, wielka bieda! Niech was wszystkich razem z chatą jasny piorun spali! żyła ja bez was i daléj bez was żyć potrafię.

— Co ja zrobię? Już ja wiem, co zrobię!—odrzekł widocznie zakłopotany.

— Co? nu, co? gadaj!—syczała przez zaciśnięte zęby, wpatrując się mu w oczy; nie zabijesz, nie utopisz, ani twój rozum, ani twoje siły do tego! Cóż zrobisz? Ot i zgłupiał, gadać zapomniał. Cielę ty łyse! krowę tobie jeszcze ssać trzeba było, ale nie żonkę do chaty przywozić.

— Hm, *baczyli oczy szto kuplali, płaczcie, choć powyłaźcie*!—mruknął Franek, pochylił się nad wozem; Ewka aż drgała ze złości! Żeby ją zbił, żeby na całą noc zamknął w chléwie, wraz z bydłem, poodgryzałyby może sobie palce, podkopałaby się może i uciekła, jak dawniéj ze staréj izby przy kuźni, ale wiedziałaby, że

ma męża nie gorszego od innych! Ten spokojny mazgaj, bez wąsów, w oczach jéj mniéj był wart od ostatniego pastucha.

— Andrzejku, mój mileńki, gdzież ty powędrował,—zawołała naraz, dając wolę wzburzonemu sercu. Ha, zobaczę, poprawisz się ty, to może i ja dla ciebie łaskawsza będę,—dodała ochłonąwszy nagle;—nie poprawisz się dalibóg, żeby mię tak święta ziemia nosiła,—codzień bić będę! Dość nacierpiała się ja z wami, krzywdy i poniewierkę znosiła! Nauczę ja was teraz rozumu!

Splunęła, poskoczyła do sieni. Franek majstrował daléj, miarkując, czy lepiéj nowe koło wziąć, czy może jeszcze z tém, rozczepionem jutro po żyto jechać?

— Bodaj ono przepadło!—mruczał drapiąc się za uchem, na wóz, to na koło spoglądał. W tém żonkę sobie przypomniał:

— Wiedźma!—szepnął...—Rozsechło się! Stało na słońcu t a j rozsechło! a tu i nowego przymiarkować akuratnie nie można!

Wóz, koło, zżęte w polu żyto pochłaniało go w zupełności; dopiéro kiedy robotę uporządkował, upewnił się, że wóz przez jutro wytrzyma, wrócił myślą do żonki, znacznie spokojniejszy, pobłażliwy, prawie zadowolony z jéj energii i rozumu.

— E, taka baba jak inna! Poprawi się jak kija sprobuje! Mądra! wié, że ze mną dobrocią wszystko zrobi, obiecuje, że będzie dla mnie lepsza! Boi się! Wié, że jak w złość wpadnę, to jéj na bożym świecie nie stanie! Siłę straszną mam, ale mam i pomiarkowanie!

Na dowód „pomiarkowania“ tego wieczoru już do chaty nie wchodził; na noc został z Piotrem przy koniach, nazajutrz i dni następnych żonki trochę unikał, jak tylko głos podniosła, wysuwał się z izby, „żeby sobie krwi nie psuć daremném gadaniem“.

W jesieni poszedł do wojska. Stary odwiózł go sam do miasteczka, przedtém jednak szukał czegoś na strychu, a gdy po ich odjeździe Ewka na strych wlazła, między jedną a drugą krokwią, tam gdzie strzecha była prawie nową w słomie, podłużny otwór spostrzegła! Jedną, potém drugą rękę zasunęła po łokieć, kościstemi palcami chwytała mech wilgotny, przegniłą słomę macając na prawo, na lewo, przedarła strzechę na wylot. Ręce do krwi poszarpała,—odchodząc, naprawiła dziurę z większego, stary jednak poznał! Pierwszego zaraz dnia po powrocie, sam nowy kul słomy na strych zaciągnął i dziurę załatał akuratnie; potém dopiéro legł na piecu i przez kilka dni leżał jak bez ducha; zlazł starszy o lat dziesięć, zgarbiony, milczący, Frankową czapkę i rękawice do swego kubła schował; a ile razy, w pierwszych dniach, do obiadu i do wieczerzy

zasiadł, na synów spojrzał... spuszczał głowę, łza za łzą spływała, zatrzymując się na siwym, krótko przystrzyżonym zaroście.

W chacie zrobiło się jeszcze nudniéj. Maksym i Piotr po całych dniach piłowali deski u szynkarza; Maksymowa z Ewką, len tarły warzywo na zimę przygotowały, a że jesień była chłodna i dżdżysta, z izby, z ciemnéj sieni na świat boży wyjrzéć nie było można! Maksymowa przytém stękała jéj wciąż nad głową żałośną pociechę, ubolewała nad dolą smutną, nad samotném życiem „sołdatki“; bojaźni bożéj, skromności uczyła! Słowa mądre czynem popierała: niosąc obiad mężowi i bratu, kładła do dzbanka jedyny kawał stęchłéj wieprzowiny, zbierała dla nich okrasę z wierzchu.

— Nam, babom, nie wiele trzeba! byle z głodu nie umrzéć,— mówiła, zostawiając w garnku wodnisty krupnik i okraszoną kaszę;— oni pracują ciężko to i zjeść lepiéj muszą.—Dosypywała im nawet więcéj soli z dobrego serca, trochę pieprzu brała do papierka, i biegła z jadłem, zabrawszy wszystkie klucze od świérna, skrzyni i kubłów!

Ewka cierpiała to wszystko do czasu; po głowie jéj snuły się coraz mędrsze myśli! Roiła sobie, że odszuka skarb starego, co do grosza wykradnie i umknie z tém w świat, jak niegdyś z pełnym fartuchem niedojrzałych jabłek do swojéj izby zmykała!

Świat ten różnie się jéj przedstawiał: najczęściéj było to wielkie miasto niezmiernie do jedynego, jakie znała, miasteczka podobne; pełno żydowskich kramików z jadłem przeróżném, z perkalami w żółte i czerwone kwiaty, z tłumem ludzi na ulicach, szeregami domów i kościołów, niezmiernie znów do szmulowskiéj karczmy i parafialnego kościołka podobnych. W mieście tém ubrałaby się od stóp do głowy w krasną odzież, kolczyki kupiłaby sobie, a może nawet... kapelusz i parasolkę! Wtedy by żyła!..—oh jakby żyła rozkosznie od rana do nocy między ludźmi różnemi, wśród śmiéchu, w gwarze jak na kiermaszu. Oglądaliby się za nią, że tak... sama jedna! To cóż? Niechby się oglądali! Czy to dla niéj nowina! Głodu by się nie bała, odzieży różnéj miałaby pełną skrzynię, niechby wówczas wszyscy ludzie w psy się zmienili, niechby szczekali na nią różnemi głosy, śmiałaby się z nich, i żyłaby sobie jak pani! Ile, życia tego może byłoby nie wiele, rok, drugi, póki pieniędzy by stało... ale do wioski nie wróciłaby już nigdy! Wolałaby służby w wielkim domu u bogatych państwa, gdzie sług dużo, roboty mało, jedzenie pańskie, wesołość!.. a w sadach owoce różne, jagody, rozkosz taka, że koty i psy śmietanką karmią. W kramnéj odzieży, w kolczykach do dworu takiego dostałaby się z łatwością, prosiliby ją nawet, parokonną furmankę przysłaliby po nią, a ona z wielką zie-

loną skrzynią, z ogromnym węzłem pościeli przed dwór by zajechała, lokaje, kucharz, furman, przez oknoby wyjrzeli, a każden, głową kręcąc dziwiłby się: ho, ho, jaka „bohatyrka“ ta nowa pokojówka, gadaliby między sobą, podczas gdy ona w różowéj spódnicy, w czarnym wełnianym kaftaniku i w złotych kolczykach, siedziałaby w garderobie nad miską jajecznicy, nad mięsem smażonéni, któreby chlebem białym z masłem zagryzała!

— Oh Boże mileńki!—wyrwało się z ust spieczonych, podczas gdy zaczerwieniona, z błyszczącemi oczyma, snuła w myślach te drażniące zamiary! Sama w chacie zawalonéj burakami, marchwią, brukwią i kapustą, złamanym nożem oskrobywała z piasku burak za burakiem, rzucała machinalnie do kadzi kapustą napełnionéj; chwytając na przemian marchew, to brukiew w roztargnieniu, nóż do kadzi rzuciła! Zerwała się z ławy, szukała w koło siebie, pod stołem między warzywem... nóż zniknął jak zaczarowany! Czort może z rąk jéj wychwycił! W téj staréj, spróchniałéj chacie musi on być gdziekolwiek... może na piecu śpiącego starego pilnuje!.. Wyskoczyła z izby, drzwi zatrzasnęła za sobą; na dworze, gdy ją chłód owiał, wzruszyła ramionami według swego zwyczaju.

— Ot, głupia! Gdzież te czorty? kto ich widział? gadają, byle gadać! ludzi straszą, żeby do złego ochotę stracili! Spotkałaby ja jego gdziekolwiek, dawniéj, kiedy za malinami po moczarach, po błotach, zaroślach i przepaściach chodziła! Węże, żmije różne widziała, ale czorta... nie spotkała nigdzie! Bo jego i na świecie nie ma! co tam gadać!—Ochłonęła, lżéj się zrobiło na duszy.

— Ale nóż schwycił!—szepnęło coś nad samém uchem!

Obejrzała się na sień prosto, splunęła przez ramię i już do izby wracać nie miała ochoty.

Poszła za ogród, nad rzekę; tam Maksym płot naprawiał, siekierą nowe kołki w ziemię wbijał, wydając przy każdém uderzeniu głuchy jęk z szerokich, zdrowych piersi. Ewka przeszła koło niego, stanęła o kilka kroków, twarzą do rzeki zwrócona. Od czasu jak Franka zabrali, stawała tak nieraz nad rzeką lub przed wrotami, nikt jéj do roboty nie pędził, bo i roboty pilnéj już nie było, i żałowali ją trochę. Maksym, który dawniéj słowa do niéj nie przemówił, teraz pomagał krowy zapędzać, wrota otwiérał, gdy z pełnemi wiadrami na podwórko wchodziła; raz nawet zapytał, czy nie widziała, w którą stronę Piotr konie na nocleg popędził? Odtąd, gadali z sobą coraz częściéj przed wrotami, albo stojąc naprzeciw siebie we drzwiach chaty. Rozmownym nie był, fajki z ust nie wyjmował, i tylko półgębkiem, patrząc w ziemię, rozmawiał z ludźmi, jakby od niechcenia. Od czasu, jak go miano na „starszynę“ obrać,

spoważniał ostatecznie! Trzymał się sztywnie, brwi marszczył, idąc przez wioskę, z fajką w zębach przechylał się niedbale z boku na bok i tylko obok poważnych gospodarzy stawał, słuchał ich gawędy, kiwał głową od czasu do czasu i—odchodził, pykając fajkę w milczeniu. W chacie też prawie tylko ze starym rozmawiał; zgadzali się z sobą doskonale, stary każde jego słowo, to nawet którego nie dosłyszał, skinieniem głowy potwierdzał; obaj palili kapuściane liście zamiast tytoniu, obaj nie lubili mówić o swoich pieniądzach: stary ani jedném słowem nie zdradził ile ma w zapasie z ogólnego zarobku. Maksym o pieniądzach, wziętych za żonką, nigdy nie wspominał, chował je na dnie skrzyni, w szmacie tak brudnéj, że najuboższy złodziéj nie sięgnąłby po nią w ostatecznéj nawet potrzebie! Zaufanie u ludzi posiadał wielkie, on to odwoził podatki, umawiał się ze dworem o paszę, i prawie wszystkie dzieci w wiosce do chrztu woził. „Starszyną“ jednak dotąd nie został, chociaż sprawił sobie kamizelkę i spodnie z czarnego sukna, a na wybory pojechał parą koni w zielonéj kałamaszce. Gdy wrócił, po nie fortunnych wyborach, stał się jeszcze poważniejszym, bo nawet nie zatrzymywał się obok rozmawiających sąsiadów w ulicy,

W wiosce, na razie, nie chciano wierzyć, że nie jest „starszyną“. Gospodarze wrócili trochę pod-humorem, nie pamiętali kogo właściwie wybrano, kobiéty zaś tak bardzo przywykły szanować powagę, małomówność i spokojny charakter Maksyma, że o innym „starszynie“ słuchać nie chiały. Prawie każda była jego kumą, prawie każda spodziéwała się od niego pomocy w sprawach rodzinnych i sąsiedzkich. Posypały się naraz prośby i skargi. W spokojnéj dotąd wiosce zawrzało, zawichrzyło się jakoś! Kilka kobiet skarżyło się na mężów, pod sekretem, ze łzami zaklinając się na duszę, na dzieci, gotowe mu były pokazać jeszcze zeszłoroczne sińce na plecach i na rękach, gotowe były zwołać półwioski na świadków jako mężowie ich są zbóje, hajdamaki, dobytek marnują, krzywdzą je i poniewierają! Schylając się do kolan Maksyma, całując go po rękach, błagały o ratunek o pomoc. Nie chciały jednak kary dla mężów, każdy z nich bowiem, pomimo złego charakteru, nałogu, czy też brzydkich przywyknień „dobry“ był, „ludzki“, „spokojny“, a tylko, czasami „z pośpiechu“ żonkę poniewierał; w chacie burdy wyprawiał, zadłużał się u ludzi, albo żonki ostatni grosz zabiérał! „Starszyna“ powinien to jakoś załatwić, załagodzić, nie mówiąc nic mężowi, nie perorując żonki, bo oni sami dość rozumu mają, wiedzą jak żyć trzeba, nie wchodząc nawet do chaty powinien zgodę, jedność i miłość przywrócić. Na to on „starszyna“! Wyspowiadały się przecież jak przed księdzem z tego co było i z tego czego nie było

Niech teraz ratuje! Zapłakane, zbiédzone, wypowiedziawszy swoje troski, stały, wyczekując, owego czarodziejskiego słowa, które, jak cudowny talizman, miało je od staréj niedoli uleczyć. Napróżno Maksym wmawiał im, że nie jest „starszyną", że dawniejszy nadal pozostał, on zaś może aż za trzy lata obrany zostanie! Nie wierzyły! Wchodząc na podwórko bowiem, zdało im się, że czują zapach pieczonego prosiaka, w sieni zaś spostrzegły baryłkę wódki słomą zatkaną. Zbytków takich nie robi się bez ważnych powodów! Maksym jest „starszyną", ale pomódz im nie chce, bo jak każdy chłop za chłopami ciągnie, babami poniewiera, bo znów zły, że do niego z próżnemi rękami przyszły! Któż go tam wié! Dawniéj był sprawiedliwy, cudzego nie żądał, teraz gdy starszyną został.... może ludzi ssać zacznie! Schylały się tedy do kolan, za ręce chwytały z jęczącém błaganiem spoglądały mu w oczy lękliwie! Z sąsiada, z kuma stał się dla nich naraz jakąś ważną uroczystą osobą! Głupsze zapomniały się tak dalece, że o swéj nędzy, o biédzie wielkiéj mówić zaczęły, chociaż on wiedział o dniu urodzin każdéj ich krowy, każdego konia i wieprza, parę razy sam od nich pożyczał pieniędzy! Wszystkie mówiły do niego „królu", „panoczku", dziwiły się nawet w duszy, jak mogły tę ważną osobę wczoraj jeszcze „Maksymem" nazywać!

Stokroć dokuczliwsze były skargi o zamianę, kradzież i tym podobne nadużycia! Każda niemal kura w wiosce została zakwestyonowaną; o ładniejsze okazy spierało się naraz trzy i cztery baby! Odnowiły się dawno zaniechane spory o kawałki płótna, zamienione w bléchu, o garnki, miotły i wszelkie inne narzędzia rodzinnego żywota! Dotąd nigdy jeszcze w wiosce nie mieli „starszyny"; między gospodarzami nawet byli tacy, którzy pół wieku przeżywszy, ani razu nie gadali ze „starszyną", nie rozumieli jego znaczenia, władzy, nie pojmowali po co on żyje na świecie? Tytuł, przywileje, nadewszystko zaś stosunki podnosiły go nad poziom zwykłych ludzi, czyniły czémś wyższém, jakby nie chłopem! Tylko w umyśle krańcowych niedowiarków zrodziło się przekonanie, które się potém przysłowiem stało, że i „starszynę" czort bierze! Wogóle jednak przeceniano jego znaczenie.

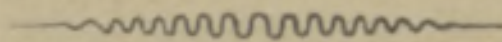
Sąsiedzi Maksyma, ci szczególnie, którzy na pijano z wyborów wróciwszy, nie mogli sobie przypomniéć na razie, kto naprawdę „starszyną" został, przez parę pierwszych dni przechodząc około jego chaty, zdejmowali czapki, a jednocześnie klęli go w duszy, sami nie wiedząc za co? Nie wyzyskał ich jeszcze, ale zrobi to z czasem, za miesiąc, za rok.... jeżeli i nie zrobi, to zawsze jednak jest on „starszyną", „harapnikiem", niby jakąś groźną siłą, ciążącą nad ich mie-

niem i swobodą! Kłócące się baby znosiły mu jaja, masło i kurczęta, hojniejsze gwałtem wciskały w rękę wytartą dziesiątkę, któréj już szynkarz brać nie chciał. Wszystkie gadały naraz, wszystkie domagały się sprawiedliwości, bo wszystkie były przekonane, że on, jako kum, sąsiad, jako „starszyna" z ich własnéj wioski, wszystkim dogodzić powinien! Maksym wiedział, że cały ten zamęt w końcu ustąpić musi, że pierwéj lub późniéj oprzytomnieją nareszcie i dadzą mu święty spokój; z początku jednak probował uspokoić, przekonać, że dopiéro za trzy lata może... Nie dały mu skończyć! Widząc, że sprawy żadnéj rozbierać nie myśli, że pewno na większe łapówki czyha, wpadły w gniéw słuszny: najwymowniejsze wykrzykiwały przed nim, że się „starszyny" nie boją, nie dbają o niego, same sobie rady dadzą, jak dotąd, tak i nadal bez niego żyć potrafią! Przyniesione jaja i kurczęta zabrały tak skrupulatnie, że po ich wyjściu Maksymowa nie doliczyła się jednéj drewnianéj łyżki, nowego worka i miotły.

Nieporozumienie wyklarowało się wówczas dopiéro, gdy dawniejszy „starszyna" przyjechał wybierać zaległe podatki. Wtedy to baby i wątpiący dotąd gospodarze zmiarkowali, że byli w błędzie. Maksym uśmiechał się, udawał obojętność, w duszy jednak gryzł się trochę doznanym despektem; wódki do ust nie brał, żył spokojnie, czytać i pisać umiał, w sprawach wszelkich o drogi, o mosty, o wydatkach wspólnych on zawsze najmądrzéj przemawiał, znali go już, że broniłby ich jak siebie samego, że nie mieliby od niego ani krzywdy, ani przymusu. Sto razy już może służył im jak mógł, jak umiał; przed wyborami wszyscy gardłowali za nim, zawczasu mądrym, sprawiedliwym „starszyną" nazywając; w ostatnim dniu „tamten" kilka garncy wódki postawił i huknęli za nim wszyscy jak jeden, głosowali ci nawet, co go nigdy na oczy nie widzieli!

— Ha, nie chcieli akuratnego człeka, niech teraz szelmy pokutują — powtarzał w duszy; przysiągł, że odtąd do żadnych spraw mieszać się nie będzie, zapłaci co należy i basta! Ma swoję gospodarkę, żonkę, dzieci, to i dosyć! Po co ma sobie darmo gębę studzić, innych rozumu uczyć, kiedy go potém za kwartę wódki sprzedadzą!

(D. n.) *Ostoja.*





PAŃSTWOWE KASY UBEZPIECZENIA ROBOTNIKÓW

NA WYPADEK STAROŚCI I NIEUDOLNOŚCI DO PRACY

oraz nowe projekty przymusowego w nich udziału we Francyi, Anglii i Niemczech.

(Dokończenie.)

Anglia, ta kolebka wolności politycznych, jest zarazem krainą cudów wytrwałości ludzkiéj. To, czego tam w ciągu półwiecza ostatniego dokonały stowarzyszenia robotnicze, budzić będzie zawsze podziw wszystkich ludzi oświeconych, ale nie łatwo przez inny naród osiągnięte zostanie. To téż Anglicy tak się nauczyli cenić inicyatywę osobistą, że na wszelkie mieszanie się rządu do spraw społecznych patrzą niechętnie i podejrzliwie. Pomimo to jednak i ten naród, tak wyjątkowo przezorny i przedsiębiorczy, nie zdołał dotąd na tyle uczynić zadość wszystkim potrzebom swéj ludności pracującéj, żeby owa, tak wstrętna dla tamtejszych obywateli interwencya państwa, okazała się zbyteczną. Skutkiem tego i w Anglii od czasu do czasu powstają projekty, zalecające rządowi przedsięwzięcie rozmaitych środków, mających na celu zaradzenie najważniejszym przyczynom niedoli warstw roboczych. Wszelako do niedawna jeszcze wszyscy tacy projektodawcy jak najstaranniéj unikali doradzania jakiegokolwiek przymusu. Śmiałkowie zaś, wykraczający niekiedy przeciwko téj zasadzie, zarzucani byli wyrazami oburzenia i szyderstwa. Obecnie już i to się zmieniło, już i środki przymusowe, zaczynają sobie zjednywać coraz szersze koło zwolenników, i jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że z upływem czasu wejdą w życie.

To, co dotąd Anglia uczyniła na polu państwowego ubezpieczenia inwalidów pracy i ich rodzin, jest dopiero słabym początkiem i nie wielkie wydało rezultaty. Już w r. 1833 uchwalone zostało prawo, dające możność nabywania od państwa pensyi dożywot-

niéj w kwocie 4 do 20 f. sterl. rocznie za pomocą peryodycznych wniosków do kas rządowych. Następnie w r. 1864 wystąpił Gladstone z projektem rozszerzenia i udoskonalenia téj zaczątkowéj instytucyi. Nie myślał on jeszcze o zaprowadzeniu przymusu, lecz miał nadzieję, że nizkie taryfy, rozmaite przywileje i udogodnienia, oraz pewność wypłacalności instytucyi, poręczonéj przez państwo, zdołają przyciągnąć do niéj robotników. Motywując projekt, przedstawił on w jaskrawych barwach liczne błędy i nadużycia, jakich się dopuszczały stowarzyszenia wzajemnéj pomocy. Ponieważ jednak w obrazie tym zarzuty swoje nadmiernie przesadził przez niesłuszne ich uogólnianie, przeto dał doskonałą broń w rękę swym przeciwnikom. Projekt oddany został do rozpatrzenia komisyi parlamentarnéj, która go znacznie obcięła, i dopiéro po téj amputacyi uzyskał moc prawa. Prawo to oprócz pensyi dożywotnich dozwoliło ubezpieczać i kapitały, zaprowadziło pewne ułatwienia i ulgi w opłacaniu składek, oznaczyło stopę procentu przy obliczaniu taryf na 3%, zapewniło ubezpieczonym zwrot pewnéj części opłaconych wniosków w razie, gdyby zechcieli zerwać umowę, wreszcie powierzyło załatwianie czynności ubezpieczeniowych rozsianym po całym kraju pocztowym kasom oszczędności. Komisya wszakże przedsięwzięła środki, ażeby instytucya rządowa nie przyniosła wielkiego uszczerbku ani towarzystwom prywatnym, ubezpieczającym zazwyczaj znaczniejsze kapitały, ani stowarzyszeniom wzajemnéj pomocy, których członkowie zapewniają sobie przeważnie drobne sumki na koszta pogrzebu, i w tym celu postanowiła, iż ubezpieczana w kasie państwowéj pensya dożywotnia nie może przenosić 50 f. sterl. rocznie, kapitał zaś winien się zawierać w granicach 20 do 100 f. sterl., wreszcie wiek ubezpieczonego nie może być niższy od lat 16, ani wyższy od 60-ciu. Tak wysokie *minimum* wieku klientów nowéj instytucyi musiało jéj przynieść wielką szkodę, gdyż w Anglii panuje zwyczaj ubezpieczania życia przeważnie małych dzieci. To też działalność kasy rozwijała się bardzo powoli. Do r. 1882, czyli w ciągu lat 17, zawarto w niéj zaledwie 6524 umowy ubezpieczenia na życie i 16646 na pensye dożywotnie. Za to dyskusya nad nowém prawem i ujawnienie w niéj złych stron działalności stowarzyszeń wzajemnéj pomocy pobudziły te ostatnie do przedsięwzięcia wielu reform i starań około poprawy dotychczasowych braków. To był najważniejszy rezultat dobrych chęci Gladstone'a.

W r. 1882 wyznaczył parlament komisyą do zbadania przyczyn słabego powodzenia pocztowych kas ubezpieczeniowych i wskutek przedstawień téj komisyi wprowadzone zostały pewne poprawki

do prawa z r. 1864. Najprzód obniżono minimalną granicę wieku ubezpieczających się do lat 5; zniesiono całkowicie *minimum* ubezpieczenia życiowego i postanowiono, że przy ubezpieczeniu na sumę nie przenoszącą 25 f. st., nie potrzeba przedstawiać świadectwa lekarskiego, lecz dla zapobieżenia nadużyciom oznaczono 12-miesięczny czas karencyjny. Spadkobiercy uczestników, zmarłych przed upływem roku od daty zawarcia umowy, otrzymują tylko zwrot wniesionych składek. Prócz tego uchwalono jeszcze wiele innych drobniejszych ulg i udogodnień. Wszystkie te środki jednak nie wiele wpłynęły na ożywienie działalności instytucyi rządowéj, co wreszcie łatwo można było przewidzieć. Wszyscy bowiem najporzędniejsi i najprzezorniejsi robotnicy należą do stowarzyszeń wzajemnéj pomocy, z któremi wiążą ich węzły sympatyi koleżeńskiéj i wiele bardzo realnych korzyści, których drobna oszczędność na cokolwiek niższych taryfach ubezpieczenia przeważyć nie może. Ci zaś, co od stowarzyszeń stronią, lub nie są do nich przyjmowani, nie ubezpieczą się téż dobrowolnie i w instytucyi rządowéj, która tym sposobem może jedynie liczyć na pewną część drobnych kupców i właścicieli. Nie ma tu więc innego wyjścia, jak zaprowadzenie przymusu, lub pozostawienie rzeczy ich własnemu biegowi. Powiedzieliśmy wyżéj, że opinia publiczna w Anglii zaczyna się w ostatnich czasach skłaniać ku obraniu pierwszéj z tych dwu dróg. Najgorętszym agitatorem w tym kierunku jest duchowny anglikański, William Lewery Blackley, który w r. 1878 ogłosił po raz pierwszy w miesięczniku *Nineteenth Century* projekt przymusowego ubezpieczenia robotników na wypadek choroby i starości, pod tytułem *National Insurance*, a następnie całym szeregiem innych artykułów i broszur (1) zdołał sobie pozyskać wielu zwolenników ze wszystkich warstw społeczeństwa. W celu pozyskania opinii publicznéj dla swoich planów zawiązali oni specyalne towarzystwo, noszące nazwę *National Providence League*, na którego czele stał aż do śmierci, zmarły w końcu r. z., lord Shaftesbury. Do zarządu téj ligi należy wielu członków parlamentu i innych wpływowych osobistości, jak np. Earl of Carnavon, kardynał Manning, oraz biskupi: Winchesterski, Nottinghamski i Truroski. Liga wydaje kwartalnik pod tyt. *National Providence Reporter*, urządza zebrania publiczne w celu

(1) Ważniejsze z tych prac są: *Compulsory Providence* w *Cont. Rev.* z Lipca r. 79; *The House of Lords and National Insurance* w *Ninet. Cent.* z Lipca r. 1880; *Finance of National Insurance* w kwartalniku *National Providence Reporter* z Paźdz. r. 1884. Następnie wydał Blackley dwa zbiorki swoich artykułów pod tyt. *Prevention of Pauperism*, Londyn, 1883, i *English Thrift and Independence*, Londyn, 1884.

obrad nad projektem, rozpowszechnia broszury, popularyzujące go w sposób przystępny, i wszelkimi środkami agitacyi stara się rozszerzać koło swoich członków, których liczba, według d-ra Aschrotta, wzrasta nadzwyczaj szybko. W parlamencie projekt Blackleya był kilkakrotnie podnoszony przez członków ligi, którzy w końcu doprowadzili do tego, że w r. 1885 wyznaczona została komisya do rozpatrzenia téj sprawy.

Za punkt wyjścia swojego projektu wziął Blackley krytykę angielskiego prawa o ubogich, oraz stowarzyszeń wzajemnéj pomocy. Według prawa o ubogich, każda parafia obowiązana jest za pomocą specyalnego na ten cel podatku, zapewnić najkonieczniejsze potrzeby życia tym swoim mieszkańcom, którzy z jakichkolwiek powodów nie mogą zarobić na utrzymanie. Ażeby jednak tym sposobem nie dać bodźca do szerzenia się próżniactwa, każdy człowiek zdrowy i zdolny do pracy, udający się o pomoc do parafii, musi przez cały czas korzystania z niéj pozostawać w t. zw. „domu roboczym“, w którym warunki życia tak są urządzone, iż nie mogą zachęcać do dobrowolnego, a zwłaszcza dłuższego w nim pobytu. Domy robocze wogóle budzą wstręt i pogardę u ludności robotniczéj; pomimo to wszakże zapewniona nawet w tak nieprzyjemny sposób możność uniknienia głodu i chłodu oddziaływa do pewnego stopnia paraliżująco na rozwój przezorności, mianowicie w warstwach najuboższych. Kiedy zaś przyjdzie ponosić skutki téj nieprzezorności, każdy po niewczasie gorzko żałuje swego nierozumu i byłby wdzięczny, gdyby go we właściwéj porze zmuszono do zabezpieczenia się od nędzy. Co gorsza, robotnicy pracowici, moralni i zapobiegliwi muszą opłacać podatek na utrzymanie ludzi, których niedola bierze często źródło w lekkomyślności, lenistwie lub rozpuście. Wydatek na ten cel utrudnia lepszym jednostkom zabezpieczenie swéj własnéj przyszłości. Dobrowolne stowarzyszenia wzajemnéj pomocy nie są zdolne zadośćuczynić ciążącemu na nich zadaniu. W niektórych okolicach kraju brak ich dotąd zupełnie, a zwłaszcza robotnicy wiejscy nie rzadko rzeczywiście nie mają możności brać w nich udziału. Wielu też robotników, zmuszonych często zmieniać miejsce zamieszkania, zraża do stowarzyszeń ta okoliczność, że, przy braku w nich centralizacyi, uczestnik, przenoszący się do innéj miejscowości, traci nabyte przez się prawa. Nie może też zachęcająco oddziaływać obawa znalezienia się kiedyś w czasowéj niemożności uiszczania składek. Wypadek taki może się łatwo zdarzyć każdemu robotnikowi, a tymczasem przyprawia go to również o utratę złożonych przedtém oszczędności. Obok tego wszystkiego dotąd jeszcze wiele stowarzyszeń nie wyrobiło

sobie trwałych podstaw istnienia. Wprawdzie wszystkie najstarsze i największe z pomiędzy nich nauczyły się już opierać swoje zobowiązania na ścisłém obliczeniu, ale mnóstwo młodszych gospodaruje nieopatrznie, skutkiem czego bankructwa zdarzają się wśród nich bardzo często i wywołują rozpacz, niedolę i zniechęcenie. Stowarzyszenia wzajemnéj pomocy przytém nie zajmują się prawie wcale ubezpieczeniem starości swych członków, to zaś, co w tym kierunku robią *trade-union*'y, nie może być brane pod uwagę, gdyż do związków tych ma przystęp jedynie kwiat klasy robotniczéj.

Taki stan rzeczy, zdaniem Blackleya, domaga się koniecznie interwencyi państwa. Obecne kasy rządowe dla ubezpieczenia starości nie mogą zaradzić potrzebie z dwóch powodów: najprzód, że większość robotników nie posiada na to dość wykształcenia i siły charakteru, żeby zechciała dobrowolnie ponosić ofiary w chwilach pomyślnych dla zabezpieczenia się od nędzy w przyszłości, a powtóre, że nawet najprzezorniejsi, będąc zmuszeni płacić dość wysokie składki do kasy stowarzyszenia dla zapewnienia sobie pomocy na wypadek choroby, nie mogą się już zdobyć na oddzielny wydatek celem zaopatrzenia się w środki do życia na starość, któréj zaledwie mała część ich dosięga. Na cel tak odległy i tak niepewny rzadko kto zgodzi się zrobić dobrowolnie choćby najdrobniejszy uszczerbek potrzebom chwili obecnéj, témbardziéj gdy wié, że w ostatnim razie może otrzymać pomoc z parafii, lub znaleść przytułek w domu roboczym. Dla tego uważa Blackley za rzecz konieczną połączenie ubezpieczenia na wypadek choroby z ubezpieczeniem starości, oraz narzucenie obowiązku w tym względzie wszystkim mieszkańcom kraju, gdyż nikt nie może przewidzieć, co go spotka w przyszłości. W proponowaném jednak wykonaniu téj zasady mija się autor z jéj założeniem, gdyż żąda, ażeby składki płacili wszyscy obywatele państwa, prawo zaś do pobierania zapomogi w razie choroby przyznaje tylko robotnikom najemnym.

W głównych szczegółach oryginalny projekt Blackleya przedstawia się jak następuje.

Każdy obywatel państwa, bez różnicy płci i stanu majątkowego, ma być zobowiązany do wniesienia pomiędzy 18 a 21 rokiem swego życia częściowo, lub jednorazowo 10 f. st. do kasy pocztowéj, tytułem składki do ogólnego narodowego towarzystwa ubezpieczenia. Robotnikom najemnym strącają tę sumę z zarobku odpowiedniemi ratami pracodawcy. W razie, gdyby do czasu ukończenia 21 lat życia nie uzbierało się jeszcze 10 f. st., potrącenia winny być prowadzone daléj z doliczeniem odpowiedniego procentu według tabel, sporządzonych w tym celu. Z ludności nierobotniczéj, w ra-

zie niewniesienia przed 22 rokiem życia 10 f. st., ściąga się je przymusowo w taki sam sposób, jak zaległe podatki. Kto opłacił składkę w całości, otrzymuje specyalne świadectwo, nazwane *Club-Ticket*. Każdy posiadacz takiego *Club-Ticket*'u ma prawo po dojściu do 70 roku życia do pobierania z kasy pocztowéj po 4 szylingi tygodniowo. Każdy zaś ubezpieczony, który przedstawi świadectwo lekarskie, że jest dotknięty chorobą, nie pozwalającą mu zarabiać, oraz zaświadczenie ostatniego swego pracodawcy, że był u niego zajęty w charakterze robotnika najemnego, otrzymuje przez czas choroby po 8 szyl. tygodniowo. Autor liczy na to, że nadużycia i oszukaństwa w pobieraniu tych zapomóg nie będą mogły mieć miejsca, gdyż każdy ubezpieczony będzie interesowany w ich ujawnieniu dla zabezpieczenia kasy od bankructwa. Państwo bowiem wypłacalności towarzystwa nie ma poręczać, lecz tylko oddać mu na usługi swoje urzędy pocztowe. W każdym okręgu danéj kasy pocztowéj ma się wybiérać według ogólnego prawa wyborczego specyalny zarząd miejscowy, obowiązany czuwać nad zachowaniem przepisów, dotyczących ubezpieczenia narodowego. Z zarządów lokalnych tworzy się zarząd centralny, przebywający w Londynie. Administruje on wpłaconymi kapitałami i załatwia obrachunki z głównym urzędem pocztowym.

Termin opłaty składki oznaczył Blackley na czas pomiędzy 18, a 21 rokiem życia raz dlatego, że w tym wieku ludność robotnicza najłatwiéj znajduje zajęcie i, nie mając jeszcze w większości wypadków żadnych obowiązków rodzinnych, może bez wielkiego wysiłku cząstkę swych dochodów zaoszczędzić na przyszłość, powtóre, że sumka, złożona do kasy w tak wczesnym wieku uczestnika, może dzięki składanym procentom urość dość znacznie, zanim przyjdzie z niéj czerpać, i potrzecie dlatego, żeby uczestnicy, wolni w późniejszym wieku od składek przymusowych, mogli, o ile zechcą, odkładać sobie coś na inne cele, lub na lepsze zabezpieczenie się w towarzystwach prywatnych na wypadek choroby i starości, gdyż zapomogi, zapewniane przez *National-Club*, uważa autor jedynie za niezbędne *minimum* ubezpieczenia. Niedopuszczenie ludności nierobotniczéj do korzystania z zapomóg w razie choroby usprawiedliwia Blackley tém, że inaczéj oznaczona przezeń wysokość składek nie wystarczyłaby na pokrycie wydatków, większych zaś wniosków ludność uboższa w tak krótkim czasie uiścić nie byłaby zdolna. Wreszcie autor ma nadzieję, że ludzie zamożniejsi i w starości z zapomóg towarzystwa urzędowego dobrowolnie korzystać nie zechcą; pomimo to jednak opłata składki stracona dla nich nie będzie, gdyż dzięki ubezpieczeniu narodowemu zmniejszy się znacz-

nie podatek na ubogich, który największym ciężarem spada właśnie na ludzi zamożniejszych. Co do finansowéj wartości projektu, to stara się ją Blackley udowodnić rachunkowo, biorąc za podstawę obliczeń cyfry statystyczne, zebrane przez stowarzyszenia wzajemnéj pomocy, i przyjmując za rzecz pewną, że zarządowi towarzystwa uda się oprocentować zgromadzone kapitały po 4%.

Wydelegowana przez parlament do rozpatrzenia tego projektu komisya wezwała licznych rzeczoznawców z prośbą o opinią; na poczynione zaś przez nich zarzuty Blackley dał obszerną odpowiedź. Z najostrzejszą krytyką spotkał się on ze strony przedstawicieli wielkich stowarzyszeń wzajemnéj pomocy, które oddawna już we wszystkich swoich wydawnictwach toczą z nim zaciętą wojnę. Opozycya ta wypływa głównie z obawy, że ubezpieczenie państwowe przyniosłoby wielkie straty wolnym stowarzyszeniom i mogłoby je nawet przyprowadzić do upadku, gdyż pozbawiłoby ich najcenniejszych członków, jakimi są młodzieńcy, oznaczonego przez Blackleya wieku. Gdyby bowiem byli zmuszeni wpłacić do kasy rządowéj w ciągu lat trzech 10 funt. sterl., trudno by im było uiszczać jednocześnie składki, wymagane przez stowarzyszenia. Młodzieńcy zaś tacy płacą najregularniéj, a najrzadziéj pobierają zapomogi. Co więcéj, ubezpieczenie państwowe osłabiłoby w masach uznanie potrzeby myślenia o swéj przyszłości i stowarzyszania się w tym celu. Przeważna część robotników, którzy obecnie wytwarzają milionowe zastępy stowarzyszeń, poprzestałaby zapewne na oficyalném *minimum* ubezpieczenia. Z drugiéj znów strony, w razie pobierania składek, jak tego chce autor, od ludzi z warstw zamożniejszych, którzy z zapomóg nigdyby nie korzystali, najinteligentniejsi przedstawiciele klasy roboczéj, odznaczający się wysokiém poczuciem godności własnéj, patrzyliby na zapomogi z kasy rządowéj z taką samą niechęcią i pogardą, jak na wsparcia z parafii, i uważaliby przymusowe uczestnictwo w proponowanéj kasie państwowéj, według słów jednego z biegłych w komisyi, „za pewien rodzaj narzuconego im pauperyzmu.“ Tym sposobem urzeczywistnienie projektu Blackleya mogłoby z wielu względów zaszkodzić dalszemu rozwojowi, a nawet istnieniu stowarzyszeń wzajemnéj pomocy. Wszyscy zaś rzeczoznawcy zgadzali się na to, że byłaby to dla społeczeństwa angielskiego strata, niczém nie dająca się powetować. Instytucya rządowa nie mogłaby nigdy przynieść warstwom robotniczym tych korzyści moralnych, jakie im zapewnia uczestnictwo w wolnych stowarzyszeniach, gdyż brakłoby jéj zawsze tego znaczenia wychowawczego, oraz tego ducha braterstwa, który powszechnie panuje w Anglii wśród stowarzyszonych dobrowolnie.

Jak wysoko cenią te korzyści sami robotnicy, dowodzi najlepiéj odpowiedź jednego z członków zarządu stowarzyszenia *Manchester Unity of Oddfellows* na zadane mu pytanie, czy oponowałby przeciwko projektowi instytucyi, którąby dobru wszystkich klas społeczeństwa oddała prawdziwe usługi, lecz stowarzyszeniom wzajemnéj pomocy mogłaby przynieść pewne szkody?— „Bezwątpienia, odrzekł Reuben Watson, musiałbym oponować, gdyż stowarzyszenia wzajemnéj pomocy przyniosły tyle pożytku temu krajowi, że nie powinnyby być hamowane w swym rozwoju przez zaprowadzenie jakiejkolwiek instytucyi, któraby im mogła być szkodliwa.“ Z równie wielkiém uznaniem wyrażał się w komisyi o społecznéj doniosłości stowarzyszeń obecny ich inspektor naczelny, Ludlow. Zdaniem jego, wyrobienie się téj trzeźwości i rozsądku wśród robotników angielskich, dzięki którym to przymiotom stale trzymają się oni, z bardzo nielicznymi wyjątkami, zdaleka od wszelkich utopii komunizmu i anarchii, należy całkowicie przypisać temu, iż mają oni możność i zwyczaj w swoich związkach zawodowych i stowarzyszeniach wzajemnéj pomocy sami załatwiać wszelkie sprawy, które ich najbliżéj dotyczą. Gdyby im więc to pole działalności odebrano, wtedy najruchliwsi z pomiędzy nich rzuciliby się do polityki. Jeżeliby zaś ci, co się w dzisiejszych związkach wykształcili, wnieśli i do politycznéj działalności cały ten zdrowy zmysł rozsądku, którego obecnie wszędzie dowodzą, to następne pokolenie, wychowane pod wpływem systemu ubezpieczenia państwowego, stałoby się z pewnością, zdaniem Ludlowa, równie marzycielskiém i szkodliwém w swém postępowaniu, jak robotnicy na kontynencie.

Uwagom powyższym niepodobna odmówić słuszności pod wieloma względami, lecz nie wynika jeszcze z tego, żeby wyrażone w nich wymagania nie dały się pogodzić z przymusowém ubezpieczeniem tych robotników, którzy do stowarzyszeń nie należą. Możnaby to osiągnąć dwoma drogami: albo przez uwolnienie od uczestnictwa w instytucyi rządowéj członków tych stowarzyszeń prywatnych, któreby czyniły zadość odpowiednim przepisom prawa, mającym na celu usunięcie ich dzisiejszych wad i braków, albo téż przez ustanowienie dla wszystkich robotników przymusu należenia do takich kas prywatnych. Pierwszéj z tych myśli przedstawiciele wielkich stowarzyszeń wcale nawet rozbierać nie chieli, uważając ubezpieczenie rządowe za nieziszczalną utopią; co do drugiéj zaś oświadczyli, iż nie mogą o niéj wydać stanowczego zdania. Obowiązek udziału w kasach wzajemnéj pomocy zapobiegłby nędzy milionów tych jednostek, które nie mają dość przezorności na to, żeby się ubezpieczać dobrowolnie. Z drugiéj strony jednakże przy-

mus taki zmieniłby z gruntu charakter dzisiejszych stowarzyszeń i wprowadził do nich wiele osobistości wcale niepożądanych. Panujące obecnie w tych związkach, poczucie braterstwa musiałoby skutkiem tego osłabnąć, lub mogłoby nawet zaniknąć. Podobnież i pod względem finansowym obowiązkowe uczestnictwo miałoby dla kas dobre i złe strony: większą liczebność członków, ale zarazem i napływ jednostek słabych i chorowitych, które dziś nie są przyjmowane. Wszystkie te względy powstrzymały najpoważniejszych rzeczoznawców od wyrażenia swéj opinii o téj kwestyi. Natomiast przedstawiciele małych, a zwłaszcza wiejskich stowarzyszeń okazali się wogóle przychylnymi dla idei przymusu. Dowód to najlepszy, iż musi się w nich dziać nie dobrze. A cóż dopiero mówić o tych bezradnych masach, które zdala od wszelkich kas pomocy stoją? Dla nich to właśnie żąda Blackley interwencyi państwa. Chodzi tylko o to, jaką jéj nadać formę?

Projekt Blackley'a pod względem finansowym krytyki nie wytrzymuje. Obliczenia swoje oparł on na doświadczeniu stowarzyszeń dobrowolnych, tymczasem w kasach przymusowych panowałyby stosunki zupełnie inne. Nie mówiąc już o tém, że brałoby w nich udział mnóstwo ludzi chorowitych, co gorsza—niepodobnaby się było w nich ustrzedz od najrozmaitszych oszustw i symulacyi. Utrzymywanie w tym celu licznéj rzeszy urzędników kosztowałoby drogo, Blackley zaś wydatki administracyjne oblicza bardzo skromnie. Co się tyczy jego mniemania, że każdy z ubezpieczonych będzie miał interes w ujawnieniu nadużyć, to słusznie odpowiedział na nie w komisyi jeden z robotników, że „interes każdego, nie jest interesem niczyim". O to, na czém ma ucierpieć dopiero przyszłe pokolenie, w obecném zazwyczaj nie dba nikt. Więcéj niż wątpliwą również jest rzeczą, czyby kapitały kasy można było w Anglii, przy zachowaniu względów bezpièczeństwa, oprocentować po 4%. Nie można się też zgodzić na ten punkt projektu, który stanowi, iż do korzystania z zapomóg w razie choroby mają prawo tylko robotnicy. Takie skazanie na nędzę wszystkich tych drobnych kupców i rzemieślników, którzy, w czasie niemożności osobistego zajmowania się swém przedsiębiorstwem, nie są zdolni obejść się bez wsparcia, lub w razie długotrwałéj choroby tracą całe mienie, nie da się niczém usprawiedliwić. Co do możności opłacenia 10 funtowéj składki w ciągu 3 lat przez ludność męzką nie podnoszono w komisyi poważnych wątpliwości, lecz uznano, że wielu kobiétom przychodziłoby to z wielkim ciężarem. Trudnoby téż było obmyśléć odpowiedni sposób poboru téj składki od wyrobników dziennych, nie mających stałego zajęcia. Wreszcie, do tych wszystkich zarzutów trze

ba jeszcze dodać to, że zarówno 8 szylingów tygodniowo chorym, jak 4 starcom nie mogłoby wystarczyć, oraz że 70 lat wieku, jako data początku pobierania renty starczéj, jest stanowczo terminem za późnym. Blackley wprawdzie odpowiada na te uwagi, że kto będzie sobie chciał zapewnić byt lepszy, ten może się ubezpieczyć dodatkowo w stowarzyszeniach prywatnych, lecz w takim razie na co wprowadzać przymus dla środka połowicznego? Robotnicy, opłacający składkę pod przymusem, narzuconym im w imię dobra ich przyszłości, sarkaliby niewątpliwie i, zdaniem mojem, bardzo słusznie, gdyby im zapomogi towarzystwa miały przedłużać tylko konanie z głodu. Godzę się téż w zupełności z temi zapatrywaniami, które się dały słyszéć w komisyi, że *takie ubezpieczenie przymusowe* byłoby właściwie tylko przerzuceniem części podatku na ubogich z bark ludzi zamożniejszych na samych, pobierających wsparcia, nędzarzy.

W uznaniu powyższych zarzutów komisya parlamentarna postanowiła, iż projekt Blackleya w obecnéj swojéj formie nie może być zalecony do wykonania. Co do saméj jednak zasady ubezpieczenia przymusowego, zdania delegowanych były podzielone. Kilku z nich żądało, ażeby ją bezwarunkowo potępić, lecz większość, z prezydującym Sir Herbertem Maxwellem na czele, nie zgodziła się na to. Uchwalono więc ostatecznie, że obowiązkowe ubezpieczenie *na wypadek choroby* nie może być wprowadzone ze względu na szkody, jakieby spowodowało wolnym stowarzyszeniom wzajemnéj pomocy, które niém się głównie zajmują. Interwencya państwa powinna się tutaj ograniczyć do takich środków prawnych, któreby usunęły wady i braki dzisiejszych stowarzyszeń. W tym celu nadewszystko zaleca komisya wzmocnienie kontroli rządowéj nad temi kasami, rozszerzenie władzy naczelnego inspektora, wypracowanie obowiązującéj dla wszystkich kas tabeli taryf ubezpieczenia, zwiększenie odpowiedzialności zarządów kasowych przez oznaczenie specyalnych kar za wykroczenia itp. Dla dokładnego obmyślenia tych reform winien parlament wysadzić bezzwłocznie osobną komisyą. Nadto zalecono, w celu poparcia rozwoju idei oszczędności i samodzielnéj dbałości jednostek o swą przyszłość, wprowadzić naukę gospodarstwa narodowego w przystępnym wykładzie jéj najważniejszych zasad już do szkół elementarnych. Co do *przymusowego ubezpieczenia starości*, to oświadczyła komisya, że przeciwko téj części projektu Blackleya nie wiele możnaby przytoczyć uzasadnionych zarzutów. Na tém polu zrobiły wolne stowarzyszenia zaledwie słaby początek, i dlatego niema potrzeby się obawiać, ażeby zaprowadzenie powszechnego

ubezpieczenia obowiązkowego w tym kierunku wyrządziło jakikolwiek uszczerbek istniejącym instytucyom prywatnym. Obecnie jednakże nie chce jeszcze komisya występować z podobnym projektem, oczekując dalszego rozwoju opinii publicznéj w téj sprawie, tymczasem zaś zaleca tylko zarządzenie obowiązkowego ubezpieczenia starości dla wszystkich urzędników państwowych, co łatwo dałoby się uskutecznić za pomocą potrącania odpowiednich składek przy wypłacie pensyi. Nadto powinien rząd postarać się o możliwie jak najszersze spopularyzowanie w masach wiadomości o obecnéj instytucyi ubezpieczenia państwowego i zachęcenie ludności do udziału w niéj przez zniesienie wszelkich, istniejących jeszcze w tym względzie, ograniczeń prawnych. W końcu wyraziła komisya życzenie, ażeby rząd zwracał baczną uwagę na rozwój ubezpieczenia przymusowego w Niemczech i przeprowadzał od czasu do czasu specyalne badania nad jego powodzeniem w praktyce, oraz wpływem na tamtejszych robotników. Jak widzimy z tego, przezorni Anglicy, uznawszy teoretycznie dobre strony idei przymusowego ubezpieczenia ludności roboczéj, nie chcą się kwapić zbytecznie z wprowadzeniem jéj w życie, zanim doświadczalnie wypróbowana nie zostanie. W każdym razie jednak już to samo, że prawodawcy kraju, będącego ojczyzną najznakomitszych obrońców zasady *laissez faire*, *laissez aller*, zastanawiają się poważnie nad pożytkiem i możnością urzeczywistnienia idei bezpośredniéj działalności rządu w sprawach społecznych, a nawet robią pierwsze kroki w tym kierunku, jest wielkim tryumfem t. zw. socyalizmu państwowego.

Winniśmy tu dodać, iż będąca w mowie, komisya angielska uznawała projekt Blackley'a za lepszy od przyjętego w Niemczech systemu ubezpieczenia pod tym względem, że chce on rozciągnąć przymus na wszystkie warstwy ludności i pobierać obowiązkowe składki w ciągu pewnego tylko określonego czasu w młodym wieku. Przymus zastosowany jedynie do warstw robotniczych, jak to ma miejsce w Niemczech, mógłby być uważany, zdaniem Anglików, za poniżający i stać się nienawistnym. Ograniczenie zaś poboru składek obowiązkowych do kilku lat młodzieńczego wieku pozostawi ludziom możność swobodnego rozporządzania swemi oszczędnościami w ciągu pozostałego życia. O ile pierwszy z tych poglądów mógł wyrość tylko na gruncie angielskim i tam jedynie może być prawdziwym, o tyle drugi jest, według nas, niewątpliwie słuszny, jeżeli zgodzimy się na to, iż składki na swe ubezpieczenie mogą i powinni w stosunkach dzisiejszych opłacać sami robotnicy. Rozbiorem téj kwestyi jednak zajmiemy się dopiero przy ocenie projektu niemieckiego.

Ogłoszony w końcu roku zeszłego projekt ks. Bismarka do prawa o ubezpieczeniu robotników na wypadek starości i nieudolności do pracy oparty jest na następujących zasadach. Przymusowi ubezpieczenia podlegać mają wszystkie osoby, pracujące w charakterze robotników, pomocników, czeladników, uczniów, lub służących, nadto wszyscy oficyaliści, subiekci, oraz uczniowie handlowi, nie wyłączając aptekarskich, o ile przeciętny ich zarobek nie przenosi 2000 marek rocznie, wreszcie wszystkie osoby, należące do osad okrętowych marynarki handlowéj. Postanowieniem rady związkowéj mogą być również podciągnięci pod obowiązek ubezpieczenia nawet niezależni zawodowcy, oddający się przemysłowi domowemu. Wolni są zaś od przymusu należenia do instytucyi ubezpieczeniowéj urzędnicy rzeszy i państw związkowych, oraz ci funkcyonaryusze związków gminnych, którym przysługuje prawo do pensyi emerytalnéj. Uwalniają się także od tego obowiązku osoby zajęte w przedsiębiorstwach państwowych i gminnych, o ile przedsiębiorstwa te zapewniają im na wypadek starości i nieudolności do pracy środki istnienia, nie gorsze od projektowanéj instytucyi i na warunkach co najmniéj równie dogodnych.

Projektowana instytucya ma zapewniać wszystkim ubezpieczonym pensye dożywotnie określonéj wysokości. Prawo do pensyi z tytułu starości pozyskują ubezpieczeni bez względu na zdolność do pracy po przeżyciu 70 lat wieku i wnoszeniu składek co najmniéj przez lat 30. Pensyą inwalidzką bez względu na wiek i czas opłacania składek otrzymują ci, co stali się zupełnie niezdolnymi do pracy wskutek choroby, nabytéj przy zajęciu zarobkowém, lub z powodu tego zajęcia, dopiero zaś po latach pięciu opłaty składek—ci, których niezdolność do pracy nastąpiła z innych powodów, lecz nie z własnéj ich winy i nie z rozpusty. Za rok składkowy uważa się 300 dni roboczych. Składki, wniesione w ciągu roku kalendarzowego za większą liczbę dni, zaliczają się na rachunek roku następnego. Czas, stwierdzonéj odpowiedniém świadectwem, choroby, jako téż czas, spędzony w służbie wojskowéj ma się liczyć ubezpieczonym tak, jakby go przebyli w zajęciu zarobkowém, przyczém deficyt składek za okres służby wojskowéj ma być pokrywany przez skarb państwa. Środki dla zapewnienia wypłaty pensyi dożywotnich tworzyć się mają z wniosków, płaconych w równych częściach: 1° przez samych ubezpieczonych, 2° przez ich pracodawców i 3° przez państwo. Składki, należne od osób, podlegających przymusowi ubezpieczenia, obowiązani są strącać z ich zarobków pracodawcy i, podwoiwszy je ze swoich środków, zakupywać za osiągniętą stąd sumę specyalnie ku temu celowi wypuszczane marki, które wklejać się

będą do odpowiedniéj książeczki kwitowéj ubezpieczonego, z oznaczeniem czasu i miejsca zajęcia, oraz nazwiska pracodawcy. Należność, przypadająca od państwa do kasy ubezpieczenia, uiszczać się ma w ten sposób, iż trzecią część sumy wypłacanéj każdorocznie osobom, pobierającym pensye dożywotnie, pokrywać będzie skarb.

Pensya inwalidzka wynosić ma dla mężczyzn, w razie zajścia nieudolności do pracy w ciągu pierwszych 15 lat składkowych, 120 marek rocznie; za każdy zaś rok następny uczestnictwa wzrasta o 4 marki, lecz nie może w żadnym razie przenieść 250 marek rocznie. Tym sposobem to *maximum* pensyi dożywotniéj będą mogli nabyć inwalidzi, którzy opłacali składki co najmniéj przez lat 48. Starcy 70-cioletni do czasu zupełnéj utraty zdolności do pracy pobierać mają tylko 120 marek rocznie. Do całkowitéj pensyi, oznaczonych tu rozmiarów, będą mieli prawo ci jedynie ubezpieczeni, którzy w każdym roku kalendarzowym przez czas uczestnictwa wnieśli składki, wymaganéj wysokości, za 300 dni roboczych. Jeżeli więc ktoś, ciesząc się zdrowiem, nie miał w ciągu roku zajęcia zarobkowego przez 300 dni, to za czas, brakujący do tej cyfry i nie dopełniony nadwyżką z lat poprzednich, obowiązany jest wnieść późniéj składki, przypadające na niego i na pracodawcę, wraz z procentem składanym za okres opóźnienia. Kto w ten sposób składek nie uzupełni, otrzyma, stawszy się niezdolnym do pracy, taką tylko pensyą, jaka mu wypadnie z obliczenia na podstawie odpowiednich taryf w stosunku do uiszczonych przez niego wniosków. Pensye i składki ubezpieczonych kobiet wynosić mają $^2/_3$ skali, określonéj dla mężczyzn.

Prawo ubezpieczonego do pensyi dożywotniéj upada w razie i na czas jego pobytu po za granicami państwa niemieckiego. Cudzoziemcy obowiązani są na równi z krajowcami do płacenia składek, lecz zamiast emerytury otrzymywać mają tylko jednorazowo sumę, równającą się trzy razy wziętéj pensyi rocznéj, do jakiéj mieliby prawo, gdyby byli poddanymi niemieckimi. W postanowieniu tém czuć swąd pruskiego szowinizmu.

Szczegółów organizacyi projektowanej instytucyi opisywać nie będziemy. Nadmienimy tylko, iż ma ona być urządzona zupełnie podobnie, jak istniejące już obowiązkowe kasy ubezpieczenia od nieszczęśliwych wypadków. Ubezpieczeniem starości i nieudolności do pracy będą się tak samo zajmować t. zw. „stowarzyszenia zawodowe“, oraz tam, gdzie tych stowarzyszeń nie ma, odpowiednie instytucye państwowe. Centralny zarząd wszystkich kas wykonywać będzie specyalne biuro (*Reichsversicherungsamt*). Mają-

tek, dochody i wydatki każdéj z takich pojedynczych instytucyi będą administrowane oddzielnie. W ciągu dziesięciu lat po wejściu prawa o ubezpieczeniu w życie ma *Reichsversicherungsamt* oznaczyć dla każdéj kasy oddzielnie wysokość składek obowiązujących osoby w niéj ubezpieczone. Tymczasem zaś wszystkie kasy pobierać będą po 2 fenigi za dzień roboczy od ubezpieczonego mężczyzny i 2 fen. od jego pracodawcy. Kobiety płacić mają 1 $\frac{1}{3}$ feniga za dzień roboczy.

Takie są główne zasady i postanowienia projektu ks. Bismarka. Wspomnieć tu tylko jeszcze warto o karach, jakie projekt na wykraczających przeciw prawu o ubezpieczeniu nałożyć proponuje. Wszystkie te kary stosują się wyłącznie do pracodawców, którzy, jak wiemy, obowiązani są strącać oznaczone składki przy wypłacie zarobków swym robotnikom. Z tego téż powodu oni tylko, jako wykonawcy prawa, są odpowiedzialni za przewinienia przeciwko niemu. Kary proponowane bardzo są wysokie. Tak np. za danie niezgodnych z prawdą wskazówek co do swych robotników kasie ubezpieczenia może zarząd téj kasy nałożyć na pracodawcę karę do wysokości 500 marek, i to nawet w takim razie, kiedy błąd spowodowany został przez niedołożenie „należytéj uwagi". Za nieopłacenie składki we właściwym czasie grozi pracodawcy kara do 300 marek, za zawarcie z robotnikiem umowy, mającéj na celu obejście postanowień prawa, oraz za strącanie z płacy na składkę kwoty wyższéj, niż ta, jaką według ustawy sam robotnik płacić powinien, podlega pracodawca karze pieniężnéj do 300 marek, lub aresztowi do 6 tygodni; za fałszowanie marek ubezpieczeniowych, lub świadome użycie marek fałszowanych stanowi się kara więzienia niemniéj jak 3 miesiące.

Rozpatrując projekt ten ze stanowiska istniejących potrzeb społecznych, zgodzić się musimy ze zdaniem prof. Brentana i Plattera, że stanowi on właściwie tylko reformę obowiązującéj obecnie w Niemczech opieki publicznéj nad ubogimi. Według przepisów téj opieki każdy nędzarz niezdolny do pracy, o ile jest poddanym niemieckim, ma prawo do wsparcia, zapewniającego mu istnienie, od instytucyi dobroczynności publicznéj téj miejscowości, w któréj się urodził, ożenił lub przebył co najmniéj dwa lata bez żadnéj przerwy po ukończeniu dwudziestu czterech lat życia. Cudzoziemcy otrzymują tylko czasowe wsparcie, poczém wyrugowani zostają po za granice państwa. Podobnież postępować ma z nimi przyszła instytucya ubezpieczenia inwalidów. Wyznaczając ubezpieczonym krajowcom, bez różnicy ich poprzedniego stanowiska, 120 do 250 marek, pensyi rocznéj, projektowane prawo chce tylko zapewnić

im najniezbędniejsze jedynie środki do życia i to w tak skąpéj porcyi, iż można powiedzieć, że chodzi tu tylko o zachowanie pozorów przyzwoitości społecznéj względem umierających z głodu nędzarzy, a nie o rzeczywiste uchronienie ich od śmierci głodowéj. Kobiety, których wyżywienie kosztuje mniéj, mają téż pozyskiwać środki jeszcze szczuplejsze od mężczyzn.

Nowe prawo więc, pomimo szumnych haseł, w treści swéj ma jedynie na celu przeprowadzenie reformy w dotychczasowym rozkładzie podatku na ubogich. Obecnie cały prawie jego ciężar spada głównie na ludzi zamożniejszych, w przyszłości zaś znaczną jego część ponosić będą musieli sami wspierani. Prof. Brentano uważa tę reformę za dobrą z tego względu, że dzisiejsze wsparcia mają poniżający charakter jałmużny. Ja jednakże chętniéj zgodziłbym się ze zdaniem prof. Plattera, który téj stronie sprawy tak wielkiego znaczenia nie przypisuje, lecz widzi tu raczéj chęć zamydlenia oczu niezadowolonym ze stosunków obecnych robotnikom i przeprowadzenia pod pokrywką wielkich i szlachetnych celów bardzo mizernego interesu państwowego. Natomiast nie uznaję za słuszne tego bezwarunkowego potępienia, jakie zurychski uczony rzuca na projektowaną instytucyą. Jestem bowiem przekonany, że, wbrew życzeniom swych twórców, nie pozostanie ona na zawsze tém, czémby ją ci jéj ojcowie mieć chcieli, lecz odegra tylko rolę zawiązku, z którego po pewnym, prawdopodobnie dość długim, czasie rozwinie się może piękny owoc doniosłéj reformy społecznéj. Rzecz to pewna, iż robotnicy nie pozwolą się tak łatwo wyprowadzić w pole, jak się to ks. Bismarkowi wydaje. Inteligentniejsi zwłaszcza przedstawiciele ich klasy nie będą mogli czuć się zadowolonymi z tak małéj pensyjki, jaką im projekt wyznacza. Kiedy zaś raz na drodze prawnéj uznana zostanie zasada, iż państwo i pracodawcy obowiązani są do współudziału w zabezpieczeniu ich bytu na wypadek nieszczęść losowych, nie omieszkają oni powoływać się na nią, stawiając coraz wyższe żądania w miarę, jak dzięki doskonaleniu się swéj organizacyi stronnictwo robotnicze z postępem czasu zyskiwać będzie coraz większą przewagę w ciele prawodawczém. Dziś już nie rzadko spotykamy się z faktem, iż ekonomiści, zajmujący wysokie urzędowe stanowiska w hierarchii społecznéj, jak np. prof. A. Wagner i b. minister Schaeffle powołują się na pewne ograniczenia prawne własności prywatnéj, wprowadzone do kodeksu cywilnego w imię dobra ogółu, dla obrony o wiele daléj sięgających reform socyalnych, a poglądy ich znajdują często poklask w najwyższych sferach rządowych. Tak samo z pewnością stanie się z prawem, inicyowanem przez ks. Bismarka. Widzieliśmy, iż prawodawcy

francuscy odrzucili stanowczo projekt przymusowéj dopłaty ze strony przedsiębiorców na rzecz zabezpieczenia starości ich robotników, twierdząc, iż nie mają oni bynajmniéj większych w tym względzie obowiązków, niż wszyscy inni obywatele. Znaczyło to innemi słowy, że pracodawca, wypłacając umówiony zarobek robotnikowi, reguluje całkowicie swój dług względem niego, i że robotnik do niczego już więcéj po za tym zarobkiem nie ma prawa. W myśl tego poglądu uważano téż tam pomoc ze strony pracodawców w zabezpieczeniu przyszłości ich robotników jedynie za uczynek chrześciański, za obowiązek moralny, „religijny", jak się ktoś wyraził, który wypełniać nakazuje każdemu sumienie, ale do którego państwo zmuszać nikogo nie może. Wprowadzając ten przymus, projekt księcia Bismarka tém samém z innéj zupełnie wychodzi zasady. Dopłatę ze strony państwa można wytłómaczyć bardzo naturalnie pobudkami filantropijnemi, oraz względami na bezpieczeństwo obywateli, gdyż nędzarz, zagrożony śmiercią głodową, nie ma nic do stracenia i łatwo może się posunąć do zbrodni, dla utrzymania się przy życiu. Państwo czerpie swe fundusze z ogólnych źródeł podatkowych, na których wytworzenie składają się wszyscy w miarę możności dla celów wspólnego dobra. Inaczéj zupełnie rzecz się ma z dopłatą specyalną ze strony pracodawców. Prosta logika dyktuje, iż prawo, zmuszając ich do szczególnéj pomocy w zabezpieczeniu bytu robotników, uznaje ich szczególny obowiązek w tym względzie i stwierdza fakt, że obowiązku tego na ogół dobrowolnie oni nie wypełniają. W parlamencie francuskim mówiono o tém głośno i, nie chcąc rozpowszechniać tak niebezpiecznego „mniemania", dopłatę ze strony pracodawców odrzucono. Jeżeli więc parlament niemiecki tę dopłatę uchwali, to uzna tém samém, że pracodawcy w stosunkach dzisiejszych nie wynagradzają dostatecznie swych robotników, i że stosunki te nie czynią zadość wymaganiom sprawiedliwości społecznéj.

Jeżeli zgodzimy się na zasadę, przyjętą przez większość ekonomistów nowszéj szkoły, iż płaca robocza powinna być tak wysoka, ażeby mogła wystarczyć robotnikowi nietylko na zapewnienie bytu, odpowiadającego wymaganiom jego sfery, lecz zarazem na opłatę premii ubezpieczenia go na wypadek chwilowego braku zajęcia, oraz nieudolności do pracy, i uznamy fakt, iż wynagrodzenie rzeczywiście pobierane przez robotników skutkiem wyzyskiwania przewagi kapitału nad pracą najczęściéj nie odpowiada téj potrzebie, to w logicznym wyniku téj sprzeczności będziemy musieli dojść do wniosku, że prawodawca może i powinien starać się o jéj usunięcie przez zastosowanie przymusu względem strony sil-

niejszéj na korzyść słabszéj. Wychodząc z tego punktu widzenia, nietylko już dopłatę ze strony pracodawców, ale nawet włożenie na ich barki całkowitego ciężaru ubezpieczenia robotników uważalibyśmy za zupełnie usprawiedliwione. Ten ostatni sposób załatwienia kwestyi byłby może nawet najstosowniejszy z tego względu, że pracodawcy są zawsze panami położenia, tym więc pracownikom, których wynagradzają dostatecznie, mogliby łatwo płace odpowiednio zmniejszyć. Z drugiéj zaś znowu strony robotnicy płatni zbyt nędznie, aby byli w możności pokrycia kosztów ubezpieczenia z własnych środków, prędzéj niewątpliwie zdołaliby oprzéć się zredukowaniu zarobków, aniżeli wyjednać sobie ich podniesienie w razie, gdyby koszt ubezpieczenia włożony został przez prawo na nich samych. Z tego powodu żądaną w projekcie ks. Bismarka przymusową dopłatę pracodawców uważamy za krok prawodawczy nie pozbawiony znaczenia i zasługujący na zupełne uznanie ze strony przyjaciół klasy robotniczéj.

Niektórzy pisarze wprawdzie twierdzą, że wszelkie przymusowe opłaty, nakładane na przedsiębiorców, chybiają celu, ponieważ wetują je oni sobie przez podniesienie ceny wyrobów i zwalają je tym sposobem na konsumentów. Zdanie to jednakże nie wydaje nam się słusznén. Cena towarów zależy, jak wiadomo, od stosunku popytu do podaży. Opłata więc składki na ubezpieczenie robotników mogłaby pozwolić na podniesienie ceny wyrobów o tyle tylko, o ile oddziałałaby na zmianę zaznaczonego wyżéj stosunku. Miałoby to zaś miejsce tylko w tych wypadkach, w których zysk z przedsiębiorstwa byłby tak mały, iż przy opłacaniu wzmiankowanych składek nie przedstawiałoby ono dostatecznego interesu dla przedsiębiorców, lecz w takich wyjątkowych na ogół razach podniesienie ceny wyrobów byłoby zupełnie usprawiedliwione, jako odpowiadające rzeczywistéj potrzebie społecznéj. Po za tymi wypadkami ceny nie mogłyby uledz, przy innych warunkach równych, żadnéj zmianie. Jeżeli zaś tak jest rzeczywiście, to jedyny zarzut, jaki możnaby zrobić zastosowaniu przymusu ubezpieczenia robotników do pracodawców, upada.

Projektowana przez księcia Bismarka dopłata skarbowa, która właśnie ma zjednać państwu wdzięczność robotników, jest, zdaniem naszém, w rzeczy saméj prawdziwą klęską przyszłéj ustawy. Mniejsza już o to, że znaczną część owéj dopłaty będą musieli pokryć sami robotnicy w formie uiszczanych przez siebie podatków, ale co ważniejsza, to, że właśnie ta pseudodobroczynna dopłata była główną przyczyną, tak niewystarczająco niskiego unormowania pensyi dożywotnich. Ażeby nie obarczyć nadmiernemi zobowiąza-

niami skarbu, który ma ponosić ⅓ część kosztu ubezpieczenia, z konieczności zmuszeni byli twórcy projektu sprowadzić to ubezpieczenie do możliwie najskromniejszéj skali. Dlatego téż zapewne nie oznaczyli wysokości składek procentowo, w stosunku do pobieranéj płacy, jakby to nakazywało uczynić dobro ubezpieczonych, lecz ustanowili dla wszystkich składki i pensye jednakowe, możliwie, albo raczéj — n i e m o ż l i w i e niskie. Tym sposobem mniemane dobrodziejstwo stało się największą wadą projektu i rzuciło na jego twórców cień podejrzenia o zamaskowaną jedynie chęć przerzucenia części kosztu utrzymania nędzarzy krajowych na klasę robotniczą. Gdyby przynajmniéj za to byt tych nędzarzy prawdziwie polepszony został, możnaby chociaż w tém widzieć dla nich pociechę, ale, niestety, proponowane pensye dożywotnie nie przewyższają wcale zwykłych wsparć, udzielanych ubogim. Najwyższa pensya, jak wiemy, wynosi 250 marek, które wprawdzie mogłyby wystarczyć na bardzo skromne utrzymanie prostemu robotnikowi, ale dla ludzi nawykłych do cokolwiek wyższéj skali życia okazać się już muszą niedostatecznemi, a cóż dopiéro mówić o zaspokojeniu wszystkich potrzeb 120 markami na rok! T r z y d z i e ś c i t r z y f e n i g i, czyli mniéj, niż 1 złp. dziennie na utrzymanie dojrzałego mężczyzny, a 22 fenigi dla kobiéty — to chyba kwota zbyt mała! Jak nią opłacić mieszkanie, ubranie, życie, choćby najnędzniejsze?! Wyżywienie porządnego psa nawet więcéj przecież kosztuje. A jednakże i téj, tak niedostatecznéj, pensyi większość robotników dziennych nie zdoła sobie prawdopodobnie zapewnić wobec tego, że dla pozyskania jéj trzeba stale w każdym roku kalendarzowym opłacać składkę za dni 300, tymczasem w latach stagnacyi mała zaledwie część ogółu najemników cieszy się tak stałém zajęciem. Niewniesienie zaś składek bodaj za kilka dni w roku zmniejszyć może w wielu wypadkach i tak już mikroskopijną pensyjkę prawie do zera. Jeżeli więc pomimo to książe Bismark spodziewa się tą rzekomą „reformą społeczną“ pobić agitatorów socyalistycznych, to jest wielkim optymistą w poglądach na skromność wymagań klasy robotniczéj.

Po za wykazanemi tu przez nas wadami, zawiera projekt kanclerza niemieckiego jedno jeszcze bardzo niesympatyczne dla robotników postanowienie, na które szczególny nacisk kładzie prof. Platter. Mówimy o owych książeczkach kwitowych, do których mają być wklejane marki, stwierdzające opłatę składek. Na każdéj takiéj marce obowiązany jest pracodawca wypisać swoje nazwisko i datę wklejenia, oraz zaznaczyć czas, za jaki opłata uskuteczniona została. Otóż zachodzi obawa, iż skutkiem tych przepi-

sów kwitaryusze owe staną się tém, czém były dawniéj „książeczki robotnicze“, gdyż jakkolwiek projektowane prawo zabrania pod surową karą wyrażania w kwitaryuszu wszelkich opinii o sprawowaniu ubezpieczonego, to jednakże dość byłoby pracodawcom umówić się o jakiś tajemny sposób zaznaczania niepożądanych dla nich właściwości, lub postępków robotnika, ażeby mu utrudnić znalezienie sobie zajęcia. Z tego powodu rzecznicy interesów klasy robotniczéj domagają się koniecznie ustanowienia takiéj formy kasowania marek, ażeby z kwitaryusza nie można było dojść, u kogo i jak długo jego posiadacz pracował. Projektodawcy jednakże zgodzić się na to żądanie nie chcieli ze względu na utrudnienie w ten sposób kontroli nad regularną opłatą składek przez pracodawców.

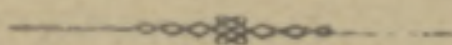
Zastanawiając się teraz ogólnie nad przedstawionemi usiłowaniami rządów trzech najwyżéj oświeconych państw zachodnio-europejskich, zmierzającemi do zabezpieczenia robotników na wypadek starości i nieudolności do pracy, dochodzimy do wniosku, iż żadna z tych, tak istniejących, jak projektowanych instytucyi nie odpowiada najskromniejszym nawet wymaganiom klasy robotniczéj. Przedewszystkiém bowiem żadna z nich nie może zapewnić dostatecznego utrzymania inwalidom pracy, a następnie wszystkie rzucają na pastwę nędzy nieletnie sieroty po robotnikach. Jest to fakt nie potrzebujący dowodzenia, że przeważna większość robotników przy dzisiejszéj normie wynagrodzenia nie jest w możności zabezpieczyć się własnemi siłami na wypadek nieudolności do pracy, a niemożność ta bierze głównie źródło w wyzysku pracy przez kapitał. Koszta więc ubezpieczenia powinny koniecznie, zdaniem naszém, być włożone jeżeli nie całkowicie, to przynajmniéj p r z e w a ż n i e na pracodawców. Pieniężna pomoc ze strony państwa jest tu również niezbędna, ale nie w téj formie, w jakiéj ją ofiarowuje kanclerz niemiecki, albo raczéj w jednéj tylko z tych form— rozszerzonéj. Ponoszenie jakiéjś oznaczonéj części kosztu ubezpieczenia przez skarb nie ma żadnéj racyi bytu wobec tego, że państwo wszystko to, co swym obywatelom daje w postaci jakichkolwiek pomocy pieniężnych, musi wprzód od nich wziąć w formie podatków. Lepiéj więc niech bezpośrednio, o ile to jest możebne, koszt ubezpieczenia ponoszą ci, co go ponosić powinni. Są jednakże pewne wypadki, w których zasada ta nie daje się zastosować, i tam właśnie, ale tam tylko, pośrednictwo państwa jest niezbędne i pożyteczne. Ma to miejsce mianowicie we wszystkich tych razach, w których robotnik z jakiegokolwiek powodu (bez własnéj winy, naturalnie) pozbawiony jest zajęcia zarobkowego. Wtedy ani on sam, ani pracodawca składek opłacać nie może, gdyby więc za

czas takiego przymusowego bezrobocia koszt ubezpieczenia ponosiło państwo, podobnie jak to ma czynić, według projektu niemieckiego, za czas służby wojskowéj, to oddałoby ubezpieczonym prawdziwą usługę. Jest to bowiem krzyczącą niesprawiedliwością, żeby robotnik, pozbawiony wyrokiem nieprzychylnych losów możności zarobkowania, był obowiązany przez czas téj nędzy swojéj wnosić składki podwójne, i za siebie, i za pracodawcę! Państwo, przejmując na siebie ten obowiązek, odegrałoby w tym razie rolę pożytecznego rzeczywiście pośrednika pomiędzy wspierającym, dotkniętą nieszczęściem, jednostkę ogółem obywateli, a wspieranym biedakiem. Rzecz dziwna, iż twórcy rządowego projektu niemieckiego, którzy niepotrzebnie chcą obarczyć skarb państwa trzecią częścią kosztu ogólnego ubezpieczenia robotników, nie uznali za rzecz słuszną uczynić zadość istotnéj potrzebie pomocy państwa w tym razie. Tymczasem, gdyby państwo ograniczyło się do takiéj tylko pomocy, wtedy nie potrzebowałoby się obawiać o nadmierne obciążenie skarbu i mogłoby śmiało unormować składki w stosunku procentowym do pobieranych przez robotników płac, a przytém o tyle wysokim, żeby zapewniły ubezpieczonym dostateczne środki do życia w razie zajścia nieudolności do pracy.

Powiedzieliśmy, iż obok niedostateczności pensyi dożywotnich, jakie mogą sobie zapewnić inwalidzi pracy w rozbieranych przez nas instytucyach, drugą główną wadą tych urządzeń jest zupełne w nich pominięcie ubezpieczenia sierot, a w projekcie księcia Bismarka nawet i wdów. Co się tyczy sierot, to we wszystkich praktykowanych dotąd systemach racyonalnych, czyli opartych na ścisłém matematyczném obliczeniu, kasach emerytalnych interesy ich są i muszą być, albo całkowicie nie uwzględnione, albo téż w najlepszym razie zbyt niepewnie i niedostatecznie zabezpieczone, gdyż żaden dokładny rachunek nie daje się tu zastosować. A jednakże każdy chyba przyzna, iż zabezpieczenie od nędzy przedwcześnie osieroconych dzieci jest ze stanowiska indywidualnego sprawą niemniéj ważną, a ze społecznego—nawet ważniejszą, niż zapewnienie bytu niezdolnym do pracy jednostkom dojrzałym. Młodzież, wzrastająca od najwcześniejszych lat swego życia wśród cierpień głodu i chłodu, bez odpowiedniéj opieki i moralnego kierunku, stacza się zazwyczaj w kał rozpusty, występku i zbrodni i zamiast pożytku przynosi społeczeństwu szkodę. Sprawa więc zabezpieczenia nieletnich sierot jest kwestyą pierwszorzędnéj wagi i dlatego nie powinna by być tak lekceważona we wszelkich projektach reformy społecznéj, jak to dotąd miało miejsce.

Najłatwiéj uczyniłoby zadość téj ważnéj potrzebie takie urządzenie kas emerytalnych, ażeby wnoszone do nich składki uważane były za premią ubezpieczenia nie pensyi dożywotniéj, lecz kapitału płatnego z chwilą zajścia nieudolności do pracy, lub śmierci ubezpieczonego, jemu samemu, lub jego wdowie albo nieletnim dzieciom, o ile by takowe po zmarłym pozostały. Kiedy by zaś wzmiankowana chwila płatności ubezpieczonego kapitału nadeszła, wtedy dopiero powinienby on być użyty na zapewnienie emerytury na podstawie odpowiedniego obliczenia, według pewnych określonych ustawą zasad, samemu uczestnikowi, oraz jego żonie i dzieciom nieletnim, lub wdowie i takimże sierotom do czasu ich dojścia do pewnego oznaczonego wieku zdolności zarobkowania. O ileby zmarły uczestnik nie pozostawił po sobie ani wdowy, ani n i e l e t n i c h dzieci, ubezpieczony kapitał przechodziłby na własność kasy. Wreszcie ze względu na sieroty, którymby już bardzo nie wiele czasu brakowało do osiągnięcia wieku przepisanego należałoby określić pewne *maximum* emerytury sierocéj, ustosunkowane do wysokości ubezpieczonego kapitału. Na takich jedynie zasadach oparte kasy emerytalne mogłyby uczynić zadość potrzebie zabezpieczenia bytu nietylko samego uczestnika, ale ewentualnie i jego rodziny. Wprawdzie, jak już o tém wspominaliśmy przygodnie, obliczenie taryf ubezpieczenia kapitału, płatnego w wypadkach przez nas oznaczonych, przedstawiałoby dzisiaj wielkie trudności z powodu braku dostatecznéj liczby danych statystycznych, odnoszących się do wypadków zachodzenia trwałéj nieudolności do pracy wśród rozmaitych kategoryi robotników, lecz widzieliśmy, że ani książe Bismark, ani ksiądz Blackley z trudnościami temi się nie liczyli. Możnaby je ominąć na początek przez oparcie rachunku na wypadkach najniepomyślniejszych, odnoszących się np. do górników, co do których w wielu krajach prowadzi się oddawna dokładna statystyka. W ten sposób zapewniłoby się niewątpliwie trwałość bytu kasy ubezpieczenia, a z postępem czasu i w miarę gromadzenia się dokładnego materyału statystycznego, mógłby jéj zarząd coraz bardziéj udoskonalać taryfy.

W. Wścieklica.





NAJNOWSZA POWIEŚĆ

Z TAMTĖJ STRONY TATR.

Kto vie nakreslit' slovenské typy, ten je kresličom poetických postáv. Snád' preto tak hynieme na poli, kde majú platnost' výlučne mathematické pravdy.

(*Besedy a Dumy — „Letiace tiene"*)

VAJANSKY.

„Stare, niewielkie miasteczko Rudopole, jak wszystkie prawie osady słowackie, noszące miano miast, zasiedlone było miejscową rdzenną ludnością słowiańską, na poły rolną, na poły przemysłową. Wśród inteligencyi jéj, na którą się składali kupcy, poważniejsi rękodzielnicy, właściciele realności, a wreszcie duchowieństwo i urzędnicy, także trudno było spotkać czystéj krwi Madiara (z wyjątkiem może paru osób): ciż sami Słowacy z pochodzenia co lud wiejski i miejski, jeno rozpadali się na dwa wrogie obozy, wywieszające sztandary już nie tylko przekonań politycznych, ale i różnych narodowości. Do jednego obozu należeli t. zw. madiaroni, czyli zmadiaryzowani rzadko kiedy używający mowy ojczystéj—słowackiéj, a natomiast niemieckiéj, lub jeszcze częściéj węgierskiéj—madiarskiéj, negujący prawa narodowe, a natomiast z przekonań, nawyknienia lub interesu walczący już nie tylko w obronie rządu węgierskiego i jedności państwowéj, ale nawet w obronie jedności narodowéj—madiarskiéj, w któréj widzieli wyższość moralną, towarzyską i polityczną, a w któréj jak w tyglu stopić chcieli wszystkie inne narodowości państwa św. Stefana. Rej tu wodził Köloman Swatnay, fiskal i właściciel majątku ziemskiego, człowiek dumny, ale gładki, salonowy, panujący nad swemi uczuciami i myślami, a przeto w stanowczych tylko chwilach występujący stanowczo, ale zato w życiu codziennem nie usuwający się od towarzystwa

z ludźmi przeciwnego obozu, jeśli tylko ku temu się nadawało ich stanowisko społeczne lub warunki towarzyskie.

„Na czoło obozu narodowców, widzących przyszłość w rozwoju myśli, uczuć i słowa słowackiego, opinia publiczna coraz bardziéj wysuwała Karola Wanowskiego, człowieka lat średnich, pełnego spokoju, wytrwałości i energii. Zdobywszy własną pracą majątek, zakupił znaczną część posiadłości państwa rudopolskiego, zostawiając przy niém i jego staroszlacheckich dziedzicach tylko kawał ziemi i stary mieszkalny zamek rudopolski. Przemysłowiec a jeszcze bardziéj ziemianin duszą i ciałem, zahartowany w pracy, w niéj widział życie swoje i społeczeństwa. Patryota, gorący miłośnik swego narodu, spółczujący jego aspiracyom, nie wdawał się jednak w codzienne spory i swary lub plotki mieszczańskie obu obozów, nie térał sił na drobne walki, a chociaż bez wyższego wykształcenia szkolnego, nie dawał tego po sobie poczuć, a przekonany był, że przedewszystkiém tak dla bytu jednostki, jak społeczeństwa zdobyć należy podstawę ekonomiczną, byt niezawisły. Przy dworze, zbudowanym obok zamku i nabytych posiadłościach nie mógł się utrzymać nawet przebiegły i zapobiegliwy prusak, poprzednik Wanowskiego: wygryzła go i zrujnowała finansowo partya rządowa. Ale Wanowski taktem, znajomością stosunków miejscowych, energią i odwagą utrzymał się. Zamożny, a nawet już majętny s t a t k a r (coś pośredniego między właścicielem realności a większym właścicielem ziemskim), stał się obywatelem poważnym, z którym bardzo się musieli liczyć stronnicy partyi przeciwnéj.

„Ozdobą dworu statkarskiego była żona Wanowskiego—Marya, córka nadleśnego z okolicy; kobiéta piękna, okazała, dostępna uczuciom piękna i szlachetności, a dbająca o cześć i honor domu; umiejąca z wewnętrznym spokojem utrzymać równowagę między życiem rodzinném a społecznéin, między popędami serca i fantazyi, a godnością i praktycznemi wymogami życia. Towarzyszka jéj, młodsza o lat kilka Anna, siostrzenica mężowska, — dziewczę ładniutkie, miłe, lube, więcéj marzycielskie niż praktyczne, trawiące znaczną część czasu na czytanie książek bez wyboru, które ukradkiem dostawała za pośrednictwem stróża z biblioteki zamkowéj, stała się, nie bez wzajemności, przedmiotem westchnień Alberta Tichego, nauczyciela szkoły miejscowéj, a zarazem guwernera kilkoletniéj Lili, córeczki państwa Wanowskich. Skromny, potulny, a wykształcony, Tichy, idealista z duszą wrażliwą, nie brał bliższego udziału tak samo jak Wanowski w burzliwych sporach życia codziennego obu stronnictw, przygotowując się do przyszłéj swojéj roli w społeczeństwie,— roli odmiennéj wszakże od téj, którą ode-

grać miał praktyczny statkar: Tichy obdarowany talentem kontemplacyjnym i pisarskim, miał się stać niepospolitym poetą i pisarzem i widział przyszłość narodu swego w podniesieniu jego kultury, w moralnych i umysłowych jego zdobyczach.

„Jak dalece umysły wszystkich zaprzątnięte były walką dwu obozów, wskazuje okoliczność, iż znalazła się tylko jedna osoba, która stała po za niemi, nie należąc do żadnego z nich. Był to polak hr. Winicki, powaśniony w kraju rodzinnym — w Galicyi, z sąsiadami z powodu jakichś procesów, a posiadający pono dobra i na Węgrzech, żyjący tu wystawnie, hulaszczo, bez żadnych celów i programów w życiu.

„Obóz ten jednak obojętnych rychło zwiększył się o jedną osobę, na którą wnet oczy wszystkich się zwróciły. Do starego opuszczonego zamku rudopolskiego przybył jedyny dziedzic jego—Stanisław Rudopolski. Wnuk magnata węgierskiego z krwi słowackiéj, a syn urzędnika austryackiego, Stanisław, wychowany zdala od kraju, wśród żywiołów kosmopolitycznych, był sam kosmopolitą-wiedeńczykiem w opiniach politycznych, a w życiu trochę sceptykiem, zaczerpnąwszy coś z bajronizmu w uczuciach, a hamletowskiego obejścia w stosunkach społecznych. Wysoce wykształcony, o spostrzegawczości umysłu wzbogaconéj licznemi podróżami, miał on dotychczas tylko jedno uczucie dodatnie — uczucie piękna. Zaprzyjaźniony z jakimś hanowerskim malarzem w Wiedniu, sam się brał nieraz do palety, a choć w dotychczasowych próbach nie zdobył się na własną twórczość, to nie dla braku techniki ale—natchnienia, które jednak w końcu przyszło ze strony, z któréj się najmniéj spodziewał,— z takiego zakątka, jak Rudopole, gdzie nie był od dzieciństwa, a dokąd się w końcu wybrał z nudów i z prostéj ciekawości, a — jak mniemał — tylko na kilka dni.

„Przyjazd jego do Rudopola obudził tu powszechną ciekawość i chęć każdego z obozów miasteczka i okolicy pozyskania go dla siebie. Jak Winicki, przypadkowo zetknąwszy się wpierw z obozem madiaronów, żył z nim najczęściéj, chociaż niekoniecznie solidaryzował się z jego aspiracyami politycznemi; tak też Rudopolski, wszedłszy z pobudek czysto sąsiedzkich do domu Wanowskich, był obojętnym dla uczuć i dążeń słowackich. Z początku go nudziły śmieszności i plotki małomiejskie a skargi stron obu, następnie już bawiły ekspozycye stanu teraźniejszego, planów i nadziei na przyszłość Słowaków. Słuchał ich, bo go zaczęła przykuwać do Rudopola piękna pani Wanowska, w osobie któréj znalazł przepyszny model (nie pozujący mu wprawdzie w pracowni, ale wbijający się coraz silniéj w pamięć i wyobraźnię) dla obrazu, natchnionego jéj

widokiem. Przy obudzonéj twórczości i zapale artystycznym zajmować się zaczął coraz bardziéj tą sferą, wśród któréj znalazł natchnienie i z rozsnącém zajęciem a sympatyą rozczytywał się w utworach słowackich, słuchał pieśni ludowych, odwiedzał towarzystwa i domy plebanów okolicznych; przyczém dlań stał się ciceronem, podnietą i nieustannym niemal towarzyszem Tichy, dla którego powziął szczerą braterską przyjaźń. Jak w procesie artystycznego rozwoju jego myśli i uczuć zwątpienie o własnych siłach poprzedziło wiarę, twórczość i działalność, które obudził nareszcie przedmiot natchnienia estetycznego; tak téż w psychicznym rozwoju jego pojęć i sympatyi słowackich przyszła chwila zwątpienia o swoich siłach narodowych i całéj téj warstwy szlacheckiéj, do któréj należał, chwila, wśród któréj wyrwalo mu się hamletowskie wyznanie: jesteśmy s u c h ą l a t o r o ś l ą, odciętą od pnia macierzystego i niezdolną do życiodajnego działania dla narodu. Taka świadomość już wiele znaczyła, znamionowała wprawdzie przełom i przesilenie, mające rzucić organizm duchowy pod całun śmiertelny, ale téż i siłę, zdolną do zupełnego odrodzenia, jeśli dla organizmu tego znajdzie się w odpowiednim momencie ten prąd elektryczny życia, który wtrząśnie nim tak gwałtownie, jak wstrząsnął jego poczuciem artystycznémi.

„I znalazł się ten prąd, znalazł się przedmiot atrakcyjny dla życia, jak przedtém dla sztuki.

„Na górzystym Wodinie, niedaleko Rudopola, przy jakichś starych ruinach zamczyska, których tak wiele w Słowacyi, zebrała się śmietanka towarzyska obu obozów, zwabiona tam majówką urządzoną przez młodą a śliczną Adelę, wdówkę po Rybarym, właścicielu sąsiedniego majątku—Hruszownika. Kokieterya nadobnéj amazonki, jéj zbyt swobodne obejście się z mężczyznami, wreszcie szalone brawowanie opinii publicznéj mogło w pierwszéj chwili przykre uczynić wrażenie na takim człowieku, jak Stanisław, który nowicyuszem nie był na arenie walk niewieścich, a czuł jeszcze uprzedzenie do prowincyonalnego świata kobiecego. Ale już sam tytuł przyjaciółki Maryi zachwiać mógł w myśli opinię niekorzystną; a niezwykła uroda, wdzięk, wykształcenie niepospolite, dystynkcya damy salonowéj i wreszcie dowcip, tryskający pełnią życia, zajęły duszę człowieka, którego serce zaczęło się domagać praw swoich. Zwieszona nad urwistą przepaścią skały Adela, na pozór swawolnie i lekkomyślnie, a w rzeczy saméj urągając się zimnéj krwi mężczyzny, gotowa życiem własném okupić lepszą opinią o sobie, szaloną a stanowczą odwagą niewieścią wstrząsnęła duszą i sercem, zawładnęła umysłem i uczuciem jego. Pod osłoną lekkomyślnéj

kobiéty biło serce czyste, dziewicze, brawujące opinią publiczną po to tylko, aby zagłuszyć w sobie te prawa do życia, których się ono także dobijało z całą nieprzepartą siłą młodości i wrzących w piersi uczuć. Stanisław stara się budzące w sobie uczucia zagłuszyć innemi wrażeniami. Staje przeciw Swatnayowi w obronie lekceważonego przezeń przyjaciela swego Tichego, obraża przywódcę przeciwnéj partyi, chcąc go zmusić do wyzwania. Następnie w Rudopolu rzuca się w ekstazę pierwszych swych aspiracyi artystycznych i pod wpływem a w uwielbieniu przedmiotu owych zapałów pocałunkiem obnażonego ramienia Maryi budzi do świadomości wzajemne uczucie miłości małżeńskiéj między Wanowskimi, wywołuje szczérą przyjaźń ich obojga dla siebie, a we własném sercu drugie przesilenie—na rzecz miłości dla Adeli.

„Bliskie stosunki Stanisława z domem Wanowskich dają pretekst Swatnayowi do rzucenia cienia podejrzeń na honor niewieści Maryi. Następuje pojedynek między Swatnayem a Rudopolskim, który lekko zraniwszy tchórzliwego przeciwnika, sam wynosi ciężką ranę i chorobę, wśród któréj doznaje pieczołowitości i pielęgnacyi ze strony Adeli, z najwyższém jéj zaparciem się i poświęceniem siostry i kochanki.

„Pojedynek odbył się w tym samym dniu, w którym odbywały się wybory miejscowego posła do sejmu węgierskiego, odroczone z poprzedniego terminu na teraz dlatego tylko, aby dać czas i możność partyi rządzącéj użycia nadzwyczajnéj agitacyi na rzecz swego kandydata. Jakoż gdy przy pierwszych przedwyborczych zebraniach wszelkie szanse były po stronie kandydata narodowego — Wanowskiego, teraz wskutek rozpojenia ludu wyborczego i presyi wierzycieli, w ręku których trzymani byli znaczniejsi wyborcy, kandydatura Wanowskiego liczyła już tylko szczupły zastęp nieprzejednanych, a zwycięstwo otrzymał kandydat przeciwny.

„Cóż pan chcesz! — mówił do Wanowskiego jeden z wyborców, a jego gorliwy stronnik — nas zaczynają już dobijać. Jeden jedyny przylgnął ku nam i tego zastrzelili.

Mowa tu o Rudopolskim, który jednak, dzięki żywotności własnego organizmu i pielęgnowaniu Adeli, nie umarł, lecz zaczął powoli przychodzić do zdrowia. Natomiast przyjaciele jego Wanowscy i Tichy pogrążeni zostali w cięższéj żałobie. Anna Belińska, siostrzenica jednych a narzeczona drugiego, przewidując nieuleczalne własne kalectwo — ślepotę, z niezwykłém poświęceniem się mimo głębokiéj miłości dla Tichego, zaprzecza ją, wyrzeka się jéj, aby narzeczonego nie czynić nieszczęśliwym i w końcu dotknięta istotnie ślepotą, umiera z wycieńczenia i rozpaczy, pozostawiając

osamotnionym Tichego, który „szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyznie“, ale dla niéj resztę swych sił i talentu poświęcił, kierując się na jednego z przodowników kraju.

„Stanisław po wyzdrowieniu żeni się z Adelą, poślubiając wraz z nią sprawę narodową słowacką i w ten sposób przestając być bezpłodną i suchą latoroślą“.

Oto jest treść najnowszéj i najlepszéj powieści słowackiéj p. t. „Sucha latorośl“, która w literaturze ludów słowiańskich jest istotnie niepospolitém zjawiskiem i przez samych Słowaków uznana za dzieło epokowe w ich piśmiennictwie.

Autorem jéj jest S v e t o z á r H u r b a n V a j a n s k ý.

Powiadają, że geniusz i talent przywiązane są do indywidualności, a rozwinąwszy się do pewnéj wyżyny w jednym człowieku, wyczerpują się w nim i nie przechodzą w spadku na bezpośredniego potomka. Być może jest to prawdą dla geniuszów, bo téż one rzadko się rodzą: trzeba na nie wieki czekać; ale wybitne talenta i zdolności nie potrzebują nawet być podciągane pod darwinowskie prawo dziedziczności, aby powtarzać się zjawiskiem dość częstém w świecie.

W Słowacyi dwaj Hurbanowie nie zadali kłamu téj prawdzie. Zarówno ojciec jak syn stali się chlubą swego narodu i jak starszy przodował przeszłemu pokoleniu, tak młodszy szybko się wznosi po szczeblach talentu i sławy na czoło teraźniejszéj generacyi. Różnica między nimi ta tylko, że Józef Miłosław Hurban obok znakomitego talentu pisarskiego był jeszcze bardziéj człowiekiem czynu i jako taki wraz ze Szturem przewodził narodowi w ciężkich czasach epoki 1848 roku; syn zaś jego bardziéj się oddał piśmiennictwu i w niém zbiera wawrzyny.

Vajanský (pod tym bowiem pseudonimem występuje w literaturze Hurban—syn) dał się poznać zarówno z prac publicystycznych, jak poetyckich i powieściopisarskich. Jest dobrym dziennikarzem, będąc jednym z głównych „współpracowników politycznych „Narodnich Nowin“ i sam redagując najpoważniejszy organ literacki w języku słowackim „Slovenske Pohlady“; znany jako zdolny i pierwszy po Hwiezdosławie poeta, a w naszych oczach przedewszystkiém jest najlepszym powieściopisarzem i nowelistą najnowszego kierunku literackiego w Słowacyi.

Vajanský jest gorącym patryotą słowackim, a pod wpływem pojętego po swojemu patrotyzmu miewa poglądy polityczne, z któremi ten lub ów może się nie zgodzić. Wypowiada on je nie tylko bezpośrednio w swoich artykułach politycznych, ale czuć ich tendencyą w czysto literackich jego utworach. Po za tém jednak, każ-

dy nawet przeciwnik jego poglądów przyznać musi wysoką wartość wewnętrzną i zewnętrzną pracom jego.

Ukończywszy studya na uniwersytecie niemieckim, sam ustawiczną pracą uzupełnia swą wiedzę, dążąc niezmordowanie do ideału „*homo sum nihil humani a me alienum esse puto*“, i już dziś go nazwać można jednym z najwykształceńszych belletrystów w Europie. Nie jest on zwolennikiem, a tém mniéj niewolnikiem jakiejkolwiek bądź doktryny naukowéj, usiłując jeśli nie zapanować nad sprzecznemi prądami, to przynajmniéj sprowadzić je do jakiejś harmonii, do własnéj syntezy. Nie ma się to rozumiéć w tém znaczeniu, aby godził prądy reakcyjne z postępowemi. Nie, o ile w polityce gotów jest podporządkować ideę wolności idei narodowości, o tyle w literaturze będąc stanowczo postępowym, nie unosi się żadną skrajną doktryną, nie idzie na lep żadnéj błyskotki, a jednak jest *au courant* wszelkich doktryn i prądów, zapanowując nad niemi.

W większéj jeszcze mierze panuje nad formą. Znając gruntownie własną mowę, a obeznany z celniejszemi językami słowiańskiemi, wyrobił on w sobie styl jasny, a język swoich utworów wzbogacił zwrotami jędrnemi przy całéj elegancyi wyrażeń, przy ich dosadności i plastyczności, a harmonijném zaokrągleniu okresów. Wyraża on w nich tyle, ile chce wyrazić, nie dając się prawie nigdy unieść i porwać nasuwającym pod pióro obrazom. I w tém znaczeniu jest klasykiem, chociaż duchem i fantazyą—romantyk, a z dążeń nowoczesnych—realista idealny.

Wszechstronności wykształcenia odpowiada wszechstronność form jego utworów, a to nie tylko co do różnorodności kierunków jego pracy jako poety, belletrysty i publicysty, ale i co do saméj formy artystycznéj powieściopisarstwa. Pisze więc z jednaką łatwością lotne obrazki, sylwetki, szersze nowele i obszerne powieści, a każda z tych form jest wykończona i może aż nazbyt opracowana.

Jako poeta dał się najpierw poznać w 1880 roku zbiorem małych poetyckich utworów p. t. „Tatry a more“, gdzie złożył kwiaty natchnień zarówno ze swéj ojczyzny tatrzańskiéj jak od pobratymców z nad Adryatyku, dokąd podróżował. Znaleść tu można udatne perełki z motywów ludowych jak:

„Žalostiva kukulenka
Zasmej sa“!..

albo figlarny wierszyk:

„Stretal som wám mladú dámu,
Zamyslený trošku,
Oslepený krásou, stupím
Na jej nežnú nožku“!..

i już bardziéj poważne, pełne treści i myśli poematy. Do takich należy poemat „Majak“—z życia dalmatyńskiego, gdzie bohaterem Lubrag, strażnik latarni morskiéj na samotnéj wysepce, dokąd się usunął po stracie ukochanéj żony, uwiedzionéj przez jego własnego przyjaciela. Smutne dnie pędzi na wyspie starzec, znajdując jedyną rozkosz i pociechę życia w miłości rodzicielskiéj dla jedynaczki—Despy, „morskiéj złotowłoski“. Ta zakochana w Weselinie, junaku, który co miesiąc dowoził żywność z lądu strażnikowi, zostaje przezeń porwana w nocy na łódź. Lubrag stojąc na brzegu, nie mogąc prośbami zawrócić Weselina z łodzią, a nie chcąc wydać córki za mąż jako za takiego, który był synem uwodziciela jéj matki, rzuca się w rozpaczy ku latarni morskiéj, rozbija ją, sprowadza ciemności do koła i pewny, że wśród nich łódź z córką i uwodzicielem rozbije się o niedalekie skały morskie, sam się rzuca w otchłań fal i tam śmierć znajduje.

Z łagodną, pieszczotliwą formą utworu, z jéj wierszem gładkim i potoczystym, z barwami wreszcie obrazów i tonem spokojnym w dziwnéj sprzeczności pozostaje sama treść i kompozycya poematu, pełna gorąca, grozy i tragizmu, bardziéj z téj strony odpowiadająca namiętnéj naturze tych istot południowych, z życia których skreślony jest obraz téj kompozycyi. Chociaż i naturze południowo słowiańskiéj nie brak momentów tkliwego łagodnego uczucia—jako znamienia wogóle natury słowiańskiéj,—i tę uwydatnił Wajanský w spokojnéj marzącéj miłości Despy dla Weselina, w tkliwości smutnéj Lubraga; ale zdaje się zbytek tego żywiołu lirycznego wniósł autor ze swojéj własnéj indywidualności i téj sfery życia słowackiego, z któréj pochodzi.

Sprzeczność między formą a treścią bije w oczy również w drugim poemacie, p. t. „Herodes“, osnutym na kanwie stosunków słowacko-madiarskich, chociaż tu już więcéj ta forma łagodna, ta ekspozycya spokojna odpowiada i naturze rzeczy i naturze duszy słowackiéj, bardziéj biednéj, lękliwéj i spokojnéj. Że treść jest niespokojna—trudno,—nastręczyła ją prawda życia, wyjątkowa ale prawda—wśród tych wyjątkowych warunków, w jakich żyje naród słowacki.

Czytelnicy przypominają sobie przykrą w dziennikach przeszłorocznych wiadomość o zakupowaniu przez Madiarów dzieci słowackich od ubogich rodziców i wywożenie ich w głąb Węgier celem zmadiaryzowania i zasilenia w ten sposób żywiołu madiarskiego, który sam przez się zanika i zamiera. Otóż to nowoczesne a chrześciańskie przygotowywanie janczarów, a raczéj same łowy i najbliższe ich następstwa stały się jeszcze przed 10 laty przedmio-

tem wspomnianego poematu „Herodes" naszego poety. Historya prosta. Anka i Janik wywiezieni przez opasłego Madiara (już to Niemcy i pobratymcy nasi słowiańscy najczęściéj przed publicznością przedstawiają Węgra, jako ograniczenie jowialnego duchowo a barokowego z powierzchowności) gdzieś w stepy środkowych Węgier, uciekają ztamtąd, a dopadłszy kolei żelaznéj, czepiają się wagonu jak nietoperze muru na zimę, lecą tak czas jakiś i nareszcie marnie giną.

Historycy literatury tak przywykli do mistycyzmu słowiańskiego (a nie tylko widzą go u Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego: pełno mistyków było i jest w każdym narodzie słowiańskim, nawet u nowoczesnych Serbów, którzy przecież jako naród niepodległy jak najmniéj mają potrzeby kryć się ze swemi uczuciami), że niektórzy z nich (1) widzieli i w tym poemacie tylko alegoryą: w Herodesie pożerającą żywioł słowiański madiarszczyznę, a w Ance i Janiku—lud słowacki—biédny, dziecięcy, krzywdzony a przywiązany do swéj ziemi i ginący w pragnieniu utrzymania jéj. Ale obok późniejszych, sprawdzających podobne fakta wiadomości, z obrazku tego bije więcéj prawdy konkretnéj, niż aluzyi: tyle tam obrazowości plastycznéj, tyle barw, tyle życia, tyle nareszcie ciepłego serdecznego uczucia, którego nie da zimna fantazya i wymuszona alegorya.

„Tatry a more" wydane były w Sw.-Martinie 1880. We trzy lata potém wydany tamże przez siebie zbiór nowelek ochrzcił Wajanský ogólném mianem—„Besedy a dumy", nadając każdéj z nich właściwe im tytuły, a pewnéj seryi, mieszczącéj po kilka nowelek zbiorowe nazwy, jak: „Obrazky, Barvy a tóny" etc. I może to lepsze niż wszelkie cudzoziemskie a tak bardzo rozpowszechnione nazwy, jak: sylwetki, bluetki itp.

Rozmaitość tu wielka panuje, większa w treści i ekspozycyi niż w formie, która albo bywa opisową, albo z lekkim dodatkiem dyalogowanym. Za to co za bogactwo kompozycyi, ile tu barw i tonów! Bywa on tu kontemplacyjnym i umié rozmawiać sam na sam z naturą jak w „Nocy na skałach"; to znów kréśli rzewny a tęskny obrazek innéj osoby—stróża nocnego, pełen plastyki i prostoty a spokojnéj, przedmiotowéj analizy codziennego ubóstwa w „Hlašniku"; indzie znów zręczny a tryskający komicznym humorem i rzewnością obrazek „Svadobne šaty", przedstawiający jowialnego

(1) Istorija sław. lit. A. N. Pypina i W. D. Spasowicza; przy układzie ich dzieła znanym był ten jeden tylko tom Wajanskego „Tatry a more", zawierający Herodesa. „Sucha latorośl" dopiero znacznie późniéj została wydaną.

starego wujaszka, lubiącego całe życie sprawiać niespodzianki innym i pod koniec omal że nie wpadłego w kłopoty przez zmyśloną chęć ożenienia się z ubogą szwaczką, którą w rzeczy saméj przeznaczał dla kochającego się w niéj synowca swego.

Miękkie, ciepłe uczucie, sięgające do głębi duszy i wyciskające łzy rozrzewnienia z oczu, a wyprowadzone z najprostszéj codziennéj sytuacyi tracza, czekającego w lesie na obiad od młodéj żony w obrazku „Rubačowa žienka“. Natomiast w „Czarnym idealiście“ („Čierny idealista“) z jaką łatwością sięgnięto w tajniki duszy prostaczka i w prostym węglarzu dopatrzono marzyciela i idealistę, tęskniącego za jakiemiś nieznanemi ideałami i zakochującego się w raz widzianéj strojnéj, z obcego dlań świata pannie. Idealizm u węglarza! Może to za śmiałe słowo?—tak autor pyta, przeczuwając niedowierzanie czytelnika. „A no,—odpowiada—u Nemcov bolo by to smelé slovo. U nás je to pravda. My máme idealistov i w drsných, neučených, zanedbaných, potlačených vrstvách, my máme idealistov medzi rubačmi, nádennikmi, postavačmi, ba mame idealistov medzi opilcami, zlodejmi a kminmi. Náš človek je dobrý, l'ahký a citlivý (1). Z týchto troch vlastnosti možno si vysvetlit' všetky cnosti i všetky chyby nášho národa.“

Z przytoczonego ustępu widać podmiotowość autora. Jakoż, Wajanský nie jest tak przedmiotowym jak nasz Sienkiewicz w nowelkach swoich, ani nawet jak serbski Miliczewić, lubiący często swoje zdanie wypowiadać przynajmniéj o zewnętrznych zjawiskach opisywanego przez siebie świata: indywidualizm autora przebija często, prawie zawsze, ale nie powiedziałbym aby to było ze szkodą prawdy, chociaż lubi jéj szukać najczęściéj w świecie optymistycznym, wśród natury dodatniéj. O brak realizmu posądzić go nie można, ale realizm to poetycki, artystyczny—nie anatomiczny, nie patologiczny, daleki od zmysłowości Zoli jak konwencyonalizmu i doktrynerstwa Ybsena, a zarazem od manii szpitalnéj obu tych koryfeuszów nowoczesnéj beletrystyki zachodniéj.

To téż za to nie widać w nim nawet najlżejszéj skłonności do tych pościgów i gonitwy za tym wrzekomym naturalizmem siermięgi chłopskiéj i modnym światem ludowym, za którym się tak ugania najnowsza plejada epigonowych naszych powieściopisarzy i nowelistów, a zwłaszcza nowelistek. Prawda, że to modne i kobiece, ale czy naturalne? Wajanský otwarcie nam daje dzieło sztuki i śmiało patrzy z wyżyn artyzmu na drogi sercu jego świat ludowy, bez podszywania się pod jego siermięgę, bez naśladownictwa jego mowy. Kto chce a ma zdolność potemu, niech po promiennych szla-

(1) Uczuciowy.

kach artysty zejdzie w głąb prawdy realnéj. Ale za to jakie to ładne to dzieło jego sztuki, z jaką subtelnością i elegancyą wycyzelowane!

Nie tylko ekonomiści i reformatorowie społeczni, ale nawet beletryści narodów, posiadających byt państwowy a zwłaszcza narodowy zabezpieczony, mają dość czasu do podejmowania kwestyi socyalnych albo idei reformistycznych—choćby nawet w życiu familijném. Na taki zbytek nie stać narody, walczące o byt swój narodowy, zajęte piekącą, codzienną sprawą obrony tego bytu. Toć i w powieściach Wajanskego, tak „Suchéj latorości“ jako téż i drugiéj, którą skromnie nazwał nowelką, a noszącéj tytuł „Letiace tiene“,—nie spotkać ani walk socyalistycznych, ani doktryn o emancypacyi kobiety, ani téż o wolności rozwodu: przedmiotem obrazu—walka w obronie praw i ideałów narodowych na tle życia rodzinnego i miłości; albo stosunki codzienne i przejawy życia narodowego i społecznego na kanwie utkanéj z politycznéj przędzy madiarsko-słowackiéj.

Widzieliśmy osnowę tamtéj większéj powieści, spójrzmy teraz na treść téj mniejszéj „Przelotnych cieni“.

Rodzina Jabłońskich, majętnych właścicieli ziemskich, mieszkających na wsi, składa się: z pana domu, przyjeżdżającego tylko w sobotę na wieś, a resztę czasu trawiącego na urzędzie autonomicznym, którym go zaszczycili wyborcy w mieście powiatowém; z żony i siostry żoninéj, oraz dwóch córek Adeli i Elli. Na poły to zmadiaryzowana, na poły zniemczona rodzina. Słowackiego języka rodzinnego przodków używają tylko rzadko w domu, publicznie wstydzą się go; do dobrego tonu należy niemczyzna i madiarszczyzna. Téj zewnętrznéj powłoce odpowiadają ich uczucia wewnętrzne—nie zdecydowane, nie określone. Przyjmują w domu swoim Eugena Duszana, dobrego patryotę słowackiego, wzdychającego tajemnie do melancholicznéj i spokojnéj Adeli, bo jest ich sąsiadem i takim samym obywatelem ziemskim, ale pierwszeństwo dają Hermanowi Bauerowi, Niemcowi, spekulantowi z pogardą patrzącemu na wszystko co słowackie, a starającemu się otwarcie o rękę Adeli. Tuż przy dworcu Jabłońskich stała skromna plebania i szkoła, a w niéj plebanem miejscowym i zarazem nauczycielem wiejskim—Holan staruszek, poczciwéj, łagodnéj natury, głębokim przejęty mistycyzmem narodowym i marzący o lepszéj doli narodu. Na niego, na bawiącego u niego na feryach syna (Holan był pastorem ewangielickim), Milka, słuchacza medycyny, patrzyła rodzina Jabłońskich z uprzedzeniem, pod wpływem polityki madiarskiéj, jako na panslawistów i burzycieli porządku publicznego. Toć Ella i Milko gdy

dziećmi byli, bawili się pospołu, ale gdy dorośli, stronili od siebie, a raczéj ona od niego. Gdy jednak przypadkowo się spotkali na spacerze, a on jéj wyświadczył parę zbyt nawet śmiałych usług, dziewczynka kapryśna ale ładna, hoża i wrażliwa, już wpierw uczyniwszy na nim wrażenie, sama nawzajem zajęła nim swoję główkę, a późniéj i serce. Nie dziw, Milko należał do młodzieży nowego zakroju: żywy, wykształcony, dostępny pięknu, jak w życiu polityczném był praktykiem i pogardzał biernością swych rodaków, skory do czynów i odwagi cywilnéj, tak téż w sferze uczucia i stosunków towarzyskich dalekim był od sentymentalności lub obłudy poetyckiéj: wstępnym bojem zdobywał sympatye — nawet niewieście, a jedyną tarczą, jaką się zasłonił, była chyba lekka ironia i ten sarkazm poetycki, którym się niekiedy maskuje własną wrażliwość, a który się tak podoba kobiétom, jeśli po za nim czują siłę woli i iście gorące serce męzkie. Stary Holan, nienawidzony dla swego patryotyzmu, został oskarżony o rozsiewanie niebezpiecznych dla państwa zasad politycznych. Zjeżdża komisya, do któréj należy i Jabłoński, uznają go winnym, a następnie pozbawiają posady nauczycielskiéj, na któréj kilkadziesiąt lat pracując, wychował całe pokolenie, chrzcąc zarazem dzieci dzisiejszych dostojników, lub oddając ich rodzicom ostatnie posługi chrześciańskie. Ella pod wpływem uczucia dla Milka przejmując się coraz bardziéj ideą słowacką i rozbudziwszy w sobie poczucie sprawiedliwości, oburza się niesprawiedliwością wyroku na Holana, wypowiada to głośno i otwarcie; a kiedy przybyli żandarmi, chcieli go gwałtem wyrzucić z plebanii i szkoły, stanowczém wystąpieniem i własną osobą broni staruszka, czém zgromadzony lud, zagrzany do oporu, byłby się rzucił na eksmitujących urzędników i znieważył ich, gdyby nie ewangeliczne zachowanie się starca, który przekonany, że nie mieczem, lecz prawdą bożą zwycięży nieprzyjaciół, stanął w ich obronie. Gdy przybyło wojsko dla egzekwowania wyroku, zastano już staruszka na łożu śmiertelném. Śmierć zbliżyła jeszcze bardziéj Ellę do przybyłego z Wiednia Milka, jako już ukończonego doktora, a ratunek przezeń udzielony jéj ojcu (który opuszczony przez Bauera i wskutek strat majątkowych zasłabł nagle) i upadek majątkowy Jabłońskiego dokonały zbliżenia z resztą rodziny, któréj członkiem zostaje nareszcie Milko, jako mąż Elli.

Możnaby dwa głównie zarzuty uczynić obu tym powieściom. A więc najpierw wydaje się w nich brak najważniejszego czynnika, który porusza dzisiejsze społeczeństwa, a musi być uwzględniony przez dzisiejszego powieściopisarza, jeśli utwór jego ma być wiernym obrazem społeczeństwa, a témbardziéj jeśli to utwór „e p o k o-

w y.“ Mówimy tu o czynniku ekonomicznym, o téj pracy codziennej, tych kłopotach, troskach i zabiegach o chléb powszedni, które stanowią wątek życia ogółu i nadają charakter jego działalności. Prawie wszyscy bohaterowie Wajanskego albo się bawią, albo dyskutują zadania polityczne, albo się kochają, albo książki czytają, a na pozór jak najmniéj pracują (z wyjątkami sporadycznemi), jak najmniéj się troszczą o to, co jeść jutro będą oni i ich dzieci. Czytając opis ich zajęć, widzi się wszędzie jakby zadowolenie ze swego bytu, jakby jakąś krainę błogą, gdzie człowiek przynajmniéj troszczyć się nie potrzebuje o dzień jutrzejszy; a mało kto się domyśli, że po za tymi bohaterami stoi już nie tylko cała masa ludu biednego, nieporadnego, obdartego, wyzyskiwanego we własnéj ojczyźnie i zmuszonego albo wędrować do Ameryki, albo rozpierzchać się na wszystkie strony świata; ale nawet ta sama warstwa, z któréj wziął swoich bohaterów Wajanský jest tak dalece pogrążona w smutnych stosunkach ekonomicznych, że często, bardzo często z jéj łona ludzie muszą wyrzekać się własnych nazwisk słowackich, a przyjmować madiarskie, aby nie narazić się rządowi i jako tako utrzymać się przy tym kawałku chleba, jaki im gryźć pozwolono.

Nie wymaga się od powieściopisarza traktatów ekonomicznych, ani też autora „Latorośli“ i „Cieniów“ nie czyni się niezdolnym do zrozumienia roli, jaką ten czynnik ekonomiczny, to życie trosk i kłopotów odegrywa w życiu społeczném, politycznem i towarzyskiém. Owszem on sam w tychże powieściach zaznaczył, że potrafi pojąć doniosłość tego czynnika. Wskażę tu tylko jeśli nie na kłopoty i zafrasowanie Jabłońskiego w „Cieniach“, to bardziéj jeszcze na dzielną i niezmordowaną pracę Wanowskiego, albo na obraz wyborczy w „Latorośli“, gdzie wyborcy zmuszeni oddać głosy swoje kandydatowi partyi antynarodowéj dla tego tylko, że siedzą w kieszeniach jéj adherentów a swoich wierzycieli.

Ale są to tylko obrazki i postacie epizodyczne, a w ogólnym obrazie powieściowym trzymane są one w tak dalekiéj perspektywie, na tak oddalonym planie, że ją zaledwo widać w mglistéj barwie po za mocnemi kolorami przodujących postaci. A szkoda, bo uwydatnienie ich w wyrazistszych konturach, ujaskrawienie w mocniejszych barwach wyjaśniłoby niejedną myśl kompozycyi, poparłoby nie jeden argument autora tak samo, jak wyświetliłoby nie jeden fakt w życiu rzeczywistém.

Brak ten wytłómaczyć tylko sobie można albo tém, że autor nie objąwszy twórczością swoją całéj sfery życia narodowego, ograniczył ją jeno do jednéj warstwy, warstwy dostatniéj wyjątkowo, gdzie ten czynnik ekonomiczny nie odegrywa decydującéj roli,—

albo wyłącznością zakresu duchowego życia dla swojéj kompozycyi—zakresu interesów moralnych i politycznych, z wyłączeniem wszelkich innych.

Drugi zarzut o wiele trudniejszym jest do usprawiedliwienia. Dotyczy on moralnéj wartości bohaterów powieści odnośnie do ich pochodzenia i narodowości, lub przekonań politycznych. U Vajanskego wszyscy bohaterowie słowaccy, patryoci z przekonań politycznych, są charakterami dodatniemi wysokich moralnych zalet; przeciwnie —bohaterowie madiarscy lub madiarońscy — to charaktery ujemne. Taki Tichy, Wanowski, Marya, Anna w „Suchéj latorośli"; albo stary i młody Holan, Duszan, Ella w „Cieniach" to ludzie szlachetni, zdolni do najszczytniejszych poświęceń, dobrego, czułego serca, odważni, pracowici, słowem idealiści; gdy przeciwnie, Madiar Svatnay — samolub, chytry i tchórz, Wisznia — nieludzki, mściwy łotr; baronowa z „Latorośli" lub Cerowska i Jabłońska z „Cieniów" — śmieszne i niezdary. A jeśli w gronie tém zdarzają się figury pośrednie, niewyraźne, z przymieszką dobrych i złych właściwości, to można być z góry pewnym, że dla tego tylko, iż i przekonania ich są niewyraźne, pośrednie. Takim jest Winicki w „Latorośli" i Kazimierz w „Cieniach" — obie postaci zdeboszowane i karykaturalne.

Czyż zaciekłość polityczna tak dalece może być wszechwładną, że nie uznaje nawet prawdy u nieprzyjaciół? Dozwolone to być może dla publicystów stronnictwa w widokach agitacyi i korzyści politycznych, ale nigdy u artysty, u powieściopisarza, którego dzieło powinno być zwierciadłem życia i prawdy. Przecież nikt nie uwierzy, aby między Węgrami nie było typów dodatnich; a silniejsze i skuteczniejsze byłoby wrażenie powieści, w któréj by i one znalazły swoje miejsce. A nikt znowu nie znający stosunków północnéj Słowacyi i północnych Węgier, nie domyśli się z tych powieści, że w owéj połaci kraju prawie nie ma czystéj krwi madiarów, a sami *madiaroni* renegaci; chociaż w Svatnayu autor pono chciał przedstawić rodowitego Madiara.

Obie chyby zdają się płynąć z jednego źródła—z tendencyjności i przewagi refleksyi nad twórczością artystyczną. Autor szedł nie za przykładem Homera, który uderzany danem w świecie zjawiskiem, przedstawił je jak było, pozostawiając sąd publiczności o złych i dobrych stronach tego zjawiska; a wolał pójść za Dantem i z góry skazać jednych do piekła, drugich do czysca, a trzecich posłać do nieba i następnie lubować się mękami jednych, nadzieją drugich, a rozkoszą trzecich. Przypomina nam to pracę budowni-
czą biskupa Strossmayera, który zanim przystąpił do budowy kate-

dry w Dyakowie, powiedział sobie, że katedra ta ma być symbolem pogodzenia Słowian zachodnich ze wschodnimi, Rzymu z Carogrodem — i do téj myśli zastosował budowę, zlewając z sobą odpowiednie ku temu style: wpierw powstała idea, myśl, tendencya, a dopiéro ku niéj nałamywać zaczęto kształty i formy.

Taką myślą, taką tendencyą w obu powieściach Wajanskego było zetknięcie idei słowackiéj z wrogą jéj, świata narodowego ze stronnictwem antynarodowém i z góry zamierzony tryumf téj idei, zwycięstwo tego świata. W charakterze Wajanskego leży dążność do ideałów—etyczna i estetyczna, a ztąd i pragnienie w duszy zwycięstwa dla nich. Z drugiéj strony będąc gorącym patryotą, miłuje on i bada wszystko to, co jest narodowém i pragnie również tryumfu téj narodowości. Gdyby więc przedstawił świat narodowy słowacki ze wszystkiemi jego chybami i w tonie zimnym, a światu przeciwnemu nie skąpił stron dodatnich i tonów barw gorących,— zamierzone zwycięstwo idei byłoby niemożliwe i cel zostałby chybiony.

(D. n.) *Jan Grzegorzewski.*





Z DZIEJÓW LUDZKOŚCI.

ŚMIETNISKA KUCHENNE.

(*Kiökken-möddings*).

I.

Istnieje w Europie kraina, o któréj poniekąd milczą codzienne wieści. I nie dziw—nie odgrywa ona prawie żadnéj roli politycznéj, a głos jéj nie wiele waży na szali codziennych wypadków ani téż w zamęcie rynku powszechnego. Ale w nauce rzeczy mają się inaczéj, i kraik ten większą tu od niejednego z pierwszorzędnych państw Europy posiada sławę. Słusznie téż odzywa się Lubbock („Człowiek przedhistoryczny“): „Dania w dziejach ludzkości o wiele większe niż na mapie zajmuje miejsce“. Cała tego kraju powierzchnia zasiana jest mnóstwem kurhanów i innych śladów zamierzchłéj przeszłości. Na każdym kroku noga badacza stąpa po szczątkach ubiegłych a zapomnianych dziejów. Tę właściwość półwyspu Jutlandzkiego dosadnie zaznacza tylko co cytowany uczony: „kraj ten należy uważać za jedno olbrzymich rozmiarów muzeum“.

Wdłuż wybrzeży tego półwyspu i poblizkich wysp spostrzegamy liczne, dosięgające czasami wcale pokaźnych rozmiarów pagórki (1); niektóre np. posiadają 300 metr. długości, 70 szerokości, a około 3 wysokości. Przez długie czasy nie zwracały one na się uwagi; uważano je poprostu za usypane przez falę morską ławice muszli i wiru. Ale przyszła kolej i na nie. Znany na północy badacz Steenstrup zauważył, że składają się one wyłącznie ze skorup następujących jadalnych mięczaków morskich: *ostrea edulis*, *car-*

---

(1) Winniśmy zaznaczyć, że tego rodzaju wzgórzy zupełnie nie ma na zachodniém wybrzeżu Jutlandyi. Objaśnia się to podmywającém działaniem morza.

dium edule, *mylilus edulis*, *littorina edulis*, i że wszystkie znajdywane skorupy należą do dojrzałych już osobników; następnie spostrzegł on w tych nasypach prawie zupełny brak zwiru i piasku. Fakty te dały dużo do myślenia. Najprzód, brak zwiru a obecność jedynie jadalnych i dojrzałych już mięczaków, następnie położenie samych wzgórzy—wszystko to wykluczało przypuszczenie, jakoby wzgórza były wytworem fali morskiéj, i wskazywało na rękę ludzką. Dalsze poszukiwania jeszcze dobitniéj tego dowiodły: przy rozkopywaniu natrafiono na ślady ognisk, narzędzi. Okazało się, że pagórki te—to śmietniska, na które przedhistoryczny człowiek rzucał odpadki swego pokarmu składającego się przeważnie z mięczaków. Z tego powodu nauka nadała im miano „śmietnisk kuchennych“ (*Kiökken-möddings*).

Śmietniska te odsłoniły nowy a nieznany ustęp z dziejów człowieka. „Ukazały nam one życie tych ludów w jego codziennym biegu, zaznajomiły z ich pożywieniem, obyczajami i wędrówkami, dozwoliły zbadać ich rozwój; jak z książki czytamy wypadki, z tą różnicą, że stronicami tu są warstwy muszli lub popiołów; fakty są ryte ogniem i kamieniem, a dramaty życiowe skreślone rozbitemi kośćmi ofiar“ (1). Nauka skwapliwie rzuciła się do badań i wkrótce odkryła podobnego rodzaju śmietniska i w innych okolicach Europy. Znaleziono je nad cieśniną Kaletańską we Francyi, następnie przy ujściu Sommy (w okolicach S.-Valery), kędy dosięgają 250 metr. długości a 30 szerokości; nareszcie badając tak zwane „bugry“ nad rz. Oką, Uwarow dowiódł, że nie są one niczém inném jeno takiemi samemi śmietniskami (2). Następnie takie same wzgórka zauważano w Japonii, Australii, na wyspach Andamańskich i półwyspie Malajskim. Co ważniejsza, na Ziemi Ognistéj uchwycono je w chwili powstawania; zresztą o tém późniéj. Wszelakož wszystkie znane dotychczas śmietniska zostały zaćmione przez nasypy tego rodzaju, odkryte w Ameryce. Tu napotykamy (czyli raczéj dopiero napotkaliśmy, a co przyszłość wróży o tém nie wiemy) je w Nowéj Szkocyi. Massachusets'ie, Luizyanie, Georgii, Florydzie, Kalifornii, na przesmyku Panamskim, w Nicaragua, Guyanie, Brezylii, w Patagonii—zarówno na wybrzeżach Atlantyku jak też oceanu Spokojnego. A dosięgają tu one zaprawdę bajecznych rozmiarów. Tak np. Lyell zwiedzał śmietnisko na wysepce św. Szymona przy ujściu rz. Alla-

---

(1) Nadaillac: *l'Amerique préhistorique*, str. 49.

(2) „Bugry“ składają się ze skorup mięczaków morskich—jedyném przeto objaśnieniem zagadki jest przypuszczenie, że powstały jeszcze wtenczas, kiedy u stóp wzgórzy, na których sterczą te nasypy, pieniły się fale morskie.

maha (Georgia); ma ono głębokości 5—10 stóp, a 10 akrów powierzchni; we Florydzie i Alabamie napotkano jeszcze większe: na wyspie Amelii niektóre mają pół mili długości, 500 stóp szerokości, a około 3 głębokości; śmietnisko z pod „Niedzwiedziego szczytu“ („Bearpoint“) zajmuje 60 akrów, a z pod Santa Rosa 150; „Nasyp żółwia“ („Turtle-mound“) dosięga 30 stóp wysokości! W okolicach S. Francisco w Kalifornii, literalnie przedstawiających jakby jeden olbrzymi nasyp, spotykamy jeszcze potężniejszych rozmiarów śmietniska; tak np. śmietnisko San-Pablo, (hrabstwo Centra-Costa) posiada milę długości a pół mili szerokości! Takiego samego ogromu dochodzą też śmietniska Ameryki południowéj: nasyp w pobliżu miasteczka Nossa-Senhora-da-Gloria (Brezylia) przez dwa wieki dostarczał temu miastu wapna do wszystkich budynków, a nadto na wywóz.

Istnieje wszakże pewna różnica między śmietniskami Europy a Ameryki. Tamte składają się wyłącznie ze skorup mięczaków morskich (co tyczy się zarówno położonych nad morzem śmietnisk duńskich jak téż o setkę mil od morza odległych bugrów); tymczasem w Ameryce większa pod tym względem panuje rozmaitość. Krom śmietnisk mięczaków morskich znachodzimy tu nasypy, zawierające jedynie kości ssaków i ptaków (tak zwane „paraderosy“ z nad La Platy); w Brezylii znów i nad rz. Missisipi znajdują się śmietniska z mięczakami wód słodkich (w Brezylii są one znane pod techniczą nazwą „sambaquisów“), dosięgające zaledwie 100 metr. długości przy 4—5 szerokości.

Po tym ogólnym zarysie „śmietnisk kuchennych“ rozpatrzymy niektóre z nich szczegółowiéj.

II.

Zaczniemy od Danii, téj klasycznéj „śmietnisk kuchennych“ krainy.

„Śmietnisko to, opowiada Lubbock (1) o tego rodzaju nasypie w Meilgaardzie, jest w pośrodku głębokiém na jakie stóp 10; wymiar ten, jeśli iść będziemy od środka ku krawędzi, we wszystkich zmniejsza się kierunkach. Do koła głównego wzgórza wznoszą się pomniejsze. Porosła drzewami acz cienka warstwa ziemi pokrywa właściwe śmietnisko. Każdego kto taki nasyp po raz pierwszy ogląda, zwłaszcza jeżeli odpowiednio go przetniemy, ogarnia głęboki podziw. Cała ławica składa się z muszli—w Meilgaardzie przeważa-

(1) Lubbock: L'homme préhistorique, tłóm. Barbiera, str. 179.

ją ostrygi; tu i owdzie, lubo rzadko spostrzegamy kości, a jeszcze rzadziéj narzędzia z kamienia lub szczątki wyrobów garncarskich. Nigdzie, okrom wierzchołka lub podnóża, nie ujrzymy zwiru. Jednem słowem, napotykamy jedynie przedmioty bezpośredniéj z człowiekiem styczności; o ile zauważyłem, jedyny pod tym względem wyjątek stanowią potężne odłamy krzemienia; sądzę atoli, że wyłowiono je wraz z ostrygami z morza.... Zdaje się, że tego rodzaju śmietniska ciągną się wdłuż całego wybrzeża, jakkolwiek nie masz ich wewnątrz kraju". Oto opis jednego z nasypów kuchennych, których Dania liczy bardzo a bardzo wiele. Dostarczyły téż one nader bogatego materyału naukowego i ciekawe rzuciły światło na dzieje przedhistoryczne ludzkości. Wraz z nawodnemi osadami Szwajcaryi należą one do téj rzadkiéj kategoryi zabytków przedhistorycznych, które nie po dyletancku, lecz systematycznie badano. Pierwsze poszukiwania prowadziła komisya z trzech rzetelnych powag naukowych złożona: biologa Steenstrupa, geologa Forchhammera i archeologa Worsaae. Komisya ta zbadała 50 nasypów, a otrzymane przez nią rezultaty aż po dziś dzień całą swą naukową zachowały wartość. Mianowicie:

1° Z pośród spotykanych w śmietniskach czterech gatunków mięczaków, ostryga (*ostrea edulis*) nie poławia się już obecnie w téj miejscowości; dwa zaś inne *cardium edule* i *littorina edulis*) nie posiadają obecnie takich rozmiarów, jak w epoce tworzenia się śmietnisk. To każe przypuszczać, że Bałtyk mniéj jest słonym obecnie niż niegdyś (1). Wreszcie obecność w nasypach kuchennych pewnych zwierząt wskazuje również na zaszłą zmianę we florze i faunie od owych czasów. Tak np. bardzo pospolity w śmietniskach cietrzew karmi się wyłącznie latoroślami sosnowemi, a tymczasem sosny nie spotkasz obecnie w Danii. Tak samo nie ma tu teraz bobra, pingwina ani *bos primigenius*.

Atoli wszystkie te zmiany mieszczą się w ramach obecnéj epoki geologicznéj, a nawet w granicach okresu neolitycznego (czyli kamienia gładzonego). Wszystkie bowiem napotykane tu zwierzęta należą do gatunków, żyjących w Europie jeszcze za czasów historycznych (2). W najgłębszych nawet pokładach tutejszych torfowisk nie znajdujemy żadnych śladów ani mamuta, ani innych

---

(1) Prawdopodobnie komunikował się on wtenczas z Oceanem za pomocą cieśnin, przerzynających półwysep Jutlandzki; Dania więc za czasów tworzenia się śmietnisk stanowiłaby archipelag.

(2) Jedyném zupełnie wymarłém obecnie zwierzęciem śmietnisk duńskich jest gatunek *bos primigenius*—istniał on jednak w Europie jeszcze za Cezara.

wymarłych gatunków, spółczesnych we Francyi człowiekowi z epoki kamienia łupanego—jedném słowem, całą kopalną faunę i florę Danii, a tém samém też śmietnisk, zawrzéć możemy w granicach okresu, ochrzconego dla Francyi nazwą neolitycznego. Że Dania od owego czasu żadnym nie uległa zmianom geologicznym, na to wskazuje téż położenie śmietnisk wzdłuż wybrzeży, a zupełny ich brak wewnątrz kraju. Cała różnica polega na tém, że pewna część dawniejszych wysp połączyła się w półwysep, a morze Niemieckie podmyło jego brzeg zachodni.

2° W śmietniskach spotykamy zawsze tylko pewne części skieletu. Weźmy np. żubra. Nigdy nie znajdziemy krom dwóch pierwszych kręgów jego stosu pacierzowego; z czaszki znajdujemy tylko dolną szczękę i części przyoczne. Co do ptaków, długie ich kości 20 razy w nasypach są liczniejsze niż krótkie, wówczas gdy w saméj rzeczy stanowią one piątą zaledwie część skieletu—zresztą nawet takie długie kości składają się jedynie z trzonu. Mianowicie braknie zawsze tych kości, które zawierają w sobie najwięcéj pożywnych substancyi (1).

3° Śmietniska kuchenne głównie składają się ze skorup, należących do mięczaków morskich, lubo spotykamy téż kości ssaków, ptaków i ryb. Tak np. w Havelse komisya zebrała 3500 kości (całkowitych lub téż odłamków) ssaków, 200 ptaków i znaczną ilość skieletów ryb. Wogóle, zdaniem Steenstrupa, na stopę sześcienną przypada przeciętnie 10—12 kości zwierzęcych. Najczęściéj natrafiamy na kości jelenia, dzika i sarny—stanowią one 97% całéj masy kości zwierzęcych; znajdujemy téż kości niedźwiedzia, psa, lisa, wilka, delfina, foki, szczura wodnego, bobra, rysia, kota dzikiego, bardzo zaś rzadko żubra i pokrewnych mu gatunków natomiast nie ma tu najmniejszych śladów zająca i łosia, jako téż renifera, tego towarzysza pierwotnego Europejczyka w pewnych okresach jego życia. Z ptaków najczęściéj spotykamy się z ptastwem wodném, a nadto spostrzegamy cietrzewia i wielkiego pingwina. Z ryb widzimy poławiające się na otwartém morzu śledzie i stokfisze.

4° Wszystkie zawierające szpik kości są rozbite ostrym kamieniem.

---

(1) Fakty tego rodzaju w poszukiwaniach paleontologicznych na każdym spotykamy kroku. Tak np. dr. Falconer odzywa się: „Często już zwracano uwagę na ten fakt, że w Stonesfieldzie z całego skieletu ssaków znajdujemy tylko dolną szczękę. To samo poniekąd spostrzegamy w pokładach „Purbecku“ (Lubbock, *l. c.* str. 187). Objaśnia się to tem zazwyczaj, że bardziéj pożywne części skieletu zostały rozproszone lub zniszczone przez zwierzęta drapieżne. Z porównania badań Steenstrupa a Flourensa okazuje się, że części skieletu, znajdywane w śmietniskach, należą do kości, które w embryologicznym rozwoju nasamprzód poczynają się kształtować.

5° Obok śmietnisk znaleziono liczne szczątki ognisk, zuzli, popiołu i t. d.

6° Nie znaleziono w śmietniskach najmniejszego śladu zboża, wogóle nic takiego, coby naprowadzało na myśl, że twórcy śmietnisk duńskich zajmowali się uprawą roślin. Znajdujemy jedynie zwęglone zawsze resztki morskiéj rośliny *Zostera marina*; niektórzy przypuszczają, że z niéj otrzymywano sól.

7° Znaleziono nadzwyczaj liczne okazy narzędzi. Narzędzia te różnorodnéj są formy: siekiery, szydła, młoty, ostrza strzał czy téż dzid, nieokreślonego kształtu wyżłobione lub przedziurawione kamienie, które, zdaniem wielu, miały służyć za ciężarki do sieci itd. Ilość narzędzi bardzo znaczna. Tak np. w Meilgaardzie przez dwa dni Lubbock wydobył 19 siekierek kamiennych, 139 odłamków krzemienia, jeden młot kamienny i około 20 kamyczków do procy, nadto 6 szydeł z kości, 6 narzędzi z rogu i 4 okazy kunsztu garncarskiego (1). Znajdywane narzędzia ordynarnego są wyrobu, łupane, lubo na krawędziach noszą ślady szlifowania; od czasu do czasu spotykamy téż szlifowany krzemień, lecz nader rzadko, — tak np. z pośród 500 okazów, wydobytych 1861 r. ze śmietnisk około Meilgaardu, nie ma ani jednego, któryby przedstawiał na swéj powierzchni ślady gładzenia, lub téż choćby kształtem przypominał znajdywaną w duńskich grobowcach broń szlifowaną.

Oto prawie wszystko, czego dostarczyły duńskie nasypy kuchenne. Wykazują one, że istniał niegdyś w Danii lud na nadzwyczaj niskim poziomie kultury. Zamieszkiwał on wybrzeża, karmił się mięczakami i rybami, polował, lubo łupy polowania drugorzędną w jego pożywieniu grały rolę. Budował łódki, znał użytek ognia, wyrabiał garnki, za narzędzia używał rogu, kości, kamienia i drzewa. Ulubionym jego pokarmem był szpik; resztki swych biesiad rzucał na kupę dokoła szałasów. Nie znał uprawy roli — nie wyrabiał przeto żadnych tkanin, co najwyżéj okrywał się skórami zwierząt. Oswoił psa.

Zachodzi teraz pytanie, jaki przeciąg czasu oddziela nas od okresu tego pierwotnego ludu? Na to nauka nie zdołała jeszcze odpowiedzieć. Atoli nie ulega wątpliwości, że ludy owe żyły już w czasach, gdy Dania przybrała mniéj więcéj obecną swą postać, a więc że do obecnéj należą epoki geologicznéj, kiedy Europę zamieszkiwały wyłącznie istniejące już za czasów historycznych ga-

(1) Musimy zwrócić uwagę na to, że już przed Lubbockiem robiono w tym samym celu poszukiwania w Meilgaardzie i wydobyto również niesłychanie olbrzymią ilość okazów.

tunki zwierząt. Charakterystyczną cechę twórców śmietnisk stanowi to, że ich narzędzia noszą ślady ostrzenia przez tarcie. To przypomina epokę kamienia gładzonego we Francyi, którą poprzedziła w tym kraju epoka kamienia łupanego (w okresie kredowym tuż obok człowieka Francyą zamieszkiwał mamut i inne wygasłe gatunki). Z tego powodu niektórzy badacze mieszczą twórców śmietnisk w epoce neolitycznéj i czynią ich spółczesnymi nawodnym osadom szwajcarskim. Wszystko to jednak tylko przypuszczenia. Przepaść zaś, oddzielająca tych od tamtych, jest nader wielka. Mieszkańcy osad nawodnych są ludem osiadłym, znającym rolnictwo i hodowlę bydła, użytek metali i tkactwo, twórcy zaś śmietnisk są jeszcze bardzo dalecy od wszystkiego tego. Nauka może, co najwyżéj, oznaczyć odnośne miejsce, jakie twórcy śmietnisk zajmują w dziejach Danii. W krainie téj bowiem natrafiamy jeszcze na inne ślady człowieka przedhistorycznego, mianowicie w torfowiskach i wśród mogił *(tumuli)*. Torfowiska te wypełniają głębokie wydrążenia, pozostałe po epoce lodowéj. Na dnie spotykamy tutaj sosnę (1); w wyższych pokładach mamy do czynienia z dębem *Quercus rubra*, jeszcze wyżéj z inną dębu odmianą: *Quercus pedunculata*. Ten ostatni gatunek wraz z sękatą brzozą, leszczyną i olchą stanowi téż wierzchni torfowisk pokład (2). Torfowiska są przepełnione śladami człowieka: „nie ma tu ani piędzi ziemi, coby nie świadczyła o bytności ludzkiéj“—powiada Steenstrup. Na dnie torfowisk, w niższych warstwach sosny, spotykamy nader ordynarne wyroby z kamienia, następnie idą coraz lepsze; ku schyłkowi okresu sosnowego, a na początku dębowego spotykane narzędzia odznaczają się już swém wykończeniem i całkowicie różnią się od okazów śmietniskowych. Jeszcze wyżéj, a spotkamy się z wyrobami z bronzu i żelaza. Tak samo, rozpatrując mogiły, znajdziemy ślady różnéj cywilizacyi — niższe jéj szczeble zagłębiają się w wyższe torfowisk pokłady, wyższe zaś dosięgają pochodzeniem swém aż świtu czasów historycznych. Torfowiska dostarczają nam kanwy, na któréj możemy zadziergać drabinę dziejową Danii. Pierwszy okres — to ludy żyjące w okresie sosny, one to pozostawiły po sobie omawiane przez nas zabytki śmietniskowe. Potém nastąpił okres dębowy a z nim, zamiast łupanych, szlifowane narzędzia. Mniéj więcéj w połowie

(1) Wszystko przemawia za tém, że sosna stanowiła niegdyś główną masę duńskiéj roślinności; niektóre okazy w torfowiskach dochodzą do metra średnicy. Dzisiaj sosna nie rośnie w Danii i nawet zasadzona nie przyjmuje się.

(2) Obecnie dąb prawie znikł z powierzchni Danii, dosięga zaledwie 2—3 metrów wysokości. — Lyell: Ancienneté de l'homme, wyd. Harny, str. 11.

okresu dębowego zjawia się bronz, jeszcze późniéj żelazo. Torfowiska posiadają częstokroć przeszło 40 stóp grubości, wówczas kiedy zdaniem Steenstrupa takie torfowisko w przeciągu 4 tysięcy lat narasta zaledwie na 10—20 stóp. Nadto po okresie dębowym nastąpił okres buków, a lasy bukowe pokrywały już całą powierzchnię Danii za czasów Cezara (1). Wypada tedy, że sosna stanowiła rdzeń duńskiéj roślinności co najmniéj przed kilkoma, a nawet kilkudziesięciu tysiącami lat. Taki to okres czasu przedziela nas od téj epoki, kiedy wytwarzały się nasypy kuchenne.

Na stosunki rasowe tych różnych okresów ludności rzucają pewne światło znalezione czaszki. Czaszki z niższych pokładów torfowisk, jako téż z mogił epoki kamienia gładzonego są małych rozmiarów, okrągłe, posiadają znaczną nad oczyma wypukłość; co wskazuje, że należały do ludzi małego wzrostu, okrągłéj głowy a wydatnych brwi, t. j. nader pokrewnego obecnym Lapończykom. Tymczasem czaszki z tych pokładów, które odpowiadają okresowi bronzowemu i żelaznemu, podłużnego są kształtu, a ich właściciele musieli być wyższego niż poprzednia rasa wzrostu. Mamy więc znowu do czynienia z codziennym w antropologii faktem: różnicą ras, zamieszkujących w różnych okresach czasu tę samą miejscowość (2).

III.

Po nasypach kuchennych Danii najlepiéj zbadanemi są śmietniska Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj (3). Z nad nasy-

---

(1) Lyell, l. c., str. 18—20.

(2) Pozostaje jeszcze jedno pytanie do rozstrzygnięcia. Twórcy śmietnisk żyli w okresie kamiennym; alić w Danii znajdują się téż pochodzące z téj saméj epoki grobowce. Czyż te i tamte powstawały jednocześnie, czy téż śmietniska są zabytkiem odleglejszych czasów? Wielu, zważywszy, że w grobowcach spotykają się ślady rolnictwa, hodowli wołu i konia, szlifowane narzędzia kamienne i t. d. odnoszą je do epoki późniejszéj, inni znowu czynią przypuszczenie, że oba te rodzaje zabytków powstawały jednocześnie wśród tego samego ludu, lecz że śmietniska są faktem codziennego życia, a grobowce kurhanami wodzów i naczelników, zawierającymi kwintesencyą ówczesnéj cywilizacyi. Ten ostatni pogląd zawdzięcza swe powstanie jedynie ślimaczéj naturze badaczy, dla których cały świat, że się tak wyrażę, śmietniskowy kończył się i ograniczał do Danii i którzy zamiast kształtowania bytu tych odległych czasów na zasadzie badań nad obecnemi ludami pierwotnemi urabiali go według stosunków cywilizowanéj Europy lub swéj bujnéj fantazyi. Choćby już ten fakt, że na tym stopniu wytwórczość pracy zaledwie zaspakaja potrzeby konieczne bezpośredniego wytwórcy, już ten fakt, powtarzam, uniemożebnia istnienie naczelników i wodzów, jako téż „kurhanów zawierających kwintesencyą ówczesnéj cywilizacyi."

(3) Szczegóły tyczące się Ameryki czerpaliśmy poczęści z pierwszéj ręki (z geologicznych buletynów Stanów Zjednoczonych i z wydawnictw Muzeum Peabody i in.), po-

pów brazylijskich („sambaquis“ — taką jest ich techniczna nazwa) i La Platy („paraderos“) zaledwie zdołano dopiéro uchylić rąbek pokrywającéj je tajemnicy.

Nasypy Stanów Zjednoczonych wznoszą się, jakeśmy już mówili, na wybrzeżach Atlantyku (t. j. Nowéj Szkocyi, Massachusetsu i t. d.), zatoki Meksykańskiéj i oceanu Spokojnego, to jest jakby wieńcem okalają cały ląd Ameryki północnéj. Nadto spotykamy je w głębi stałego lądu, w porzeczu Missisipi. Wszystkie te zabytki podzielić możemy na dwie grupy: na zawierające skorupy mięczaków morskich i na śmietniska mięczaków wód słodkich. Tamte zawsze ciągną się wzdłuż pomorza, a jeżeli jak np. w Florydzie wychylają się z bezpośredniego sąsiedztwa z morzem, wynika to z powodu podniesienia się lądu po epoce powstawania śmietnisk. Nasypy kuchenne z muszli wód słodkich znajdują się zawsze w głębi lądu i o wiele mniejszych są rozmiarów.

Do śmietnisk Stanów Zjednoczonych w zupełności możemy zastosować to wszystko, cośmy powyżéj rzekli o nasypach jutlandzkich. Pono żadnéj między niemi nie spotykasz różnicy, tylko że zabytki amerykańskie o wiele przewyższają swym ogromem i rozmiarami zabytki tego rodzaju w Europie. Zresztą napotykamy tu ten sam skład zewnętrzny, oczywiście ze zmianą właściwych Danii mięczaków i kręgowców na odpowiednie gatunki północno - amerykańskie; też same niekształtne i prawie identycznéj formy narzędzia z kamienia i rogu, takie same niezgrabne wyroby garncarskie, tak samo rozbite zawierające szpik kości (1). Wprawdzie w Ameryce północnéj zauważono pewne szczegóły, jakich nie znaleziono w Europie. W kalifornijskich np. nasypach znajdowano nieraz niewiadomego użytku moździerze kamienne, znaleziono pono wyobrażenie fallusa; w niektórych śmietniskach Iowy obserwowano ślady pieczenia mięczaków (2) — alić te szczegóły ani na jotę nie zmieniają postaci rzeczy. Daleko ważniejsze posiadają znaczenie fakty, zebrane przez Wymana we Florydzie, Hardy'ego w Nowéj Anglii i t. d.; na ich zasadzie możemy mniemać, że na tym pierwotnym

---

części zaś z jedynego w swym rodzaju dzieła: „Ameryka przedhistoryczna“ Nadaillac'a. Dzieło to zgoła nie odznacza się szerokością swych poglądów, lecz przedstawia obszerny i ciekawy materyał faktyczny.

(1) Przewyborne pojęcie o śmietniskach kuchennych wogóle, a północno-amerykańskich w szczególności dać może okaz (naśladowany), który oglądałem w etnograficzném muzeum paryskiém (Trocadero). Jest to wykopany w śmietnisku grób jakiegoś, jak opiewa napis, „wodza kalifornijskiego.“

(2) Są to wyżłobione w ziemi doły, około 30 centymetrów głębokości i tyleż szerokości. Tu rozpalano ogień i rzucano nań prawdopodobnie mięczaki.

szczeblu rozwoju człowiek między innemi karmił się mięsem ludzkiém. Wyman np. nad jeziorem Monroe znalazł masę ludzkich kości (1), tak samo porozbijanych, jak obok leżące kości jelenia.

Śmietniska kuchenne Stanów Zjednoczonych (a nawet całéj Ameryki, o ile takowe badano), nie są pierwszym w téj krainie śladem człowieka. Mamy dowody, że człowiek istniał tu wraz z wymarłemi zwierzętami, wówczas gdy omawiane nasypy zawierają jedynie szczątki żyjących jeszcze obecnie zwierząt, a najmniejszych śladów wymarłych gatunków; tego samego dowodzi ich położenie, wykazujące, że od czasów ich powstania zarysy lądu północnéj Ameryki nie nader wielkim uległy zmianom. Atoli z drugiéj strony wieloliczne fakty przemawiają za dość znacznym ich wiekiem. Śmietnisko z nad „Srebrnego źródła“ porosło np. dębami, z których niektóre mają aż 26—27 stóp obwodu; również podania Czerwonoskórych zupełnie milczą o tym przedmiocie i bodaj że o jego nawet istnieniu nic nie wiedzą — jedynie podania kalifornijskich Indyan cokolwiek o nich powiadają, przypisując ich budowę bajecznym mężom z zamorza. Cywilizacya obecnych czerwonoskórych o wiele téż wybiegła po za taki stan pierwotny; wiadomo nadto, że spoglądają oni z obrzydzeniem na pokarm z mięczaków, nawet i te plemiona, które zamieszkują okolice obfitujące w śmietniska.

Lubo więc śmietniska północno-amerykańskie powstały w obecnéj epoce geologicznéj, spory przecież okres czasu przedziela je od teraźniejszych krajowców i ich kultury. Atoli, kiedy powstały te nasypy? czy są one tworem téj saméj rasy? — na wszystkie te pytania obecna nauka żadnéj nie może dać odpowiedzi. Jedno, zdaje się, nie ulega wątpliwości: nie wszystkie śmietniska w tym samym tworzyły się czasie, jedne są świadectwem odleglejszych dziejów, inne znowu nie w tak zamierzchłe sięgają czasy. Kultura jednak ich twórców na tym samym dla wszystkich stała poziomie.

IV.

Widzieliśmy, że poziom cywilizacyjny ludów z duńskiego okresu śmietniskowego ani na jotę nie różni się od cywilizacyi

(1) Wszystkie kości ludzkie ze szpikiem (*femur*, *tibia*, *humerus*) są rozbite. Ponieważ tego rodzaju śladów nie znaleziono w śmietniskach Danii, przeto patryotyczni uczeni téj krainy z dumą się chełpią, że już wtedy „Duńczycy“ nie byli ludożercami. Mojém zdaniem, nie znaleziono śladów ludożerstwa, ponieważ wogóle tutaj w śmietniskach jeszcze nie wykryto żadnych kości ludzkich. Adam z Bremy, w XI w. głoszący chrystyanizm na dworze duńskiego „królika“ Swena Ulfsona, zapewnia, że jeszcze wtedy krajowcy chadzali w skórach zwierzęcych, nawzajem się zjadali i jedynie naśladować umieli głosy dzikich zwierząt (świadectwo zresztą zbyt przesadzone).

twórców śmietnisk północno-amerykańskich. Wszędzie znajdujemy te same narzędzia i pokarm, te same materyalne warunki bytu. Ponieważ zaś jednakowe warunki materyalne nadają człowiekowi to samo piętno, przeto te ludy, które jeszcze dzisiaj znajdują się na omawianym szczeblu rozwoju, dostarczyć nam powinny klucza do odcyfrowania i odmalowania właściwéj ludom śmietniskowym kultury. Z tego powodu nieco szerzéj rozpatrzymy się w życiu krajowców Ziemi Ognistéj — ludów, przebywających jeszcze po dziś dzień w okresie tym, jakiego ślady nauka bada na półwyspie jutlandzkim (1).

Archipelag Ziemi Ognistéj składa się z jednéj większéj i kilku wysp pomniejszych. Jest-to kraj wzgórzysty, jakby do połowy pogrążony w morze, gdzie głębokie cieśniny i zatoki zastępują miejsce dolin. Nad całą tą przestrzenią spoczywa ciągła mgła i huczą uragany. Do zamieszkania nadaje się jedynie wybrzeże—kamieniste lub pełne błot i trzęsawisk. Najlepiéj zresztą uczynimy, zapożyczając opisu od naocznego świadka: „O czwartéj z rana wyszedłem w celu dostania się na wierzchołek góry.... Co chwila w lesie radzić się musimy busoli, gdyż lubo znajdujemy się wśród gór, żadnego nie możemy dojrzéć przedmiotu. Wśród bezdennych urwisk panuje dzikość nie do opisania — powyżéj sroży się burza, w głębi zaś najmniejszy powiew wiatru nie zakołysze wierzchołków nawet najwyższych drzew. Wszędzie grunt tak zimny, wilgotny, tak cieniem pokryty, że nie spotkasz ani grzybów, ani mchu i paproci. W dolinach zawalają drogi we wszystkich kierunkach nadgniłe pnie. Przed temi naturalnemi mostami musimy się czasami zatrzymywać; czasami aż po kolana grzęźniemy w przegniłe drzewo. Innym znowu razem dotykamy się niby wspaniałego drzewa, alić zgniłą znajdujemy masę.... Wreszcie jesteśmy u celu. Przed nami krajobraz, właściwy Ziemi Ognistéj: łańcuchy nieregularnych wzgórzy, tu i owdzie masy śniegu, głębokie doliny i przerzynające powierzchnię we wszystkich kierunkach zatoki" (2). Wybrzeża tak

---

(1) Na to podobieństwo pierwszy pono wskazał Lubbock: „Zwyczaje ich (t. j. mieszkańców Ziemi Ognistéj) szczególny przedstawiają interes z powodu swego podobieństwa do obyczajów starożytnych Duńczyków. Wszelako ci ostatni byli nieco cywilizowańsi—znali bowiem garncarstwo" (l. c., str. 449). Wogóle metoda objaśniania bytu człowieka przedhistorycznego za pomocą odpowiednio wybranych ludów chwili obecnéj coraz bardziéj się rozpowszechnia. Tak np. Hamy przyrównywa człowieka z okresu mioceńskiego (w Europie) do Tasmańczyków i Australczyków, mamutowca (t. j. człowieka spółczesnego w Europie mamutowi) do Oceańczyków, a reniferczyka do Czukczów i Eskimosów (Hamy, „Précis de Paleontologie humaine").

(2) Darwin, Voyage d'un naturaliste, str. 252.

są urwiste, że krajowcy muszą miejsce pobytu zmieniać przy pomocy czółen. Przeciętna temperatura latem wynosi +10,0°, a zimą +0,6°. Ze zwierząt jadalnych na wyspie nie ma ani jednego; z roślin na pokarm używa się pewien gatunek rosnącego na drzewach grzybu (*Cyttaria Darwinii)*, oraz jagody pewnego krzewu. Oto i wszystko.

Niegościnną tę ziemię zamieszkuje rasa stojąca na jednym z najniższych szczeblów rozwoju. „Nie widziałem nędzniejszych i bardziéj odrażających stworzeń.... Zaledwie mogę uwierzyć w ich ludzką istotę.... Sądzę, że tutaj człowiek znajduje się na niższym stopniu upośledzenia niż gdzieindziéj“ (1). „Jeżeli nie na najniższym, tedy na jednym z niższych stoją szczebli ludzkości“ (2). „Mężczyźni są małego wzrostu, źle zbudowani, barwy pośredniéj między ciemno-miedzianą a bronzową. Tułów w porównaniu z pokrzywionemi kończynami można uważać za szeroki. Zapuszczona, nieczesana, niechlujna w najwyższym stopniu czupryna do połowy zasłania, a zarazem upiększa ich fizyonomią, najbardziéj chyba odrażającą z pośród dzikich. Włosy u kobiét są dłuższe, mniéj zaniedbane i bezwarunkowo czystsze. Czeszą je grzebieniem z kości morskiéj świnki, lecz nie zaplatają ani wiążą. Kobiéty są małego wzrostu. Idąc trzymają się zawsze pochyło“ (3). Nader znaczną wyróżniają się płodnością. Całym tutejszym ubiorem — kawałek skóry, przerzucony przez ramię. Atoli często, zwłaszcza kobiéty, chodzą zupełnie nago. Malują ciało w pasy białe, czarne i czerwone, ku czemu używają ochry i węgla; ciało smarują tłuszczem; na ręce i nogi obie płcie nakładają naszyjniki z muszli.

Wigwamy krajowców przypominają stóg siana; składają się z kilku świeżych żerdzi wbitych w ziemię, przestrzeń między któremi zapełnia darnina i gałęzie; w pośrodku grunt jest wydrążony na 2—3 stóp głębokości; do zbudowania takiego szałasu trzeba nie więcéj niż godzinę czasu, zresztą mieszkańcy zeń nie użytkują dłużéj nad dni kilka. W górze znajduje się otwór dla dymu; w po-

---

(1) Darwin l. c. str. 228, 229, 247. Zresztą wobec tego rodzaju świadectw godzi się zachowywać niezwykłą ostrożność. „Tę cechę (t. j. że plemię na najniższym znajduje się stopniu rozwoju) do tylu już stosowano hord i ludów, że przestała mieć jakiekolwiek znaczenie. Jest to po prostu sposób wysłowienia się, że pewien lud jest nader mało znany. Każdy badacz przedstawia obserwowanych przez się dzikich jako *nec plus ultra*. Uważając siebie za miernik całéj ludzkości, nie znajduje słów dla oddania przepaści między sobą a nim“ (Elie Reclus: Les primitifs, str. 8—9). W obecnym jednak razie świadectwo tego rodzaju zupełnie na miejscu.

(2) Lubbock, l. c. str. 449.

(3) Fitzroy: Voyage de l'Aventure etc. Tom II, str. 137.

środku mieści się ognisko, a dym rozpościera się po całym szałasie—oczy też kobiét zawsze są załzawione i zaczerwienione. „Dym ten wraz z wyziewami zgniłego mięsa czyni te chaty nieprzystępnemi dla cudzoziemców.“ Broń stanowią: prosty trzystopowy łuk z cięciwą, splecioną z suchych żył, dwustopowe z twardego drzewa gładkie strzały z ostrzem agatowém lub z obsydyanu, pozostającém w ranie nawet po wyjęciu strzały, długie z kościanem ostrzem oszczepy, potężne maczugi drewniane, proca i nader ostre noże kamienne, którą to bronią, zwłaszcza łukiem i procą, z niezwykłą władają oni zręcznością. Łódki, długie na 15, a szerokie i głębokie na trzy stopy, zbudowane są z powiązanych kawałków kory lub téż ze zgiętych w pałąk gałęzi, związanych żyłami i rzemykami; haczyk z kamienia do łowienia ryb, przypomina kształtem swym pospolicie u nas używaną wędkę. Garncarstwo nie jest im znane, a naczynia są plecione z wici leszczynowych lub łyka. Ogień otrzymują krzesaniem. Oswoili psa i używają go do polowania — psy są dobrze ułożone i bez hałasu przynoszą zdobycz swemu panu.

W swych łódkach i z oszczepem w ręku polują na foki i inne stworzenia, a „upolowanie tych zwierząt stanowi tutaj téj saméj wagi wypadek, co dla nas zabicie wieloryba“ (Fitzroy, *l. c.*, str. 185); w nocy, z psami idą na ptastwo, śpiące po skałach i na wybrzeżu, dniem zaś polują za pomocą oszczepu lub procy. Zimą, kiedy powierzchnię pokryje gruba warstwa śniegu, gromadami czatują na guanaka—zwierzę, które natenczas zchodzi z gór na wybrzeża, by tu żerować; jego łapy zanurzają się w śniegu, a krajowcy otoczywszy je ze wszystkich stron, szczują psami i dobijają oszczepami; latem znowu czatują na guanaka z drzew i ztąd nań miotają oszczepy. Zbierają jaja ptasie, ikrę, mięczaki, czy to w morzu, czy téż po jego odpływie. Przeważnie żywią się mięczakami i z tego powodu wciąż muszą zmieniać miejsce pobytu, wracając atoli po pewnym czasie na dawne swe siedziby; około każdéj takiéj siedziby gromadzą się kupy muszli, skorup, odpadków, tworzących czasem ogromne masy i zdala już rzucające się w oko z powodu jasno-zielonéj barwy, porastających je kilku rodzajów roślin. Są to kuchenne śmietniska Ziemi Ognistéj, czyli, jak je zowią, „nasypy z muszli“ (*Shell moundy*). Używają téż na pokarm jagód, rosnących na karłowatym krzewie, jako téż pewien gutunek grzyba (o którym już wspominaliśmy).

Rozpatrując się w tych szczegółach, widzimy, że cały byt człowieka zależy od przypadku. Nikt tu nic nie zaoszczędza; czynność tego rodzaju stanowi przywiléj cywilizowańszych ludów, mających stałe źródła zarobkowania: pasterstwo, rolnictwo i t. d. Tu burza,

deszcz, ostra zima i bardzo wiele innych, niezależnych od człowieka, czynników pozbawia go wszelkiego pożywienia i skazuje na śmierć głodową. Głody téż stanowią tutaj normalne zjawisko, zwłaszcza zimą. Wtedy mieszkańcy biorą się do starych kobiet i duszą je, trzymając nad dymem; zawczasu téż uciekają one w góry, a całe plemię tropi je psami. Kiedy zbraknie kobiet, dopiéro wtedy nastaje kolej na psy, gdyż „psy łowią zwierzynę, a kobiety nie". Po walce zwycięzcy zjadają zabitych; kobietom dostają się ręce i piersi, mężczyznom nogi, a kadłub idzie do morza. Atoli nie tylko łakną tuziemcy w czasie głodu—możemy rzec, że nigdy się oni nie najadają należycie; życie ich da się streścić w ten sposób: dzisiaj uczta, jutro i pojutrze głód, i znowu to samo, póki nie nastąpi głód kilku tygodniowy. Jedzą téż wszystko. Kiedy mają więcéj czasu (tj. nie nader są głodni), smażą mięczaki; w razie głodu nie czekają tak długo. Fitzroy powiada, że „pióro odmawia opisu" ich pokarmu, i zapewnia, że „wszystko spożywają bez względu na stan świeżości", a Wallis utrzymuje, że „jedzą zgniłe mięso i tłuszcz wielorybi z chciwością... Niektórzy z załogi.... jednemu dali tylko co złowioną rybę, nieco większą od śledzia; pochwycił on ją jak pies kość, i zębami uśmiercił, a następnie począł pożerać od głowy, nic nie odrzucając, ani łuski ani wnętrzności". Low zaś opowiada o pewném plemieniu: wychudli oni i wiele ucierpieli, gdyż burze nie dozwoliły kobietom udać się na morze. Niektórzy udali się wtedy w czterodniową podróż celem zaopatrzenia się w żywność, wrócili zmęczeni a „każdy niósł ogromny kawał zgniłego mięsa wielorybiego; aby lżéj było, poczynili w każdym kawale otwory i przez nie przetknęli swe głowy". Całe téż życie tych biédaków pochłania walka o środki utrzymania, znalezienie zgniłego wieloryba stanowi dla nich uroczyste święto. Podczas odpływu, dniem i nocą, zimą i latem zbierają po skałach ślimaki, a kobiéty pogrążają się w wodę dla łowienia ikry lub po całych godzinach na deszczu nieruchomie czatują z czółen. Nocą śpią nadzy, po 5 i 6 tuląc się do siebie, zaledwie jako tako osłonięci od deszczu, na wilgotnéj ziemi... Ciągle przenosić się muszą z miejsca na miejsce, gdyż jeden tydzień wystarcza, by całą okolicę dokoła swéj siedziby ogołocili z wszelkiego pokarmu. Jeżeli deszcze i inne tego rodzaju przyczyny nie pozwolą im ruszyć się z miejsca, niechybnie oczekuje ich głód.

Takiém jest życie codzienne ludów śmietniskowych, czy to nad zatoką meksykańską, czy też przed kilkoma tysiącami lat na wyspach Baltyku lub obecnie na krańcu Ameryki południowéj.

V.

Pierwsi badacze skłonni byli do dopatrywania w śmietniskach kuchennych Danii, wyjątkowego poniekąd objawu w dziejach ludzkości. Alić nie minęło kilku dziesiątków lat, a nauka przyszła do wniosku, że śmietniska kuchenne są wynikiem natury nie miejscowéj tylko, lecz spotykają się wśród najrozmaitszych warunków geograficzno-klimatycznych i pochodzą z epok najrozmaitszych. Wszystko to wskazuje, że posiadają one szersze znaczenie, niż by się to na pozór zdawało. Skoro zważymy na rodzaj pokarmu najniżéj stojących grup ludzkości (Indyanie z nad zachodnich wybrzeży Ameryki północnéj, Australczycy, i in.), wszędzie „ryby“, tj. wszelkiego rodzaju jadalne organizmy wodne znaczną odgrywają rolę; jeżeli zaś zwrócimy uwagę na człowieka pierwotnego, posiadającego w swym ręku mniejszy zasób środków produkcyi (narzędzi, broni itd.) niż obecne grupy dzikie, to przyjdziemy do wniosku, że w większym stopniu niż one musiał się on zadawalniać płodami, których przyroda dostarcza albo w dogodnéj już do spożycia postaci (np. owoce, jaja ptasie i t. d. lub takich, do zdobycia których nie potrzeba zbyt złożonych przyrządów (np. mięczaki). I o taki pokarm trzeba ciężko walczyć z przyrodą, jakeśmy to widzieli na przykładzie mieszkańców Ziemi Ognistéj; lecz by złowić mięczaka, człowiek nie potrzebuje posiadać łuku czy oszczepu, niezbędnych przy polowaniu na grubego zwierza. Tém się da wytłómaczyć znaczenie, jakie dla ludów pierwotnych posiadały wody; tak np. wszystkie ślady człowieka przedhistorycznego ciągną się wdłuż rzek i jezior: rozpraszał się on po ziemi wdłuż wybrzeży morskich i ztąd szedł daléj w górę rzek, a dopiero później, posiadając już umiejętność dobywania ognia i pewien zasób wynalazków, posuwał się wewnątrz lądu.

Jedném słowem, mięczaki i w ogóle dary wody stanowią główny pokarm człowieka na najniższych szczeblach rozwoju, i to tak długo się ciągnie, aż wskutek zwiększonego bogactwa spuścizny historycznéj, nie pocznie przeważać jakiś inny pokarm, którego człowiek pierwotny albo zupełnie nie zna (hodowla bydła i roślin) albo który dlań stanowił, z powodu trudności swego otrzymywania, nader pożądaną rzadkość (mięso czworonożnych). Atoli sam okres pierwotny przedstawia wiele szczebli; kończy się on ostatecznie z przyswojeniem zwierząt i zaczątkami rolnictwa, a punktem zwrotnym tego peryodu jest wynalazek ognia, czyniący człowieka niezależnym od warunków klimatycznych i zwiększający różnorodność i ilość jego pokarmów. Wszelako już przed wynalezieniem ognia

człowiek posiadał grubo i niezręcznie ociosane narzędzia kamienne, ich-to bowiem łupanie doprowadziło go do znalezienia ognia. Postęp w tym całym okresie polega na zwiększaniu arsenału broni i narzędzi, jako téż na ich ulepszaniu; przybywa oszczep, łuk itd., a miejsce łupanych narzędzi kamiennych zastępują gładzone. Człowiek uczy się wyrabiać łódkę, pleść naczynia z łyka; by nie przesiąkały one, pokrywa je gliną, a powoli to środkowe rusztowanie z łyka ustępuje i pozostaje się jedynie pokrywa gliniana. Oswaja psa, który służy mu do polowania, a czyn ten jest zapowiedzią innych w tym kierunku kroków i zwiastunem zupełnego przewrotu w warunkach bytu materyalnego. Życie ludzkie na całym tym szczeblu stanowi ciągłą walkę z przyrodą, walkę, absorbującą wszystkie siły. Burza, słota, wiatr—wszystko to wpływa na losy pierwotnego człowieka, a głód jest tu regularném i konieczném zjawiskiem— i, co idzie zatém, mięso ludzkie stanowi konieczne uzupełnienie pożywienia, a ludożerstwo praktykuje się przedewszystkiém wśród własnego plemienia, usuwając ze świata „nieprodukcyjnych", że się wyrażę językiem A. Smitha, członków grupy: stare kobiety, dzieci. Nad taką nieprodukcyjną osobę wyżéj bywa ceniony robotnik produkcyjny, jakim jest pies. Zwiększenie arsenału broni,—narzędzi, które późniéj stają się specyficznym środkiem do mordowania się ludzi nawzajem między sobą,—stanowi pierwszy krok ku wytępieniu kanibalizmu; dzięki bowiem posiadaniu środków polowania, mięso zwierzęce poczyna stanowić coraz pewniejszą zdobycz i zajmować wśród pokarmu coraz wybitniejsze miejsce. Równolegle z tém idzie zmiana trybu życia. Człowiek dotychczas prowadził życie koczownicze nad wybrzeżami wód, przenosząc swą siedzibę co dni kilka; z chwilą zaś, kiedy mięso zwierzęce poczyna wśród jego pożywienia pierwszorzędną grać rolę, siedziba jego staje się trwalszą.

Jak widzimy z faktów, charakteryzujących śmietniska kuchenne, stanowią one ostatni szczebel tego pierwotnego okresu; na tym stopniu rozwoju, człowiek posiada już środki, umożebniające mu systematyczne polowanie, łódkę, oswoił psa; w niektórych okolicach używa jeszcze naczyń plecionych (np. w Ziemi Ognistéj), w innych wyrabia je z gliny (śmietniska duńskie). Krok jeszcze jeden a znajdziemy się wśród myśliwstwa, połączonego z dorywczą hodowlą zwierząt i uprawą roślin; ku temu potrzeba jedynie warunków sprzyjających: okolicy posiadającéj obfitość zwierzyny, jako téż podatne do oswojenia zwierzęta i użyteczne rośliny, a więc warunków, dopuszczających wzrost ludności i dających możność jéj wyżywienia. Tak np. mieszkańcy Ziemi Ognistéj w swym stanie pierwotnym

i o własnych siłach nigdyby zeń nie wyszli; brak tu bowiem wszelkich materyalnych warunków postępu, kraj ten nie posiada ani zwierzyny, ani zwierząt lub roślin, które by można było oswoić lub uprawiać. Przyroda sama staje na przeszkodzie wszelkiemu po nad pewien zakres wzrostowi ludności i skazuje człowieka na pewne określone upośledzenie.

Pomimo jednak całéj nędzy kultury na tym stopniu rozwoju, spotykamy już tu pewne zaczątki organizacyi społecznéj. Oczywiście, najnaturalniéj byłoby je odcyfrować przy pomocy stosunków społecznych Ziemi Ognistéj; lecz prócz luźnych wzmianek, w opisach téj okolicy nie można znaleść żadnych szerszych szczegółów. Atoli i te drobne wzmianki posłużyć nam mogą za drogowskaz. Jak Cuvier, dzięki zasobowi faktów, nagromadzonemu przez anatomią porównawczą, na zasadzie kilku oddzielnych kości odbudowywał wygasły gatunek, tak samo antropologia, dzięki badaniom Howitta, Fisona, Morgana i in., dostatecznym już włada materyałem, by z kilku luźnych na pozór szczegółów odtworzyć całokształt pożycia społecznego, właściwego pewnéj grupie ludzkości—oczywiście w ogólnych zarysach. Ludność Ziemi Ognistéj znana jest pod zbiorową nazwą Fuegiejczyków, nie stanowi wszakże rasy jednorodnéj. Nawet i ta wyspa, licząca zaledwie 6,000 lud. przedstawia ślady walk rasowych—i tutaj odnajdujemy pierwotne plemiona, spędzone przez późniéj przybyłe szczepy w pewien wązki pas ziemi, i nowy jeszcze ruch imigracyjny, który i pierwszych i drugich jednakowo ścieśnił. W rzeczywistości, Ziemia Ognista zaludnioną jest przez 3 różne szczepy, rozpadające się na masę drobnych plemion (1). Jucana-Kunnowie liczą 500—600 osobników dorosłych, Tenikowie liczą wszystkiego 500, Alikhoulipy 400, Peherajowie 200 głów i t. d. Różnią się one od siebie ubiorem, narzeczem, barwą skóry, wzrostem, a każde z nich „otoczone jest przez wrogie sobie szczepy, odmiennemi mówiące narzeczami i oddzielone bezwzględnie pustymi

---

(1) Szczegóły te podajemy według artykułu w niemieckim „Kosmosie" „*Zur Ethnographie der Feuerländer*" (1883, II) i artykułu we francuskim dykcyonarzu geograficznym („l'Univers", 1856, *Patagonia*). Atoli i tu plączą się opowieści, każdy podróżnik podaje różne nazwy plemienia i na każdym kroku miesza różne jednostki ukształtowania społecznego. Porównywaliśmy dla dwóch takich plemnion słowniczki z 102 wyrazów: mimo to, że słowniczki te zawierały te same pojęcia, znaleźliśmy zaledwie kilka jednakobrzmiących słów—zresztą jest to rzecz codzienna wśród dzikich, że dwa poblizkie od wieków plemiona, a nawet pokrewne zupełnie odmiennym mówią językiem. Co do powierzchowności, plemię Jucana-Kunowie wzrostem, barwą skóry i ubiorem przypominają Patagończyków. Tenikowie są niskiego wzrostu, o cienkich i nieproporcyonalnych do korpusu nogach itd. Jedne narzucają na ramię płaszcz włosiem na wewnątrz z guanaka, inne z foki itd.

neutralnemi pasami terytoryum; główna przyczyna walk tkwi, zda się, w trudności zapewnienia pożywienia.“ (Darwin, str. 232). Za ilustracyą nienawiści jednych plemion ku drugim niech nam posłuży opowiadanie tegoż autora: „Jemmy nam opowiadał, jak dzicy z Oensu przechodzą góry w okresie „czerwonego liścia“ aby napaść na tubylców... Interesujący obraz przedstawiał on wtedy: oczy jego błyszczały a twarz dziki przybierała wyraz... York Minster był dobrym patryotą, zazwyczaj o swém plemieniu i kraju odzywał się dobrze... lecz drwił z innych“ (str. 237, 223) (1). Jest to zresztą cecha, wspólna wszystkim niższym stopniom kultury; dla przykładu weźmy Tasmanią. Kiedy cała ludność téj wyspy, sprowadzona przez „Czarną wojnę“ z liczby kilku tysięcy głów do 200 jednostek, znalazła się w 1834 w niewoli u Anglików, jedni krajowcy w żaden sposób nie mogli się porozumiéć z drugimi (Clark naliczył tu aż 8—10 zupełnie odmiennych języków); w 1819 r. mieszkańcy zachodnich wybrzeży wcale jeszcze nie znali psa, gdy inne szczepy od lat 10 używały go do polowania. Jedno plemię od drugiego oddzielone było pasami neutralnemi, których przejście oznaczało wypowiedzenie wojny (2). Wśród takiego plemienia ziemi ognistéj wydziela się jednostka społeczna niższego rzędu, „rodzina“, jak zowie ją Bove. „Każda rodzina żyje w zupełnéj niezależności od innych i z innemi rodzinami tegoż samego plemienia łączy się jedynie w celach wzajemnéj obrony“. Stosunki społeczne określają się samym stopniem wytwórczości pracy. Mianowicie, całe dzieje ludzkości dzielą się na dwie części demarkacyjną linią wytwórczości; poniżéj leżą te grupy, wytwórczość pracy których tak jest małą, że zaledwie zapewnia człowiekowi niezbędne środki do życia; powyżéj zaś téj linii wytwórczość na tyle wzrosła, że człowiek wytwarza pewien nadmiar ponad niezbędne potrzeby. Odpowiednio do tego, różne stosunki społeczne przybierają odmienną postać. W pierwszym np. przypadku—a na tym szczeblu stoją twórcy śmietnisk—nie napotkasz jeszcze niewolnictwa; jeniec zostaje albo zamordowany i zjedzony lub téż usynowiony, gdyż swą pracą zaledwie zdoła on zadość czynić swym własnym potrzebom, lecz nie wytwarza jeszcze najmniejszego nadmiaru nad tę niezbędną dla swego wyżywienia ilość. Tu również nie ma miejsca na hegemonią mężczyzny lub rodziców, kiedy

---

(1) Są to tubylcy, zabrani w 1826—1830 przez kapitana Fitz-roy do Europy i w 1832 przywiezieni z powrotem.

(2) Podobne terytorya, jak dowiódł Morgan, istnieją wszędzie u ludów opartych na ustroju rodowym. Darwin wziął to za oznakę nienawiści! „Nic nie stanowi bardziéj namacalnego dowodu nienawiści, dzielącéj te plemiona, nad ten pas neutralny“.

dziecko dosięgnie pewnego wieku—każdy tu musi na się pracować, co sprowadza za sobą zupełną równość; tak samo jeszcze tu zawcześnie na to, by mogła istniéć jakaś inna powaga. I w saméj rzeczy, w ziemi ognistéj „nie ma żadnéj władzy wśród plemienia“; „nie chce ono znać żadnych naczelników“, „nikt się nie dobija o to dostojeństwo i nikt nie miesza się w sprawy swych sąsiadów“. Wyprawy na zwierza, jako téż wyprawy wojenne uskuteczniają się na mocy ogólnego porozumienia, a „łupy dzielą się równo między uczestników“. Taka równość panuje wśród plemienia na każdym kroku. „Zaprawdę, skoro jednemu damy kawałek materyi, rozdziera ją na szmaty i dzieli: nikt nie może tu być bogatszym nad innych“. (Darwin). Kiedy wyprawa, w któréj uczestniczył Darwin, pozostawiła trzech tubylców z całym zapasem odzieży itd., to za powrotem zastała ich prawie nago. „Od chwili naszego odjazdu tubylcy poczęli obdzierać Matthewsa ze wszystkiego, co posiadał; wciąż przybywały nowe hordy. York i Jemmy stracili wszystko, a Matthews uniknął tego losu, zakopując swe skarby w ziemię. O ile się zdaje, tubylcy porozbijali lub podarli wszystko, co zabrali, i podzielili się kawałkami. Matthews padał ze znużenia; bo tuziemcy otaczali go dzień i noc i, by nie zasnął, hałasowali nad jego głową. Pewnego razu rozkazał jednemu starcowi wyjść z wigwamu; ten wnet wrócił z potężnym kamieniem w ręku. Inną razą wtargnął cały tłum z pałkami i kamieniami, a Matthews musiał go zaspakajać za pomocą podarunków; inni „chcieli go rozbierać do naga“ (Darwin). Równolegle z tém idzie „zupełny brak pojęcia własności“, tj. pojęcia własności indywidualnéj, gdyż pojęcie własności plemiennéj już istnieje, a za dowód tego służyć mogą owe terytorya neutralne (nadto prawdopodobnie przedmioty indywidualnéj pracy np. łuki, oszczepy, itd. stanowią już własność indywidualną). O związkach rodzinnych „niema mowy“, „dzieci od dwunastego roku poczynają prowadzić życie zupełnie niezależne“. Zresztą, pod tym względem u podróżników, opisujących Ziemię Ognistą, znajdujemy mnóstwo sprzeczności. Darwin np. mówi o „poligamii“, gdzie każdy mężczyzna miewa dwie żony, Bove zaś liczbę żon podnosi aż do czterech; obadwaj téż przebąkują coś o „poddaństwie kobiety“, o „jakichś „naczelnikach rodziny“, nie postrzegając, że popadają sami z sobą w sprzeczność. Przedewszystkiém bowiem, poligamia idzie ręka w rękę z takiemi warunkami ekonomicznemi, których tu jeszcze nie spotykamy. Téj formie rodziny towarzyszy zawsze ze strony kobiety pewna wstydliwość, o któréj tu nie może być jeszcze mowy, choćby z tego powodu, że obcowanie odbywa się często publicznie; nadto wtedy istniałaby ojcowska władza życia i śmierci

i nie byłoby tego zjawiska, że „nikt nie dobija się o władzę". Wytworzenie się powagi ojcowskiéj wśród rodziny prowadzi za sobą niezwłocznie powstanie powagi państwowéj. Jeżeli zaś Fitz-Roy powiada o kobietach: „wiosłują one dla swych panów i odbywają pańszczyznę, wówczas gdy ci spoczywają... mężczyźni zimą śpią najspokojniéj w wigwamie, a tymczasem kobiety nago, do pół ciała pogrążone w wodzie i bez względu na śnieg zbierają pokarm", to pomięszał on z sobą dwie nader różne rzeczy: nadmiar pracy jeszcze nie stanowi społecznego upośledzenia (1) kobiety.

Oto szereg faktów, bardziéj niż wystarczających, by na zasadzie badań antropologii porównawczéj, odtworzyć w zarysach ogólnych zasady pożycia społecznego, właściwego Fuegijczykom w szczególności, twórcom zaś śmietnisk kuchennych w ogólności. Punkt ciężkości tego obcowania spoczywa nie w warunkach terytoryalnych, lecz w związkach krwi—cecha, wspólna wszystkim ukształtowaniom społecznym wśród świata zwierzęcego: mrówkom, gromadom bobrów i in. Do pewnéj grupy społecznéj człowieka wiążą te same stosunki, co mrówkę do jéj gniazda, mianowicie wspólne pochodzenie. Równolegle z tém główną oś społeczną stanowi tu matka, co się wyraża w całym szeregu instytucyi, stanowiących obyczajowe „prawo macierzyste". Jednostką społeczną jest tu ród, tj. pewna ilość osobników, nie mogących wchodzić z sobą w związki małżeńskie. Z czasem, wskutek wzrostu, ród pierwotny rozpada się na nowe, stanowiące jednę pokrewną całość: plemię. Na tém tle, odpowiednio do wielu względów, kształtują się rozmaite stosunki członków oddzielnego rodu pomiędzy sobą, zarówno jak do członków innych rodów pokrewnych. Mogą być one w szczegółach odmienne wśród różnych grup ludzkości, lecz na tym samym szczeblu ewolucyi ekonomicznéj są one dla różnych ludów w ogólnych zarysach identyczne. Nie będziemy bliżéj zajmowali się tą kwestyą, musielibyśmy bowiem zanadto wychylić się z ramek naszego artykułu. Atoli, by choć jakie takie dać pojęcie o téj organizacyi rodowéj na szczeblu, odpowiadającym kulturze twórców śmietnisk, podamy organizacyą rodową plemion Australii, stojących prawie na tym samym stopniu rozwoju, co badane w niniejszém opowiadaniu grupy

---

(1) „Większość podróżników, widząc, że kobieta u Czerwonoskórnych jest obciążona pracą około uprawy gruntów, a nawet że na jéj barkach spoczywa stawianie namiotów, mniema, jakoby była niewolnicą. Bynajmniéj... Że u ludów barbarzyńskich praca spoczywa przeważnie na barkach kobiety, ztąd zgoła jeszcze nie wynika, by ją uciemiężano lub nią pogardzano; jeżeli zaś podróżnicy zaznaczają okrutne lub grubiańskie postępowanie z niemi mężczyzn, to raczéj pochodzi to z niskiego stopnia cywilizacyi niż ujarzmienia". (Girard-Teulon). „*Les origines du mariage*", 1884, str. 189, 122.

ludzkości. Niedawno jeszcze, ba! nawet i obecnie zapatrują się na krajowców Australii, jako na ludy, „nie znające żadnéj organizacyi społecznéj“. Lecz, oto ukazuje się dzieło zbiorowe Howitta i Fisona (1) i przed naszemi oczyma odsłania się inny widok i zamiast anarchii spostrzegamy tu ściśle określone stosunki społeczne, instyktowne, bezwiedne, wszelakoż zachowywane i ujęte w prawo obyczajowe. Dla przykładu weźmy najmniéj złożone (co do ilości rodów) plemię z pod gór Gambierskich. Dzieli się ono na dwa rody: Kumitosów i Krokosów. Wszyscy mężczyzni z pośród Krokosów uważają się za mężów każdéj kobiety z rodu Kumitosów i *vice versa*. Lecz żadna kobieta z pośród Krokosów lub Kumitosów nie może być żoną mężczyzny ze swego rodu. Dla zawarcia związków małżeńskich nie trzeba żadnych ceremonii, i kobieta dziś może zejść się z jednym, a jutro z drugim mężczyzną—lecz zawsze w szrankach zakreślonych przez powyższe prawo obyczajowe. Alić praktyka życiowa nie użytkuje z tego prawa w całéj jego rozciągłości; po większéj części wytwarza się mniéj lub więcéj stały związek jednego mężczyzny z jedną lub kilkoma kobietami, a prawo obyczajowe praktykuje się jedynie podczas uroczystości plemiennych.

---

(1) Howitt i Fison „Kamilaroi and Kurnai“ Melbourne i Sydney 1880.

Lud. Krz.





DZIEŁO O JANIE Z CZARNOLASU.

St. Tarnowski. Studia do historyi literatury polskiéj. Wiek XVI. Jan Kochanowski. Nakładem autora. W Krakowie 1888, str. XXIII, 470.

Od lat 30-stu, od czasu wydania przez p. Józefa Przyborowskiego „Wiadomości o życiu i pismach“ wieszcza z Czarnolasu, prowadzono prawie bezustanku badania nad tym poetą, czy to zastanawiając się krytycznie nad jego twórczością i wykazując wpływy, które na nią działały, czy téż przetrząsając archiwa celem odnalezienia choćby drobnych szczegółów, mogących rozjaśnić jego biografią zasianą znakami zapytania, czy wreszcie ogłaszając jego dzieła z obfitemi objaśnieniami. Cały szereg autorów brał udział w téj pracy bio- i bibliograficznéj, krytycznéj i wydawniczéj, całe dziesiątki artykułów, broszur i dziełek poświęcone były temu przedmiotowi.

Na podstawie tych robót przygotowawczych można się już było pokusić o nakreślenie wizerunku fizycznego i moralnego, któryby wskrzesił dla ogółu sympatyczną postać Jana z Czarnolasu, dał ją poznać ze wszystkich stron, we wszystkich ważnych stosunkach i do atmosfery duchowéj jego czasu i do narodu. Wiele wprawdzie, bardzo wiele pytań pozostało dotąd niezałatwionych, mnóstwo wątpliwości oczekuje dopiéro rozstrzygnięcia; ale ponieważ wszystko to, co systematycznie zrobić się dawało, okazuje się wyczerpniętém, ponieważ tylko szczęśliwemu wypadkowi można będzie w przyszłości zawdzięczać wydobycie na jaw szczegółów życiorysowych, ponieważ rozbiory krytyczne dotknęły wszystkich utworów poety: godziło się już z czystém sumieniem literackiém przystąpić do pracy skupiającéj i uogólniającéj to, co do téj pory było rozrzuconém i na szczegóły rozdrobnioném, godziło się odtworzyć życie i działalność Jana w jednolitym obrazie.

Przed laty czterema dokonał takiéj pracy na małą skalę p. Bronisław Chlebówski; obecnie na wielką—p. Stanisław Tarnowski.

Nie myślę tu porównywać szczegółowo obu tych prac, z których jedna jest szkicem tylko, druga wykończoném w szczegółach malowidłem; ale niepodobna mi nie zauważyć, że, jak to często bywa, szkic jest żywszym, wyrazistszym, bardziéj skupionym w sobie i jednolitym, aniżeli malowidło, a nadto, że wizerunek przez p. Chlebowskiego nakreślony przedstawia nam poetę w zasadniczych rysach bardzo odmiennie od portretu, jaki namalował p. Tarnowski. U pierwszego Kochanowski w młodszym zwłaszcza wieku jest człowiekiem żywo przejmującym się prądami spółczesnemi, mianowicie reformacyjnym, gdyż bierze w nich czynny udział, co wpływa potém i na dalsze jego zachowanie się wobec kwestyi religijnych, zaprawiając jego umysł sporą dozą wolnomyślności; u drugiego tymczasem „pomimo wszystkiego“, co go w pismach poety „razi i gorszy“, Kochanowski występuje jako najpobożniejszy syn kościoła katolickiego, który „zachowywał ściśle przykazania kościelne, na mszą chodził, postów nie zaniedbywał, do sakramentów przystępował“ (str. 444). Ponieważ na tę stronę ortodoksyjną a nawet formalistyczną poglądów religijnych Kochanowskiego robi p. Tarnowski w ciągu całego dzieła nacisk szczególny, ponieważ wraca do niéj przy każdéj zdarzonéj okoliczności, wydawać się może, że do uwydatnienia jéj krańcowego przyczyniły się właśnie twierdzenia poprzedniego biografa, oparte w części na przypuszczeniach, nie zaś na faktach niewątpliwych. Chęć zaprzeczenia myślom przeciwnym poprowadziła autora do stawienia hipotezy o ścisłém zachowywaniu przez Kochanowskiego przykazań kościelnych, hipotezy, która najdrobniejszym nawet faktem popartą być nie może.

Zaznaczenie tego rysu posłuży mi za punkt wyjścia do rozpatrzenia metody, użytéj przez najnowszego biografa przy pisaniu dzieła.

I.

P. Tarnowski jest przedewszystkiém świetnym mówcą, olśniewającym słuchaczów i piękną dykcyą i umiejętnie zastosowanemi gestami. W mowach, jak wiadomo, idzie nie tyle o przekonanie rozumu słuchacza, ile o wzruszenie i zjednanie go dla danych poglądów. Im wyrazy będą silniejsze, im więcéj obrachowane na wrażliwość, im ogólniéj, lecz zarazem im barwniéj rzecz jakąś przedstawiają, tém łatwiéj dostają się do umysłu, tém skuteczniejszy wywo-

łują efekt. Nie cieniowanie myśli, nie ścisłość faktyczna i logiczna, lecz stopniowanie retoryczne wyrazów i wyrażeń jest tu przymiotem głównym. Kto rozbiera na mównicy szczegóły zbyt skrupulatnie, może wywołać ziewanie — najstraszniejszy objaw dla krasomówcy. Wszystko na mównicy zależy od umiejętności skorzystania z chwili, od zdolności utrzymania audytoryum w ciągłém naprężeniu uwagi. Superlatywy na dół i w górę są tu pożądane a nawet konieczne, by nie mrozić uczucia, by przytrzymać uwagę.

Właściwości, które p. Tarnowski z takiém powodzeniem rozwija na katedrze, przeniósł i do dzieła, nie zważając, że to dzieło jako obszerne i szczegółowe musi być czytane częściami, rozważnie, chłodno, że od niego żąda się dokładności i ścisłości, że w niém nie o to iść powinno, iżby autora podnieść pod niebiosa lub podeptać, lecz o to, ażeby go dać dokładnie i wszechstronnie poznać na podstawie dokumentów, krytycznie roztrząśniętych. Wynikiem takiego zastosowania zdolności przeważnie retorycznych do pracy umiejętnéj jest, że dzieło o Kochanowskim czyta się z zajęciem, utrzymuje istotnie uwagę czytelnika w natężeniu, czaruje niekiedy świetnemi zestawieniami i porównaniami, ale nie zadawalnia wymagań naukowych.

Objaśnię to kilku przykładami.

O wpływie Ronsarda na Kochanowskiego pierwszy rozpisał się Wiszniewski, podając niczém nieudowodnione twierdzenia. W najnowszych czasach starano się przez szczegółowe rozpatrzenie dzieł Ronsarda i Kochanowskiego dotrzéć do prawdy; rezultat tych poszukiwań okazał, że o znaczném, istotném oddziaływaniu pism poety francuskiego na polskiego nie może być mowy, bo wyraźniejsza cokolwiek reminiscencya z Ronsarda u Kochanowskiego jest zaledwie jedna, a inne podobieństwa mają dowodnie swe źródło we wspólnéj dla jednego i dla drugiego lekturze autorów starożytnych.

P. Tarnowski wié o tém, przyznaje sam, że naśladowania Ronsarda u naszego poety nie ma; a jednak rozpisuje się na 25 stronicach o stosunku obu poetów, oczywiście większą część tych stronic poświęcając Ronsardowi, a więc temu, co z przedmiotem dzieła w ścisłym związku nie jest. Dlaczego tak robi? Oto, ażeby raz przecie rozpatrzyć szczegółowo kwestyą Ronsardowską, ażeby zabrać głos w sprawie, która kilku autorów przed nim już zajmowała. Zauważyć można, że na taki ekskurs miejsce odpowiedniejsze byłoby w dodatku na końcu książki, a nie w głównym jéj tekście, który ma przedstawiać działalność samego Kochanowskiego i wpływów, oddziaływujących nań rzeczywiście.

Ale to rzecz mniejsza, choć pod względem konstrukcyjnym ważna; dziwniejszém a nawet nieco gorszącém jest to, że p. Tarnowski chcąc przed sobą i czytelnikami usprawiedliwić długą rozprawę o Ronsardzie, pragnie dowieść wpływu tego, lubo nie dostrzega naśladownictwa; ażeby zaś okazać ten wpływ, zapomina zupełnie o dziejach literatury powszechnéj i wypowiada szereg twierdzeń niezgodnych z rzeczywistością.

P. Tarnowski „bez prawnego dowodu, bez dokumentu poręczającego" przyjmuje wpływ Ronsarda „za nieuniknioony, za konieczny, za pewny", twierdząc w formie krasomówczéj, że w „interesie dobréj sławy naszéj poezyi byłoby raczéj szukać tego wpływu i dowodzić go niż go przeczyć." Nie w interesie „dobréj sławy" naszéj poezyi wprawdzie, ale w interesie „prawdy" należy badać to wszystko, co do rozjaśnienia jéj posługuje, lecz przy badaniu trzeba koniecznie liczyć się dobrze z faktami. P. Tarnowski widzi wpływ Ronsarda na Kochanowskiego w tém, że go pobudził do pisania po polsku, to jest w języku ojczystym, dając mu przykład przyswojenia form poezyi starożytnéj w języku francuskim. I dlaczegoż to właśnie Ronsard a nie ktoś inny t a k oddziałał na poetę naszego? Czytamy odpowiedź na takie pytanie ze zdumieniem: Ronsard „jest pierwszym w swoim kraju, m o ż e p i e r w s z y m w E u r o p i e w tym okresie epoki odrodzenia, który rozpoczyna propagandę, rewolucyą" przeciw językom starożytnym na korzyść nowoczesnych i „stoi z pewnością w pierwszym rzędzie między tymi, którzy dali początek dzisiejszym indywidualnym narodowym literaturom europejskim." Ale może to pomyłka druku? Zagląda się do erraty; niéma sprostowania. I być go nie może, gdyż bezpośrednio potém ciągnie autor daléj: „Humanista dawniejszy, W ł o c h z XV i pierwszéj połowy XVI wieku, a za jego przykładem Francuz, Niemiec czy Polak, w swojém uwielbieniu dla starożytnych zdaje się nie czuć tego, że to literatury skończone i umarłe; chce i mniema przeciągać ich życie, pisze jak oni, i c h j ę z y k i e m i n a t é m p r z e s t a j e. Mniema, że następuje on po Tybullu i Horacyuszu, jak mniema, że tamci nastąpili po Grekach, ciąg zdaje mu się być nieprzerwanym: zawsze to ta sama tylko wskrzeszona, odrodzona poezya" (str. 119). I dopiéro Ronsard nie chce daléj galwanizować trupa, ale rozumiejąc i podziwiając piękności starożytnych, chce je przenieść do własnego języka, żeby stworzyć poezyą francuską, którаby była tamtym równa!... Czytając te i dalsze wywody, oczom się własnym nie chce wierzyć, a pamiętając, że to pisze człowiek uczony, zaczyna się wątpić o swojéj wiedzy, zagląda się do książek dla sprawdzenia dat i przekonywa się, że niedowie-

rzanie wywodom autora było uzasadnione, bo wszystkie głośne nazwiska poetów włoskich, którzy formy starożytne do języka ojczystego wprowadzili, przypadają na ten wiek XV i pierwszą połowę XVI, kiedy to, według p. Tarnowskiego, Włoch pisze tylko w języku łacińskim i na tém przestaje. Bojardo umiera w 1494, Pulci żyje od 1431 do 1487, Aryost od 1474 do 1533, Trissino od 1478 do 1550. Ależ dosyć. Toż chyba ci poeci dokonali czegoś więcéj dla swojéj i europejskiéj literatury aniżeli Ronsard. Jeżeli od kogo z cudzoziemców, to prędzéj od Włochów niż od Francuza mógł się nauczyć Kochanowski, jak formy starożytne przenosić do mowy i literatury ojczystéj, boć poezya tamtych była świetniejsza i bogatsza od ówczesnéj francuskiéj, bo tam o wiele wcześniéj i lepiéj zrobiono to, co zrobił późniéj Ronsard. A że Kochanowski znał włoską literaturę, dowodzą wzmianki o Petrarce i Dantem, dowodzi przekład z Petrarki i naśladowania Aryosta, jak to wykazał p. Chlebowski w artykule, widocznie p. Tarnowskiemu nieznanym, pomieszczonym w „Tygodniku ilustrowanym“ z r. 1884 (N. 86—88) p. n. „Pobyt Kochanowskiego na dworach panów małopolskich.... i słówko o wpływie Ariosta na polskiego poetę.“

Cały więc wywód o „konieczności“ wpływu Ronsarda na Kochanowskiego polega u autora na dziwném zapomnieniu o rzeczywistym przebiegu literatury powszechnéj, na przyznaniu Ronsardowi takiéj w niéj roli, jaka mu się nie należy, a jaką o wiele wcześniéj przed nim odegrali Włosi (1). Nie nieznajomość rzeczy zapewne stała się przyczyną tego zapomnienia, lecz chyba retoryczny zapęd do skupienia całego blasku reformatorskiego na osobie Ronsarda, ażeby olśniony czytelnik łatwiéj mógł uwierzyć w „konieczność“ przejęcia się jego przykładem przez naszego poetę.

Ale retoryka to nie dowód. Nie może téż ona przekonać uważnego czytelnika o inném twierdzeniu autora, pokilkakrotnie w ciągu dzieła na rozmaite tony powtarzanemu, iż Kochanowski „bez poprzedników i przygotowań“, stworzył język poetyczny pol-

---

(1) Podobnegoż rodzaju zapomnienie znajdujemy w pobocznéj wzmiance o wzorach sielanki u nas. Zdaje się autorowi, że odkrył rzecz nową i ciekawą. Oto upatruje „widoczne podobieństwo“ między Ronsardem i Szymonowiczem w tém, „że jeden i drugi daje ten kształt sielanki okolicznościowym panegirykom“, a zwłaszcza w tém, „kiedy się zobaczy u Ronsarda pasterzy ś p i e w a j ą c y c h o z a k ł a d, mniema się chwytać Szymonowicza na gorącym uczynku naśladowania“ (str. 128). Biedzi się nad tém p. T. skąd Ronsard wziął ten „pastersko śpiewaczy turniéj“ i dochodzi do przypuszczenia, że od Sannazara. Szkoda, że nie zadał sobie pytania, skąd go wziął Sannazar, bo wtedy zajrzawszy do Teokryta i Wergiliusza, pozbyłby się kłopotu i nie potrzebował chwytać Szymonowicza na gorącym uczynku naśladowania ani Ronsarda, ani Sannazara.

ski „z niczego.“ Pięknie to brzmi, podnosi człowieka, o którym się to mówi, bardzo wysoko, tak, że autor sam raz twierdzi, iż Kochanowski zrobił pod tym względem „więcéj może niż jakikolwiek na świecie poeta“, a drugi raz wyszukuje mu równych tylko w Homerze i w Dantem; — ale niestety! zarówno ze względu na teoryą rozwoju, jak i na fakta namacalne uwierzyć temu niepodobna. Teorya rozwoju uczy, że w twórczości ludzkiéj tak jak w działaniu przyrody wogóle nie ma nagłych skoków, że doskonałość żadna nie pojawia się nigdzie całkowicie i odrazu, lecz ma mnóstwo przygotowań i poprzedniczek;—a fakta z dziejów literatury polskiéj wykazują, że teorya ta ma słuszność i w zastosowaniu do Kochanowskiego.

Sam p. Tarnowski na początku dzieła był w téj mierze na dobrym tropie, lecz go następnie zgubił, ze szkodą dla całości poglądu i dla swojéj konsekwencyi. Wspominając (na str. 14) o jedném dziele tłómaczoném z łacińskiego r. 1526, nie może się wychwalić swobody, giętkości, pewności i śmiałości, jaką okazał tłómacz w swoim języku i stylu, i dodaje, że język nasz przed urodzeniem jeszcze Kochanowskiego „był dla niego więcéj przygotowanym i obrobionym, niż my zazwyczaj myślimy.“

Gdyby się p. T. trzymał był téj myśli w rozwinięciu swego dzieła, to byłby się okazał zarówno sprawiedliwszym dla poprzedników Kochanowskiego wogóle a dla Reja w szczególności, jak nie mniéj byłby ściślejszym w skreśleniu tego, co Jan z Czarnolasu dla języka i wierszowania polskiego zrobił. Wówczas nie byłby napisał, że „wszystkie formy wiersza, wszystkie strofy, wszystkie rytmy“, jakich Kochanowski używał, „on sam wyrobił, wykształcił, stworzył.“ Wtedyby nie był skreślił tych dość dziwnie brzmiących w ustach profesora literatury polskiéj wyrazów: Przed Kochanowskim „były z a p e w n e jakieś kulawe wiersze, ale nie było dźwięków, nie było rytmu, nie było form“ (str. 134). Gdyby bowiem sam nawet nie chciał zadawać sobie zmudnéj pracy badania, jakie zwrotki, jakie rodzaje wiersza znane były przed Kochanowskim, to zajrzałby do rozprawy p. Bruchnalskiego „O rymie w poezyi polskiéj“ (1885) i „O budowie zwrotek w poezyi polskiéj do J. Kochanowskiego“ (1886) i byłby mógł na ich podstawie orzec, co rzeczywiście nowego w wierszowaniu Jana znajdujemy.

Ale autor zapomniał o potrzebie gienetycznego wywodu zjawisk literackich, czy téż go lekceważył i dla względów krasomówczych wolał wszystko przyznać jednemu człowiekowi. Nie potrzeba chyba zbijać takiego nienaukowego twierdzenia, dość będzie wskazać, że autor ile razy wychodzi po za ogólniki pochwalne i chce przykładowo objaśnić, co Kochanowski wniósł do wierszo-

wania polskiego, tyle razy mimowoli dowodzi, że poprzedników poety i to najznakomitszych nie poznał należycie. I tak twierdzi on stanowczo, że wiersz trzynastozgłoskowy, którego następni poeci tak często używali, pierwszy raz pojawia się w pismach Jana z Czarnolasu (str. 393). Rozwodzi się nad tém dość szczegółowo, wymienia, kto go po Kochanowskim w poezyi stosował, dodając patetycznie, że największém uświęceniem i chwałą tego wiersza jest, iż nim pisany był *Pan Tadeusz*.

Gdyby Kochanowski rzeczywiście pierwszy użył tego wiersza. lub gdyby go przynajmniéj zastosował na większą niż ktokolwiek przed nim skalę, cały wywód autora byłby na miejscu. Ale niestety, nasz Jan musi odrzucić tę oratorską pochwałę; bo oto przed nim już, ten Mikołaj Rej, którego p. Tarnowski tak lekceważąco, tak niesprawiedliwie, za przewodem chyba Józefa Szujskiego, traktuje, używał owego 13-zgłoskowego wiersza bardzo często, jeszcze w r. 1545 w „Żywocie Józefa“, kiedy Kochanowski jako piętnastoletni młodzian w akademii się uczył; a potém tenże Rej w r. 1558 napisał cały poemat „Wizerunek“, przeszło 10,000 wierszy obejmujący tymże samym 13-zgłoskowym wierszem.

Jeżeli taki doniosły fakt literacki uszedł uwagi autora, to czyż może miéć istotną wartość krytyczną to wszystko, co mówi wogóle o stworzeniu „z niczego“ przez Jana języka i wiersza w naszéj poezyi?

A dodać potrzeba, że w owym „Wizerunku“ są wiersze, którym kompetentni znawcy niepospolite piękności przypisują. Tak np. Aleksander Tyszyński („Wizerunki polskie“ str. 78) zacytowawszy z poematu Reja znaczny ich poczet, dodaje: „Gdybyśmy nie czytali tych wierszy w struchlałych od starości egzemplarzach, drukowanych literami gockiemi, możnaby sądzić, iż to wiersze gładzone przez jakiegoś z talentem wydawcę z wieku XVIII-go.“

A jak nie był Kochanowski wynalazcą 13-zgłoskowego wiersza, tak téż i 14-zgłoskowy, który się panu Tarnowskiemu podoba (str. 218), jako „d z i w n i e majestatycznego toku i zdolny d z i w n i e do oddania głębokich tonów lamentu i skargi“ (str. 393) nie jest również „stworzony“ przez Jana, lecz kilkakrotnie użyty był przez owego nieszczęsnego Reja i to w takich ustępach „Żywota Józefa“, które miały charakter refleksyjny, np. gdy rozmyśla Józef w trzeciéj „rozprawie“ (przedruk Wójcickiego str 339):

„Ach, toć wielka łaska pańska, kogo rozum rządzi,
A kto z niego namniéj spadnie, jako marnie zbłądzi....
Wiem téż, co jest jako dziwnie srogi gniew niewieści,
Tam niemasz żadnéj litości, tam pomsta bez wieści;
Żadna straż nie jest tak czujna, by cię ustrzedz miała,
Zawżdy trwoga, zawżdyś więźniem, kiedy będzie chciała“ i t. d.

Ma p. Tarnowski w tych wierszach Reja ten sam układ, który tak wychwala u Kochanowskiego, owe „dwa naturalne przestanki, dwa spadki głosu po czterech pierwszych i czterech drugich sylabach“; ostatnie sześć tak samo jak u Jana z Czarnolasu „już się nie dzielą“.

Nie dlatego naturalnie przywodzę te szczegóły, ażeby odmówić Kochanowskiemu zasług położonych względem poezyi polskiéj, ale jedynie dla wskazania, że metoda retoryczna p. Tarnowskiego poprowadziła go na bezdroża. Autor przyznaje Kochanowskiemu to, czego mu ściśle i słusznie przyznać niepodobna, a nie wskazuje istotnych nabytków, jakie przezeń poezya polska uczyniła.

Nie zapuszczając się tutaj w wyliczanie wszystkiego, czego w zakresie wersyfikacyi naszéj Kochanowski był istotnym inicyatorem, wspomnę tylko, że wprowadził on u nas dwie formy włoskie: *sonet* i *terza rimę*, o czém w dziele p. Tarnowskiego najlżejszego nie ma napomknienia, może z niedopatrzenia a może z niechęci do przyznania wpływu poezyi włoskiéj na Kochanowskiego.

Co tu przykładowo o wierszowaniu powiedziałem, to możnaby zastosować w znacznéj mierze do samego języka poetyckiego, który miał Kochanowski stworzyć „z niczego“. Pewniejszém i bardziéj uzasadnioném byłoby twierdzenie, że poeta nasz udoskonalił to, co było, do wyższéj artystycznéj skali podniósł, bo język nasz poetycki miał już przed Kochanowskim nie jakieś „kulawe wiersze“, ale posiadał i „dźwięk i rytm i formę“, choćby w „Wizerunku“ i „Zwierzyńcu“ Reja.

A kwestya języka i wiersza, to nie drobiazg bynajmniéj, jakby się komuś zdawać mogło, to rzecz pierwszorzędna w XVI wieku i w zastosowaniu do Kochanowskiego. Poeta nasz nie przyniósł nam nowych oryginalnych myśli i pomysłów, nie celował ani jako filozof, ani jako polityk, bo i w jednéj i w drugiéj dziedzinie wiedzy powtarzał to, co czytał i słyszał; więc też strona zewnętrzna jego poezyi musi być szczegółowo i ściśle roztrząsana. Bez panegiryzmu i bez krzywdy poprzedników zostanie dla niego bardzo wielka i bardzo piękna zasługa, tylko potrzeba ją krytycznie wynaleźć i wskazać; komunał zaś o stworzeniu przezeń języka „z niczego“ poparty zupełnie fałszywemi dowodami, już dzisiaj musi być wrzucony do składu archeologicznego. Gdyby zamiast na 16 stronicach kreślić „portret“ Myszkowskiego, podał był autor zarys stanu literatury naszéj w czasie wystąpienia Kochanowskiego na widowni poezyi, toby dokonał istotnego przyczynku do poznania właściwéj w niéj roli Jana i nie popadałby w takie twierdzenia, że to i owo pierwszy Kochanowski wprowadził, że „Satyr“ był pierwszą satyrą polską i tym

podobne gołosłowne, bezdowodne opinie osobiste, których żaden chyba historyk literatury nie podpisze.

P. Tarnowski często wprawdzie powołuje się na badania i sądy innych, ale widocznie nie poznał całości poszukiwań krytycznych do Kochanowskiego odnoszących się, gdyż pomija kwestye ważne roztrząsane już w naszéj literaturze i zasługujące na to, ażeby je autor dzieła o Kochanowskim rozważył.

I tak. Znane opowiadanie o przysłaniu pieśni „Czego chcesz od nas panie“ z Paryża było już nieraz poddane w wątpliwość, a ostatnio p. A. Brückner w rozprawie poniemiecku napisanéj o Kochanowskim (Archiv für slavische Philologie, tom VIII, r. 1885) z „powodów wewnętrznych, z ducha i doskonałości języka“ téj pieśni wniósł, iż należy ona do najdojrzalszych tworów poety i że powstała pod wpływem tłómaczenia psalmów, wskazując mianowicie psalm 65 i 104. Do téj wskazówki dodać winienem ze swéj strony, że czy to myśli czy charakterystyczne wyrażenia téj pieśni znajdują się i w innych psalmach (a mianowicie 19, 24, 33, 36, 67, 74, 89, 102, 145), tak iż wszystkie niemal jéj wiersze odnaleźć się dadzą w owych pieniach hebrajskich.

Ponieważ zaś pieśń ta po raz pierwszy drukowana była przy „Zuzannie“, należącéj do najpierwszych druków Kochanowskiego, wnieść-by należało, że już wtedy poeta nasz tłómaczeniem psalmów się zajmował. W każdym razie przyjmować opowieści o przysłaniu tego utworu z Paryża bez krytyki już niepodobna. P. Tarnowskiemu uwielbiającemu doskonałość stylu, malowniczość, umiejętność używania epitetów, których „sam Mickiewicz nie używał lepiéj“— nie przychodzi nawet na myśl pytanie, że ta doskonałość odrazu, za jednym rzutem powstać nie mogła, że musiała mieć swoje wzory, swoje przygotowania; P. T. ma gotową formułkę na zaspokojenie ciekawości—natchnienie, samodzielność poety. Biograf zna przecież Psałterz, boć go rozbiera, ale gdy pisał o pieśni „Czego chcesz od nas, panie“ nie przypominał sobie zwrotów w nim zawartych i śmiało twierdzi, że w pieśni nie byłoby „oczywiście“ owéj malowniczości wyrażeń, „gdyby pisarz sam o c z y m a d u s z y nie widział w poetyczném świetle i kształcie tych pór roku, tych zbóż zagorzałych, tego gwieździstego nieba“ (str. 112). Podoba mu się szczególniéj „kłosiany wieniec“, bo jeszcze przy końcu książki, kiedy sumuje zasługi Kochanowskiego, podnosi to wyrażenie, przytaczając je za dowód czerpania obrazów poetycznych wprost z życia, za „o c z y w i s t ą reminiscencyą polskich żniwiarek“ (str. 436), Szkoda tylko, że ta oczywistość istnieje jedynie dla autora, boć nam wiadomo, że „kłosiany wieniec“ to tylko przekład łacińskich *spiceum*

sertum lub *spicea corona* często powtarzających się u poetów rzymskich np. w Metamorfozach Owidyusza (ks. II w. 28), gdzie tak samo jak u Kochanowskiego lato chodzi w wieńcu kłosianym: *Stabat nuda Aestas et spicea serta gerebat*...

A jak w sprawie pieśni „Czego chcesz od nas, panie", tak i w kwestyi przekładu „Psałterza" autor nie zna rzeczywistego stanu badań naukowych. P. Brückner we wspomnianéj już rozprawie zrobił interesujące i ważne odkrycie, iż za wzór w tłómaczeniu służył naszemu poecie przekład łaciński Szkota Buchanana, iż z niego to wziął pomysł zastosowania do psalmów zwrotek różnorodnych, zamiast powszechnego przedtém w łacińskich wersyach wiersza elegicznego, że w pojmowaniu wielu ustępów poszedł widocznie i dowodnie za Buchananem. P. Tarnowski o tém wszystkiém milczy i wszelkie zalety przekładu przyznaje pomysłowości samego Kochanowskiego.

Z powyższych szczegółów wynika wniosek, że autor dzieła o wieszczu z XVI wieku daje się unosić nastrojowi retorycznemu, nie liczy się ściśle z faktami historyi literatury powszechnéj i polskiéj, nie zna dokładnie badań poprzedników swoich, przyjmuje wiele twierdzeń bezkrytycznie, a wiele opinii własnych bez żadnego dowodu za fakta podaje, a więc pod względem metodycznym popełnia błędy zasadnicze.

II.

Atoli nawet bez metody ściśle naukowéj pisarz utalentowany może dokonać rzeczy pięknych, rozumnych i godnych uznania. I takich w dziele p. Tarnowskiego nie brakuje.

Przedewszystkiém ma ono tę zasługę, że co było dotychczas rozproszone, skupia w pewną całość, daje możność szerszemu ogółowi przyjrzenia się postaci i działalności Kochanowskiego zbliska i szczegółowo. Całości téj nie można wprawdzie nazwać doskonałą, gdyż są w niéj błędy i usterki rażące, są rysy, które badacz krytyczny musi stanowczo usunąć, są inne, które będzie trzeba zmodyfikować; ale bądź-co-bądź istnieje już przez nią w literaturze naszéj wizerunek poety malowany ładnie i dość starannie.

Ale obok téj zasługi ogólnéj ma dzieło p. Tarnowskiego zalety szczegółowe. W niém pierwszém mamy dokładny obraz urządzenia uniwersytetu padewskiego, gdzie Kochanowski kilkoletnie studya odbywał; w niém pierwszém spotykamy wybornie odmalowane tło obyczajowe, na którém postać autora „Fraszek" daje się należycie zrozumieć; w niém pierwszém otrzymaliśmy rozbiór estetyczny ele-

gij łacińskich; w niém pierwszém wreszcie znajdujemy opowiadanie o życiu i twórczości poety z nieprzerwaném uwzględnianiem stosunków krajowych.

Zdziwić się może czytelnik, że w powyższém wyliczeniu zalet dzieła nie ma wzmianki o rozbiorze estetycznym utworów polskich Kochanowskiego. Od takiego subtelnego znawcy piękności poetyckich jak p. Tarnowski można było oczekiwać dobréj i wyczerpującéj analizy „Pieśni“, „Odprawy posłów“, „Trenów“. Otóż pod tym względem spotyka nas niejaki zawód. Rozbiory i tych i wszystkich innych dzieł polskich są oczywiście w zajmującéj nas książce, lecz nie zawierają takich uwag, takich poglądów, któreby zwrócić mogły na siebie baczniejszą uwagę.

Mówiąc o najcelniejszych utworach Kochanowskiego autor powtarza tylko, naturalnie innemi słowy, to, co dawniéj już o nich wypowiedziano; zachwyt swój nad niemi wyraża ogólnikami i wykrzyknikami, które nie są w stanie wyjaśnić nam, dlaczego to i owo, dlaczego całość jakaś artystyczna jest piękna. Tak np. arcydzieło niewątpliwe Kochanowskiego „Treny“ rozpatrzone jest na 20 stronicach; ale cóż tu spotykamy? Najprzód rzut oka na doówczesne życie poety, dla powiedzenia, wbrew zresztą szczegółom poprzednio rozwiniętym, że było ono „bardzo szczęśliwe“, oczywiście po to, ażeby powiedzieć, że teraz dopiero przez śmierć Urszulki spadł na poetę grom. Potém idzie streszczenie rozpraw o Trenach: Szujskiego, Faleńskiego, Nehringa, Kallenbacha. Następuje uwaga, że poezye czysto-liryczne wymykają się z pod sądu krytyki. Daléj czytamy króciutkie uwagi nad pięknością „Trenów“ w tym np. rodzaju: „Szósty, w którym rozpamiętywa wdzięki swego dziecka, jego wczesny rozum, jego czułość dla rodziców, jest niezawodnie z n a j r z e w n i e j s z y c h, a zwłaszcza jego druga połowa, gdzie opisuje, jak konające dziecko żegnało się z matką, jest d z i w n i e p r z e j m u j ą c a“ (str. 407). W końcu najszerzéj rozwinięte uwagi o prawowierności poety. Nie przeczę bynajmniéj, że ocena piękności jest wszędzie trafna, lecz przedstawia się tylko jako proste wypowiedzenie opinii, bez uzasadnienia jéj motywami, któreby nas przekonywały.

Nie zadawalnia także ogólny pogląd na charakter i działalność Kochanowskiego; są bowiem w tym poglądzie sprzeczności i paralogizmy, są twierdzenia nieuzasadnione, które sprawiają, że prawdziwym nazwać go nie można. Dwa razy go podaje p. Tarnowski: na początku i na końcu dzieła. To co napisał na początku nie zupełnie się zgadza z tém, co wypowiedział na końcu, a to znowuż nie

zostaje zawsze w ścisłym związku z wywodami, jakie w środku się znajdują.

Na początku uwydatnia autor wielką harmonijność duszy Jana z Czarnolasu; przy końcu, chociaż chciałby widocznie tę harmonijność w nim widziéć, nie może przecież zamknąć oczu na szereg walk, jakie w duszy poety wrzały i bodaj czy kiedykolwiek się uspokoiły. Mianowicie chcąc bądź-co-bądź widziéć w poecie człowieka wiernego uczuciu katolickiemu i tradycyi katolickiéj, a nie mogąc zakryć i wątpień wyraźnych zarówno w młodości jak w ostatnich latach życia, ani sarkazmów wymierzonych przeciw papieżowi, duchowieństwu i mnichom, ani wierszy pochwalnych na cześć żeniącego się biskupa; musi wyznać, że pobożność i sceptycyzm, wiara i przeczenie były w duszy poety obok siebie „długo, stale, można powiedziéć przez całe życie“. Stara się wyjaśnić a przynajmniéj opisać to zjawisko, nie dowodzące wcale zharmonizowania sprzeczności. „Raz jedno—powiada—drugi raz drugie odzywało się silniéj, ale żadne nie wzięło góry nad drugiém tak stanowczo i zwycięsko, iżby je nazawsze wyparło i powrotu nie dopuściło“. Powiada, że byłto „stan nienaturalny i nielogiczny“ którego wytłómaczenia szuka w tém, że to był „stan ogólny, stan całego jego czasu, spowodowany nagłym i tak niezmiernie silnym wybuchem i zelewem pojęć starożytnych i protestanckich“. Jakim sposobem p. Tarnowski zaznaczywszy taki stan poety przychodzi do twierdzenia, iż Kochanowski mimo to zachowywał ściśle przykazania kościelne, to byłaby rzecz niepodobna do zrozumienia, gdybyśmy nie wiedzieli, że myśl jakaś z góry, tendencyjnie powzięta przesłania nam widok nawet przedmiotów dotykalnych, odbiera nam możność bezstronnéj ich oceny.

Jeżelibyśmy chcieli znaleźć na to inny jeszcze dowód, nie będziemy go potrzebowali szukać daleko. Wystąpi on tu jaskrawo i wskaże, jak argumentuje tendencya. Przytaczając za przykład przekonań katolickich u Kochanowskiego poemat jego „Satyr“, dodaje p. Tarnowski, że możnaby uważać wypowiedziane tu poglądy za wyraz utylitaryzmu tylko politycznego, „gdyby *Satyr* nie wyrzekał się nowych wiar tak stanowczo i tak zasadniczo, gdyby nie godził tak celnie i śmiało w samę istotę protestantyzmu, mówiąc, że nie j e g o rzecz sądzić o wierze“ (str. 443).

Z układu zdania i z jego znaczenia wynikałoby, że Kochanowski, pod figurą „Satyra“, odmawia protestantom prawa sądzenia o wierze, godząc w „samę istotę protestantyzmu“, to jest w jego zasadę, jak to w innéni miejscu wywodzi p. Tarnowski (str. 432), iż

„robi umysł ograniczony i skończony i zmienny najwyższą instancyą w sprawie prawdy nieograniczonéj, nieskończonéj, niezmiennéj.“

Tymczasem wziąwszy do ręki tekst poematu, znajdziemy zupełnie co innego. Ani protestantyzmowi, ani sobie nie zaprzecza „Satyr“ prawa sądzenia o wierze, ale tylko powiada, że nie chce się „wdawać w rzecz“, t. j. rozprawiać o „wierze“ z protestantami, bo jest w tym względzie prostakiem, który ceni więcéj wykonywanie cnót chrześciańskich, niż dysputy o dogmatach:

Dobrym chrześcijaninem nie tego ja zowę,
Co umie dysputować i ma gładką mowę,
Ale kto żywie według woléj pana swego,
Tego ja barziéj chwalę niźli wymownego.

Jeżeli zaś który protestant uważa się za uzdolnionego do prowadzenia rozpraw teologicznych, a więc do „sądzenia o wierze“— jak się wyraża p. Tarnowski przeinaczając słowa tekstu, to go „Satyr“ odsyła do Trydentu, ażeby tam zdolność tę wyprobował. Wyraźniéj i jaśniéj mówi to Kochanowski w „Zgodzie“ napisanéj na krótko przed „Satyrem“:

Oto teraz w Trydencie biskupi zasiedli,
Aby lud roztargniony ku zgodzie przywiedli:
Tam się stawcie wy wszyscy, którzy powiadacie,
Że *u siebie naukę gruntowniejszą* macie;
Tam się stawcie, jeśli nie rozterku pragniecie,
Ale tylko *dla Pańskiéj chwały* spór wiedziecie.

Gdzież tu Kochanowski godzi „celnie i śmiało“ w samę istotę protestantyzmu? Wszak on uznaje nawet prawo dysputowania o wierze, jeżeli każe protestantom udać się na sobór i okazać „gruntowniejszą naukę.“ Ażeby dojść do takiego wykładu, musiał p. Tarnowski w ustępie z „Satyra“ przemienić całe zdanie i zamiast: „nie chcę się z tobą w rzecz wdawać o wierze“, zacytować w cudzysłowie: „nie jego rzecz sądzić o wierze“, odnosząc w dodatku zaimek jego do protestantyzmu.

Kochanowski w całéj téj sprawie zachowuje wielką ostrożność, każąc oczekiwać rodakom na wynik narad w Trydencie, których charakter pojmował wprawdzie błędnie,— gdyż sądził, że tam dopuszczeni będą do głosu protestanci, — ale w każdym razie szczerze. Mówi on w „Zgodzie“:

A wy tymczasem bądźcie, Polacy, cierpliwi,
Aż się jawnie pokaże, gdzie prawi, *gdzie* krzywi.

Nie myślę ja bynajmniéj robić z Kochanowskiego w latach pisania „Zgody“ i „Satyra“ (r. 1562, 1563) zwolennikiem protestantyzmu, owszem przyznaję, że wtedy, a mianowicie też pisząc „Satyra“

był widocznie po stronie katolickiéj; ale nie podobna mi wobec wyraźnych wyznań samego poety przystać na to, jakoby poeta nasz miał godzić „w samę istotę“ ówczesnéj rewolucyi religijnéj.

Ocena ogólna stopnia talentu Kochanowskiego jest zupełnie słuszna i trafna, lecz także nie wolna od retorycznych superlatywów, które mącą jasność i ścisłość charakterystyki. Nie należał nasz Jan do rzędu poetów wielkich — powiada p. Tarnowski — jego wyobraźnia nie musiała być bardzo silna, skoro się tak mało rwała do tworzenia większych poematów i „nigdy z zupełnym skutkiem“; jego rozum, dobry i wcale niepospolity, gienialnym przecież nie był; samo uczucie, choć głębokie i rzewne, nie ukazuje się nigdy w wielkiéj potędze; z takiém usposobieniem, z takim zakresem zdolności on mógł być tylko poetą drugiego rzędu. „Ale pomiędzy takimi— dodaje — niewielu jest obdarzonych tak szczęśliwie, złożonych tak harmonijnie. Zdolność poety, charakter człowieka, rodzaj życia, wszystko sobie odpowiada, wszystko jest jednéj miary, a z téj harmonii w duszy człowieka płynie wielki wdzięk jego poezyi. Piękność jego polega *w* wielkiéj prostocie, *w* wielkiéj rzewności uczucia, *w* tém natchnieniu, które nigdy nie buja bardzo wysoko, ale zawsze umie zastosować się do przedmiotu i przyjąć ton, jaki jemu przystoi.... Poezya ta jest nie tylko idealną, nacechowaną poetyczném i piękném pojmowaniem rzeczy, jest jeszcze poezyą szlachetnego i zacnego serca, jest piękną nie tylko poetycznie, ale i moralnie, nie w tém znaczeniu, jakoby miała moralizować czytelnika, ale że każda myśl, każde słowo poety dowodzi, iż poeta wszystko co czuje, czy to uczucie odnosi się do Boga czy do ludzi, do ojczyzny czy do rodziny, do natury czy do abstrakcyjnéj, idealnéj piękności we wszystkiém, zawsze on czuje dobrze i pięknie“ (str. 447).

Charakterystyka ta napisana pięknie i—z wyjątkiem owéj mniemanéj harmonii, o któréj już była mowa — bardzo trafnie; ale nietrafném jest to, co mówi następnie autor o stworzeniu języka z niczego, niesłuszném to, co wypowiada o poprzednikach Kochanowskiego, a zwłaszcza o Reju („rzemieślnik pozbawiony zdolności“); pustym frazesem to, że Jan był „natchniony w e w s z y s t k i é m, co pisał“, boć sam autor wytyka w ciągu dzieła poezye słabe i prozaiczne; bezwartościową retoryką wreszcie to, co na uwieńczenie swego dzieła podaje o możności poznania z pism poety całego ruchu cywilizacyjnego w Polsce XVI w. „Jeżeli chcesz wiedzieć — mówi p. Tarnowski—jakim był wiek XVI w Polsce, poznać go w jego religijnych uczuciach i walkach, w jego politycznych pojęciach i dążeniach, w jego filozoficznych dociekaniach i wątpliwościach, w jego moralném i umysłowém i towarzyskiém życiu, w nastroju

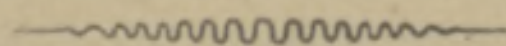
jego uczuć, smutku czy radości, w jego wesołości i żarcie; jeżeli chcesz poznać, czém była cywilizacya polska XVI wieku, jak wyglądała na stopniu najwyższym, którego dosięgła, czytaj Kochanowskiego, bo to wszystko znajdziesz w nim, tego się z niego możesz dowiedziéć z pewnością“ (str. 451).

Gdyby to było prawdą, charakterystyka poprzednia fantazyi, rozumu i serca Kochanowskiego okazałaby się nieprawdą; gdyż taki poeta, „we wszystkiém natchniony“, w którego pismach odbijałby się cały ruch cywilizacyjny narodu danéj chwili, musiałby być gieniuszem nazwany. Tak nie jest; p. Tarnowski ze str. 447 swego dzieła ma słuszność przeciw p. Tarnowskiemu ze str. 456.

Kto chce poznać wiek XVI u nas w jego religijnych uczuciach i walkach, ten będzie musiał odczytać Hozyusza, Reja i pisarzów aryańskich; kto zapragnie zbadać polityczne pojęcia i dążenia owego czasu, musi zagłębić się w dzieła Modrzewskiego i całego szeregu publicystów; kto zażąda dowiedziéć się o filozoficznych dociekaniach i wątpliwościach, ten niewiele wprawdzie znajdzie w ówczesnych pismach materyału, ale bądź-co-bądź zawsze więcéj się dowié z książek scholastyków, Reja i Petrycego niż z poezyi Kochanowskiego.

Pozostaje jednak jeszcze sfera obszerna, najwłaściwsza dla skali talentu Jana z Czarnolasu, sfera życia towarzyskiego i społecznego, sfera obyczajów i rozmaitego nastroju uczuć z odblyskami naturalnie tych religijnych, politycznych i filozoficznych pojęć i dążności, które w samémże życiu owém ważną odgrywały rolę. Nie przyniesie to ujmy Kochanowskiemu, jeżeli w nim nie dopatrzymy zelanta religijnego, wielkiego polityka i filozofa, lecz tylko rozumnego i zacnego człowieka, oraz znakomitego poetę, który w życiu narodu brał udział czynny stosownie do zakresu swego talentu, który ustalił i udoskonalił artyzm naszéj poezyi i utworzył dzieła, będące rozkoszą spółczesnych, zachętą i wzorem dla wielu, cenną i chlubną pamiątką dla nas i dla dalszéj potomności.

Piotr Chmielowski.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Sprawy kanalizacyjne.—Łączenie posesyi prywatnych z kanałami miejskimi. Kanalizacya nie jest interesem spekulacyjnym dla właścicieli domów, lecz ciężarem publicznym.—Wyszukiwanie źródła taniéj pożyczki, na cel skanalizowania posesyi.—Czy roboty kanalizacyjne miejskie tanio są prowadzone, czy drogo?—Czy wykonane są dobrze?—Nieobecny stale Lindley.—Wystawa nasion.—Sprawa Herclera, który okradł kolej Łódzką.—Jakie przyjemności spotykają tych, którzy wytaczają sprawę złodziejom.—Kwestyonaryusz pani Jasieńskiéj.—Towarzystwo opieki nad ubogiemi matkami i dziećmi.

Bajka głosi, że chłopek pewien prosił wróżkę o dary, gdy je zaś otrzymał, tyle mu one sprawiły przykrości, że pragnął znów pozbycia się otrzymanych. Podobnie się ma rzecz i z kanalizacyą Warszawy.

Narzekano i pisano wiele, dopóki kanalizacyi nie było, powoływano się na przykłady innych miast skanalizowanych i mniejszą przez to mających śmiertelność, objawiano ze wszech stron gotowość kanalizowania domów. Obecnie na wielu ulicach kanały są, a właściciele domów z nimi się nie łączą. Zamiast na brak kanałów, narzekają ci panowie na koszta, jakie kanalizacya za sobą pociąga, na zbyt drobiazgowe i wygórowane wymagania Lindleya, nawet na kanalizacyę w zasadzie. Najbardziéj się wzmogły te wyrzekania od chwili, gdy magistrat zapowiedział przedsięwzięcie środków przynaglających właścicieli domów do łączenia się z nowymi kanałami.

A jednak zarząd miejski, potrzebujący na amortyzacyę zaciągniętych pożyczek, powiększenia dochodu przez wpływy z opłat od każdego skanalizowanego domu, nie może w téj kwestyi pozostawać bezczynnym. Wywarcie nacisku na właścicieli domów, aby się łączyli z kanałami, pomijając już nawet względy hygieniczne, staje się koniecznem z uwagi na finanse miasta. Nadto zachodzi potrzeba uporządkowania niektórych ulic, ułożenia na nich lepszego bruku, zupełnego usunięcia rynsztoków i mostków ulicznych—

co tylko po skanalizowaniu wszystkich domów, na danéj ulicy położonych, może być wykonane.

Wieścią o zamysłach zarządu miasta zaniepokojeni reprezentanci właścicieli domów, w komitecie kanalizacyjnym zasiadający, zapytali na ostatniém posiedzeniu p. Prezydenta: „czy prawdą jest, że zarząd miejski ma zamiar rozpocząć przymusowe kanalizowanie domów". Uznając konieczność kanalizacyi, zwracali pp. reprezentanci uwagę, że nie wszyscy właściciele mają na to fundusze, że zarząd miejski winien by im w tym względzie przyjść z pomocą itp.

P. Prezydent odpowiedział, że przymuszać właścicieli do kanalizowania domów nie może, ale ma prawo zamknąć im rynsztoki uliczne, przez co, nie łącząc się z kanałami miejskimi, byliby zmuszeni do wywożenia wszystkiéj wody i ścieków z wnętrza posesyi po za miasto,—że zamierza uczynić to w roku przyszłym na Krakowskiém Przedmieściu i Nowym Świecie, gdyż na tych ulicach ma być w następstwie ułożony bruk drewniany bez rynsztoków i mają być uporządkowane ostatecznie trotoary, po oswobodzeniu ich od nogołomnych mostków,—że miasto nie ma funduszu specyalnego, którym by mogło przychodzić wpomoc właścicielom na przeprowadzenie robót kanalizacyjnych i że wyszukanie tych funduszów pozostawia się inicyatywie prywatnéj.

W skutek téj odpowiedzi, podjęły kwestyą przyjścia w pomoc właścicielom domów, przy urządzaniu kanalizacyi, władze towarzystwa kredytowego miejskiego. Czy doszły do jakiego wyniku w tym względzie—niewiadomo. Wiadomo tylko, że, z inicyatywy p. Blocha, zajmowały się—wspólnie z zaproszonymi specyalistami—zebraniem danych, odnoszących się do kosztów kanalizowania posesyi, roztrząśnieniem instrukcyi dla kanalizacyi domowych, ułożonéj przez Lindleya, a zwłaszcza zbadaniem czy pewne zmiany w téj instrukcyi nie dadzą obniżyć kosztów kanalizacyi domowéj.

Dotąd połączyło się z kanałami zaledwie parę dziesiątków posesyi. Koszt przeciętny kanalizacyi domu średnich wymiarów wynosi od 2000 do 3000 rs. Przez dom średnich wymiarów rozumiemy tu dom trzypiętrowy o 9 oknach frontu, z małém podwórzem, pokrywający od 3000 do 5000 łok. placu. Dom taki ma wartości od 50,000 do 70,000 rs. Przeciętnie więc koszta kanalizacyi domu wynoszą od 4% do 5% jego wartości. Kanalizacya taka obejmuje, prócz podwórza, jeszcze połączenie z kanałem wszystkich rur ściekowych i spustowych (rynien pionowych) a również urządzenia dla wszelkiego rodzaju odpływów z mieszkań.

Przy roztrząsaniu instrukcyi ułożonéj przez Lindleya i kosztorysów kilkunastu kanalizacyi domowych, zwrócono uwagę na szcze-

gół mogący o jakie 15% zmniejszyć koszta kanalizacyi domów. Polega on na tém, aby rury spustowe deszczowe od strony podwórza nie były łączone bezpośrednio z kanałem, lecz aby woda deszczowa od tych rur płynęła otwartemi rynsztokami do otworu ściekowego, umieszczonegǫ na podwórzu. Zredukowano by tym sposobem długość przewodów podziemnych wewnątrz posesyi, a hygiena nic by na tém nie ucierpiała. Podczas rozpraw nad tą kwestyą dały się słyszéć narzekania właścicieli domów, że się im kanalizacya nie opłaci, że dom skanalizowany, kosztem kapitału wynoszącego 4 do 5% wartości domu, nie powiększy w tym samym stosunku swego dochodu, a więc i wartości sprzedażnéj, że wreszcie niektóre domy tak są obciążone długami, iż właściciele ich nie znajdą nigdzie pożyczki na przeprowadzenie robót kanalizacyjnych.

Kanalizacya domów stanowi konieczność hygieniczną, wynikłą ze wzrostu ludności i rozwoju miasta, nie może więc być mowy o tém, czy się opłaci właścicielom posesyi i czy dochód lub wartość sprzedażną domów podniesie. I wodociągi dawniéj urządzone i zlewy kuchenne się nie opłaciły, bo dochodu domów wybitnie nie podniosły, ale je robić musiano, bo tego wymagały warunki wygody i hygieny publicznéj.

Tak samo się ma rzecz obecnie z kanalizacyą domów. Kanalizacya nie jest interesem spekulacyjnym, ale ciężarem publicznym. O opłacaniu się jéj przeto mowy być nie może, a tylko może być mowa o możliwém zmniejszeniu kosztów, o ile się to da—bez uszczerbku dla bezpieczeństwa i hygieny miasta—dokonać.

Jeżeli wyrzekanie właścicieli domów, że kanalizacya nie podnosi dochodów posesyi i ich wartości w odpowiednim do kosztów stopniu, z błędnego płynie poglądu, jakoby skanalizowanie miasta było przedsiębiorstwem spekulacyjném, to poszukiwanie taniego kredytu dla właścicieli domów zmuszonych do ponoszenia nadzwyczajnego a znacznego kosztu kanalizacyjnego nie spoczywa na fałszywéj zasadzie, lecz tylko trudném jest do urzeczywistnienia w praktyce. Rozpatrzmy tę rzecz bliżéj.

Właściciele domów potrzebują na niespodziewany, a znaczny wydatek pożyczki taniéj i na długoletnie rozłożonéj raty. Pożyczka taka—w zamian za dogodności dane właścicielom domów—powinna przedstawiać dla wierzycieli wyjątkową pewność co do kapitału, i co do regularnego wpływania procentów i rat amortyzacyjnych. Prywatny wierzyciel niechętnie daje i z natury rzeczy dawać nie może pożyczek na długoletnie rozpłaty. Mogłaby to zrobić tylko instytucya finasowa zbiorowa. Ale jaka? Najwięcéj głosów wskazywało towarzystwo kredytowe miejskie i magistrat.

Nie mówiąc jednak o przeszkodach, jakie w przepisach prawnych w téj mierze tkwić mogą i przyjmując, że odpowiednie zmiany w ustawie towarzystwa kredytowego, lub odpowiednie rozporządzenia specyalne dla magistratu wyjednać by się dały, finansowa strona operacyi przedstawia trudności nie lada. Wszystkie prawie domy warszawskie są obciążone pożyczką towarzystwa kredytowego miejskiego a znaczna ich większość ma prócz tego jeszcze długi hypoteczne prywatne, po towarzystwie zabezpieczone, a cyfrą pożyczkę towarzystwa przenoszące. I właśnie o wyszukanie taniego kredytu dla takich obdłużonych domów chodzi, gdyż nieobdłużone łatwo kapitalistów znajdą i prędko zaciągnięty dług, bez pomocy postronnéj, spłacą. Na jakimże numerze hypotecznym będą się mieścić pożyczone na kanalizacyę sumy? Nietylko po towarzystwie kredytowém miejskiém, ale i po długach prywatnych, na tak zwanym „ogonie hypotecznym". Podobnie ulokowana pożyczka—jako zbyt ryzykowna—jest do zaciągnięcia trudna i tanią być nie może, gdyż kapitalista musi wynagradzać sobie ryzyko wysokością procentu. Taka jednak ryzykowna operacya, możliwa dla kapitalisty prywatnego, jest nieodpowiednia zupełnie dla instytucyi publicznéj, jak magistrat, lub towarzystwo kredytowe miejskie.

Dla instytucyi publicznych mogłaby być przeto w danym razie mowa tylko o ulokowaniu pożyczki na tych domach, wierzyciele hypoteczni których zgodzą się na odstąpienie pierwszeństwa hypotecznego. Ale właśnie co do domów najbardziéj obciążonych, a więc najbardziéj pożyczki dogodnéj na kanalizacyę potrzebujących, wierzyciele sum nisko ulokowanych nie zechcą prawdopodobnie schodzić, w skutek nowéj, z prawa pierwszeństwa korzystającéj pożyczki, jeszcze niżéj i tém samém bezpieczeństwo swym sum jeszcze bardziéj zmniejszać.

Jak widzimy przedstawiają się tu trudności finansowe bardzo poważne. Podobno jednak trudności te mają być w części załatwione drogą przyznania ulg w odnawianiu pożyczek po 5 latach amortyzacyi w towarzystwie kredytowém miejskiém i drogą wyjednania specyalnéj pożyczki jednomilionowéj, przez miasto mającéj być zaciągniętą, a dla skanalizowania posesyi całkiem niezamożnych właścicieli przeznaczoną. Powiadamy jednak, że wszystko to w części tylko sprawę załatwić może, bo koszt kanalizacyi domów warszawskich, podług przybliżonego obliczenia, wyniesie od 12 do 15 milionów rubli, pożyczka więc jednego miliona, jeżeli nawet zatwierdzona zostanie, wystarczy zaledwie dla właścicieli małych domków na krańcach miasta, którzy nie potrafiliby nigdy własnym kosztem kanalizacyi przeprowadzić i których przeto miasto, ze względu na

potrzeby hygieny, tanim kredytem opatrzyć musi, chociaż wié z góry, że do téj operacyi finansowéj dołożyć z grosza miejskiego będzie musiało. Jeżeli pominąć właścicieli, którzy z takiéj zapomogi raczéj niż pożyczki, a przynajmniéj z pożyczki nieopłacającéj się procentowo, korzystać ewentualnie będą, i jeżeli odtrącić znów nieznaczną ilość właścicieli, mających leżącą gotówkę i nie potrzebujących taniego kredytu, pozostaje zawsze około $^{9}/_{10}$ ogólnéj liczby właścicieli domów w Warszawie, dla których obowiązek kanalizowania posesyi jest trudnym do zniesienia ciężarem finansowym. Dla tych właścicieli projektuje „Gazeta Warszawska“ wyjednanie pożyczek z banku państwa na warunkach podobnych, jak przy przyznawanych właścicielom ziemskim pożyczkach na zakupno maszyn i narzędzi rolniczych, a więc z ostrożnościami i rygorami do tych ostatnich pożyczek przywiązanymi. I bank państwa oczywiście miałby niemałe przy podobnéj operacyi finansowéj trudności do pokonania, sądząc jednak z analogicznego w części przykładu pożyczek udzielanych właścicielom ziemskim, rzecz dałaby się przeprowadzić, a może byłaby pod względem formalności prawnych łatwiejsza dla banku, niż dla magistratu i towarzystwa kred. miejskiego.

Co do wypowiadanego przez właścicieli domów i przez prasę żądania, żeby Warszawa została podzielona na grupy i żeby rygor przymusowéj kanalizacyi kolejno co roku jednéj tylko grupy dotykał, tak, aby całość skanalizowana została w ciągu np. lat 15, to zdaje się, iż żądanie podobne faktycznie już jest i będzie nadal urzeczywistniane z powodów technicznych, robotom kanalizacyjnym właściwych.

Nie na wszystkich przecież ulicach kanały miejskie mogą być w jednym wykończone roku. Ta powolność kanalizowania miasta, na którą dotychczas tak wyrzekała prasa i opinia publiczna wogóle, okazuje się teraz zgodną z interesami właścicieli domów. Corocznie pewna tylko ilość ulic była dotąd i będzie nadal w kanały miejskie zaopatrywana, a w ślad za kanalizacyą ulic będzie téż kolejno postępować i kanalizacya domów, przy tych ulicach położonych. Obecnie magistrat wywiera presyę tylko na właścicieli domów przy ulicach Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat położonych, a wybiera na początek te mianowicie, nie zaś inne ulice dlatego, że na ulicach tych kanały miejskie już są ukończone, że właściciele posesyi przy tych ulicach położonych są wszyscy prawie względnie zamożni i że obie te ulice wymagają bardziéj niż inne uporządkowania bruków i chodników, co dopiéro po zbudowaniu wszystkich przykanalików będzie możebném. Nie można zaś układać grup domów, do kanalizacyi przymusowéj kwalifikujących się,

inaczéj jak całemi ulicami nie tylko z powodu bruków i chodników, ale i dla tego, że gdyby na jednéj ulicy znajdowały się przez czas dłuższy posesye skanalizowane i nieskanalizowane, pomieszane w szachownicę, to właściciele domów, połączonych z kanałami miejskiemi, ponosiliby niesłusznie koszt podwójny podwyższonéj opłaty kanalizacyjnéj i uprzątania lodu, formującego się w rynsztokach wskutek napływania ścieków z sąsiednich, nieskanalizowanych posesyi.

Faktyczna konieczność podziału domów kanalizujących się na grupy, w kolei lat przymusowi ulegające, usuwa zarazem obawę zbytecznego podrożenia robót kanalizacyjnych, wskutek ewentualnego jakoby prowadzenia ich odrazu w całém mieście. Z drugiéj strony notorycznie nam wiadomo, że fabryki rur (Rudzkiego i wiele innych) i drenów (Granzowa i inne) są silnie, może nawet ze zbytkiem zaopatrzone w potrzebne materyały, że więc przewagi żądania nad ofiarowaniem i podrożenia ztąd cen obawiać sie nie należy.

Skoro już mowa o różnych żądaniach i zarzutach, przez prasę robotom kanalizacyjnym czynionych, dotknijmy jeszcze polemiki inżyniera Rudnickiego. Inżynier Rudnicki w artykułach, w „Przeglądzie Tygodniowym“ umieszczonych, między innemi czyni zarzut, iż roboty kanalizacyjne kosztują zbyt drogo i dla porównania z ich kosztem stawia z jednéj strony przepisy normalne o cenie robót w przedsiębiorstwach dla rządu dokonywanych (tak zw. „urocznoje położenije“), z drugiéj zaś dokonane przez siebie obliczenie ceny rzeczywistéj robót kanalizacyjnych. Nie wchodząc w szczegóły obliczeń, mało dostępnych dla profanów, chcemy tylko zwrócić uwagę na fakt znany wszystkim tym, którzy z przedsiębiorstwami robót rządowych kiedykolwiek mieli do czynienia, że wzmiankowane „urocznoje położenije“ — jak wszelkie przepisy *a priori* układane—nie jest na tyle ścisłe i szczegółowe, iżby się nie dało w granicach pewnego *maximum* i *minimum* różnie interpretować. Pamiętamy nawet dobrze, że przy boku znaczniejszych przedsiębiorców znajdowali się zwykle specyaliści rachunkowi, którzy umieli to „urocznoje położenije“ odpowiednio rozciągać i kurczyć, podług potrzeby. I w obecnym wypadku różnica obliczeń dokonanych z jednéj strony przez p. Rudnickiego, z drugiéj zaś przez pp. Höhmana i Laubera wykazuje do jak różnych obliczeń na podstawie tych samych niby cen normalnych dojść można. W każdym jednak razie wiele mówiącym jest fakt, iż nawet obrońcy zarządu kanalizacyi nie mogą tak wyciągnąć droższego na ogół od cen rzeczywistych cennika normalnego, iżby ten dał cyfry dorównywające cenom robót kanalizacyjnych w Warszawie płaconych.

Daleko jednak ważniejszém niż obliczenie na mocy „urocznego położenija" jest zestawienie cen kanalizacyjnych z cenami rzeczywistemi. To téż czując wagę czynionych przez p. Rudnickiego zarzutów, jakoby pp. Schuster i Peschel pobierali 4 razy tyle za roboty, ile te ich rzeczywiście kosztują, pan prezydent miasta, w znanéj swéj troskliwości o wyjaśnienie kwestyi, interesu miasta dotyczących, uprosił inżyniera Feliksa Kucharzewskiego, iżby ten, wspólnie z inżynierem miasta Włoczewskim i z inżynierem kanalizacyi Sokalem, zajął się zbadaniem, ile mogą zarabiać przedsiębiorcy robót kanalizacyjnych.

Wskutek wezwania pana prezydenta, wzmiankowani inżynierowie prowadzili codziennie, w ciągu dni ośmiu, o godz. 7-éj rano obmiar robót i sprawdzenie liczby robotników na dwóch obranych przez siebie ulicach, a mianowicie na ulicy Senatorskiéj, jako wielce dla przedsiębiorcy, z natury gruntu, korzystnéj i na ulicy Wolność, jako wyjątkowo znów, z téj saméj przyczyny, niekorzystnéj. Rezultat sprawdzenia, w tych dniach dokonanego, przedstawia się cyfrowo w sposób następujący. Na ulicy Senatorskiéj przedsiębiorcy zarobili—na robotach ocenionych na tysiąc kilkadziesiąt rubli—rs. 122, czyli około 11%; na ulicy zaś Wolność w tym samym czasie — na robotach ocenionych około 400 rubli — stracili 140 rubli, czyli około 28%. Cyfry te, wyjęte ze sprawozdania pp. inżynierów, zdawałyby się na pierwszy rzut oka dowodzić, że przedsiębiorcy raczéj tracą, niż zarabiają na robotach kanalizacyjnych. Trzeba jednak pamiętać, że takich ulic jak Wolność, gdzie istnieje tak zwana kurzawka, t. j. piasek płynący, spotkali pp. przedsiębiorcy dotąd dwie tylko lub trzy, znaczna zaś większość ulic zbliża się z charakteru gruntu do ulicy Senatorskiéj. Gdyby jednak wszystkie ulice dawały przedsiębiorcom 11% zysku, byłby to raczéj zysk za mały, niż za wielki. Darmo przecież żaden przedsiębiorca pracować nie może. Tu wszelako trzeba zwrócić uwagę na jedną okoliczność, nie uwzględnioną w sprawozdaniu pp. inżynierów. Obmiar robót i sprawdzanie liczby robotników dokonywane było w październiku, t. j. w takiéj porze roku, kiedy dzień jest krótki, tak, że godzin roboczych można w nim liczyć zaledwie 10. Inaczéj zupełnie przedstawiłyby się cyfry w miesiącach maju, czerwcu, lipcu i sierpniu, kiedy dzień roboczy ma godzin 16. Wówczas robota, dokonywana na téj saméj, dajmy na to, ulicy Senatorskiéj, wykazałaby zamiast 11%, jakie 50% albo i 75% zysku. Trzebaby więc dokonać obliczenia przeciętnego i dopiéro wtedy zdecydować, czy roboty kanalizacyjne naszego miasta nie są prowadzone zbyt drogo. Nim to obliczenie dokonane zostanie, zaznaczmy, że opinia pu-

bliczna uznawała je ciągle jako drogie, natomiast jednak aż do połowy lata bieżącego uważała je za prowadzone bardzo dobrze. Dopiéro wypadki tego lata, głównie zaś skonstatowana wadliwość konstrukcyi wielkiego kanału *A* i tę wiarę publiczności odebrała. Może wieści o złym stanie tego kanału są przesadzone, cóżkolwiekbądź jednak komisya do zbadania go wyznaczona zaopiniowała, że kanał grozi na dość znacznéj przestrzeni zawaleniem. Tymczasem—jak donosi „Kraj“—główny inżynier kanalizacyi na wezwanie pana prezydenta odpowiada, iż przyjechać nie może, bo.... potrzebuje spoczynku (1). Ważnym jest zapewne spoczynek p. Lindleya, ponieważ jednak pan L. nie u nas napracował się tak dalece przez te kilka dni, które z parę razy do roku Warszawie poświęcać raczył, iżby ta mianowicie jego praca potrzebę spoczynku wywoływała, czyby więc nie należało mu dać możności, żeby się wcale już przyjazdami do nas nie fatygował, ale pracował i wypoczywał nadal wyłącznie nad.... Menem. Przy rozstrzygnięciu jednak téj sprawy trzeba miéć na uwadze pewną bajeczkę. Tak się to już złożyło, iż rzecz o kanalizacyi od bajki zacząłem i na bajce mi ją skończyć wypada. Ta bajka końcowa jest taka. Żaby, niezadowolone z nieczynności pnia drzewnego, który za króla obrały, postanowiły przywołać energiczniejszego władcę. Wprowadzony z nowéj elekcyi na tron królestwa żabiego bocian, czynny był niezmiernie.... I odtąd zaczęły się bardzo smutne dni dla żabiego rodu......

* * *

Wystawa nasion przyszła i przeszła w taki sposób, że niewielu o niéj wiedziało, interesowało się zaś jeszcze mniéj. Jedną z przyczyn zdyskredytowania wystaw wobec publiczności, a bardziéj jeszcze wobec wystawców, były nie licujące z zadaniem istotném wystaw zabawki. Zabawki takie, jeżeli nawet przyciągną nieco publiczności, to w każdym razie zbiorą publiczność, szukającą hecy, nie zaś nauki, lub interesu handlowego. Wystawcy widzą, że publiczność przychodzi nie dla nich; widzą, że nikt z gości wystawowych nie zawiązuje z nimi stosunków handlowych, że nawet niewielu ogląda i pamięta jakie i kto wystawił okazy, zniechęcają się więc do wystaw i gdy jedna po drugiéj zbyt prędko następuje, usuwają się od nich. Uboga znów wystawa robi swém pustkowiem smutne wrażenie, tak, że i publiczność zaczyna od niéj stronić, témbardziéj że figle i figliki opatrzone i osłuchane straciły również siłę przyciągają.

---

(1) W chwili oddawania zeszytu na prasę dowiadujemy się, że wzywany przez czas długi napróżno p. Lindley raczył nareszcie przyjechać do Warszawy z wizytą.

Tak się też stało i z wystawą nasion. Ilość wystawców na ostatniéj wystawie była mniejsza o połowę w porównaniu z przedostatnią. Całe okolice—jak np. Hrubieszowskie, słynne ze swych zbóż—świeciły nieobecnością. Do niepowodzenia przyczyniła się w pewnéj mierze i niewłaściwość obranéj na wystawę pory roku. Że październik jest miesiącem na wystawę nasion nieodpowiednim — głos to prawie ogólny. Natomiast, wskazywany przez niektóre organa prasy, jako dogodniejszy, miesiąc styczeń, ma tę tylko nad październikiem wyższość, że przypada w porze, kiedy więcéj już tych ziemian, którzy corocznie tu na zimę ściągają, zdążyło przyjechać do Warszawy. Gdyby wystawa nasion miała popis wyłącznie na celu, to wobec wzmiankowanego warunku, styczeń byłby zapewne stosownym dla niéj miesiącem. Ale wystawy nasion o tyle tylko mogą peryodycznie i dość często się powtarzać, nie tracąc przytém na żywotności, o ile zdołają nabrać charakteru rynku nasion, jak to ma miejsce na odpowiednich wystawach na zachodzie Europy. Chcąc zaś im nadać charakter handlowy, dwie tylko możemy wybrać na to pory, a mianowicie: przeddzień siewów jesiennych dla nasion ozimych i przeddzień wiosennych dla nasion jarych, a więc koniec sierpnia (po zbiorach) dla pierwszych i marzec dla drugich. Jeżeli ziemianin, chcący wprowadzić u siebie nowe nasienie, będzie wiedział, że ma obfity wybór na wystawie, a zarazem, że ma możność nabycia natychmiastowego i odstawy do swego majątku na czas właściwy, t. j. na czas siewów kupionego przez się ziarna, wówczas wystawy zbożowe nabiorą o wiele pożyteczniejszego niż dziś dla wystawców i dla zwiedzających wystawę znaczenia. Sądząc jednak z doświadczenia nabytego zagranicą, o wiele pożyteczniejszemi są wystawy nasion jednego gatunku, a przynajmniéj jednego działu (np. wyłącznie żyta lub pszenicy, albo jęczmienia browarnego, albo chmielu, albo wreszcie działu nasion pastewnych lub okopowych), niż wszystkich naraz gatunków nasion.

* * *

Kto miał jakąkolwiek styczność z życiem handlowém naszego miasta, do uszu tego prawdopodobnie dochodziły nieraz wieści tego rodzaju: Kasyer A ukradł u bankiera B kilkanaście tysięcy rubli, ale bankier B z uwagi, że skradzione pieniądze już się nie wrócą, zaniechał oddania sprawy na drogę sądową. Inkasent, dzięki brakowi kontroli, zdołał przywłaszczyć sobie, z odbieranych dla domu handlowego D w ciągu kilku lat pieniędzy, kilkadziesiąt tysięcy rubli, właściciel jednak domu handlowego z uwagi, że inka-

sent ten tanio był opłacany, a skasowanie posady kontrolera w swém biurze dało mu w ciągu lat 10, kiedy się malwersacya dokonywała, znaczną oszczędność, obliczył, że właściwie żadnéj nie poniósł straty; nie wszczynając przeto sprawy karnéj, wydalił tylko inkasenta, a na jego miejsce przyjął nowego, równie źle opłacanego i po dawnemu dla oszczędności nie urządził nad nim odpowiedniéj kontroli. Buchalter E, zmówiwszy się z kasyerem, zmalwersował w banku F sto tysięcy rubli, ponieważ jednak malwersacya po kilku dopiéro wydała się latach, a rachunki za te lata zostały już przez akcyonaryuszów zatwierdzone, przeto dyrektor banku, by nie ponosić wstydu za niedostateczną kontrolę, nie tylko sprawy winowajcom nie wytacza, ale nawet przeczy by kiedykolwiek jakakolwiek w zarządzanym przez niego banku malwersacya była spełniona.

Takie kramarsko-egoistyczne traktowanie sprawy, taki brak poczucia obowiązku bronienia społeczeństwa od szerzonéj przez malwersatorów zgnilizny, takie dawanie bezkarnością bodźca nowym agentom do naśladowania swych poprzedników,—wszystko to oburzało mię nieraz głęboko. Dopiéro świeży wypadek na kolei Łódzkiéj wyjaśnił mi jakiego to — wobec dziwnego zachowania się naszéj opinii publicznéj—potrzeba bohaterstwa, by złodzieja większéj sumy oddać do sądu. Odtąd dziwić się nie będę, gdy poszkodowany nie tylko złoczyńcę puści wolno, ale jeszcze mu zapewni może rentę dożywotnią wzamian za zobowiązanie, iż ten nigdy nikomu o swéj malwersacyi słówka nie piśnie.

Oto co się stało na drodze Łódzkiéj. Niejaki Teodor Hercler, będący zarazem buchalterem i inkasentem zarządu kolei, skradł w r. 1885 i 1886 dwadzieścia trzy tysiące rubli, następnie zaś tak zręcznie za pomocą fałszowania ksiąg i kwitów kradzież tę pokrywał, że ani bezpośredni jego naczelnik, ani sprowadzony umyślnie dla rewizyi i wprowadzenia nowéj kontroli buchalter dróg południowo-zachodnich, ani komisya rewizyjna nie zdołała wykryć nadużycia. Dopiéro po dwóch latach przypadek na trop złodziejstw i fałszerstw Herclera wprowadził jego zwierzchników, gdy zaś ci, po mozolnéj pracy nad rozplątaniem powikłanych umyślnie pozycyi buchalteryjnych, ostatecznie i stanowczo brak 23 tysięcy rubli wykazali, Hercler zdołał zbiedz. Zwierzchnicy jego jednak zdobyli się na dość rzadką w naszym świecie handlowym energię i rozpoczęli przeciw niemu sprawę karną, która miała ten skutek, że władze sądowe po stwierdzeniu przestępstwa, rozesłały za Herclerem listy gończe. Naczelnicy więc Herclera zrobili swoje, a władze sądowe pełnią również, co do nich należy.

Jak jednak zachowuje się wobec złodzieja i wobec poszkodowanych bezpośrednio lub pośrednio jego zwierzchników nasza opinia, a w szczególności widoma przedstawicielka opinii publicznéj (na szczęście nie cała jednakowo), t. j. nasza prasa. Oto przedewszystkiém niektóre pisma nie wspominają o całym fakcie zupełnie. Jest-to tak niezwykłe ze strony tych zwłaszcza pism, które piszą o lada mostku dziurawym, o lada kradzieży bochenka chleba ze straganu, że aż rodzi w publiczności szereg nieprawdopodobnych, a uwłaczających naszéj prasie plotek. Opowiadają naprzykład, że ktoś z przyjaciół złodzieja, mający wpływy w redakcyach, obchodził je prawie wszystkie i zdołał uprosić, by o... drobném zapomnieniu się jego przyjaciela nie pisano.

Plotka ta nie może mieć w sobie oczywiście ani słowa prawdy i jeżeli o niéj wspominam, to tylko dla tego, by wykazać, jak opacznie czasem intencye milczących tłómaczone bywają i jak nie zawsze przeto prawdziwém jest przysłowie o wyższości milczenia nad wypowiedzenie się otwarte. Jeżeli jednak milczący o sprawie Herclera mają na wytłómaczenie swe aż dwie sentencye: że lepiéj uniewinnić stu złoczyńców, niż oskarżyć jednego sprawiedliwego, i że ten tylko ma prawo rzucić kamieniem, kto sam jest bez winy, to na obronę tych, którzy, zamiast żeby zaregestrować fakt ściśle dowiedziony, pozwalają sobie rzucać nieoparte na niczém insynuacye na kolegów i zwierzchników Herclera, można chyba powiedzieć to jedno, że nie wiedzą, co czynią. Bo w przeciwnym razie, gdyby rozumieli całą haniebność swego postępku, nie byłoby słów dość silnych na ich potępienie. Wyobraźmy sobie, że kogoś okrada rzezimieszek, a gdy poszkodowany woła by łapano złodzieja, spotykają go zamiast współczucia, lub chociażby tylko obojętności, okrzyki: „a czy ten skarżący także kogoś nie okradł? może on miał cudze pieniądze sobie powierzone i namówił się z mniemanym złodziejem, żeby oszukać właściciela tych pieniędzy? urządźmy mu kocią muzykę“! I oto wskutek rzuconego na wiatr słowa przez pierwszego z brzega głupca, albo może i złodziejskiego wspólnika, zainteresowanego w fałszywém skierowaniu podejrzeń, rozpoczyna się obrzucanie okradzionego błotem. A złodziej tymczasem uchodzi wolno; niektórzy nawet kłaniają mu się na pożegnanie. Czybyście się dziwili, że potraktowany podobnie poszkodowany nigdy już w przyszłości żadnego złodzieja zatrzymać nie zechce, ale przeciwnie w chwili wykradania mu worka z kieszeni powie „doliniarzowi“ z całém ugrzecznieniem: „dziękuję waszéj ekscelencyi, że raczy tę drobną pamiątkę przyjąć odemnie“. Otóż i ja od chwili, gdym się przyjrzał zachowaniu się niektórych przedstawicieli naszéj opinii względnie

do oddanéj władzom sądowym sprawy kradzieży na kolei Łódzkiéj, dziwić się odtąd nie będę, gdy posłyszę o pozostawionych bez żadnéj reakcyi nowych malwersacyach panów kasyerów i inkasentów.

* * *

Z powodu projektowanego pisma zbiorowego, poświęconego wyłącznie piórom kobiecym, pani Halina Jasieńska rozesłała kwestyonaryusz, odnoszący się do stanowiska zajmowanego u nas przez kobietę w przemyśle i handlu, w gospodarstwie domowém i rolném, na polu dobroczynności, w życiu społecznéra, w nauce, literaturze i sztuce, w urzędowaniu publiczném i prywatném, a również, co do warunków hygieny i pedagogiki, wreszcie co do obyczajów towarzyskich kobiet. Odpowiedzi przesłane pani Jasieńskiéj mają posłażyć jako materyał, na podstawie którego będą w następstwie ułożone wskazówki—jakie są najodpowiedniejsze w naszym kraju kierunki pracy kobiecéj indywidualnéj i społecznéj. Faktem jest, że w krajach, gdzie kobieta pracuje, (np. w Ameryce północnéj) stanowisko jéj społeczne się podnosi, gdzie zaś w próżniactwie pędzi życie —(np. na Wschodzie) tam gra podrzędną rolę niewolnicy. Wszelkie więc usiłowania ku rozszerzeniu pola pracy kobiet z uznaniem spotykane być winny. Wiemy zresztą, że do ułożenia kwestyonaryusza należało a usystematyzowaniem odpowiedzi zajmie się całe grono kobiet do świata piszącego, a w każdym razie do inteligencyi naszéj należących. Odpowiedzi przeto na kwestyonaryusz—oby jak najliczniejsze—w dobre dostaną się ręce.

* * *

Wydane niedawno sprawozdanie towarzystwa opieki nad ubogiemi matkami, oraz ich dziećmi za rok 1887 wykazuje, iż pożyteczna ta instytucya rozwija się pomyślnie. W r. 1887 liczyło towarzystwo 22 członków założycieli i 455 członków rzeczywistych obojéj płci. Dochody za rok 1887 składające się z ofiar jednorazowych, wpływu z widowisk, opłat rocznych członków itd., wyniosły 14 tyś. rubli, a razem z remanentem z 1886 roku 21 tysięcy rubli. Wydano 8400, remanentu na rok następny pozostało przeszło 12000 rs. Za wydane pieniądze zakład utrzymywał w ciągu r. 1887 położnic 150, dzieci 146. Czas przecięciowy pobytu w zakładzie każdéj kobiety wynosił 49, 23, dni, dziecka w zakładzie: 22, 62, na wsi: 29, 44 dni. Przecięciowo dziennie była w zakładzie 9,67 kobiet i 9,13 dzieci. Ile w tych cyfrach, dla umiejących je czytać, mieści się wymownych pochwał dla towarzystwa! Ile nędzy wspomożonéj, zbrodni zapobieżonych, ile ofiar śmierci wyrwanych!

(— X —)

ATENEUM,

pismo miesięczne, naukowe i literackie z rokiem 1889 rozpocznie czternasty rok istnienia i wychodzić będzie, jak dotychczas, w początkach każdego miesiąca w zeszytach 12 arkuszowych.

Redakcya, w zastosowaniu tychże samych co dawniej zasad, starać się będzie o zapoznawanie szerszych kół inteligencyi z wynikami badań naukowych we wszystkich głównych dziedzinach wiedzy ludzkiej, ze szczególném jednak uwzględnieniem warunków i potrzeb krajowych; nie zaniedba także podawać czytelnikom takich utworów poezyi i powieści, które myślą i formą na uwagę zasługiwać będą. Dołoży również starań, ażeby sprawy bieżące troskliwie były uwzględniane i roztrząsane. Ożywiać ciągle czasopismo wprowadzaniem znaczniejszéj niż dotychczas liczby artykułów, traktujących o kwestyach żywotnych, obchodzących nasz naród, oto zadanie, które sobie redakcya postawiła i które spełniać wedle sił swych będzie.

Mamy nadzieję, że przyjaciele naszego czasopisma i sami przy niém pozostaną i zechcą zająć się jego rozpowszechnieniem wśród znajomych. Liczymy na nich i z otuchą powodzenia pracę swoję prowadzić będziemy daléj, pod hasłem dobra społeczeństwa, idąc drogą jasnéj myśli, serdecznego uczucia i wytrwałéj woli.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM, Obożna, 5.

— Znane dobrze publiczności wydawnictwo **Kalendarza illustrowanego Józefa Ungra** puściło w świat nowy swój rocznik (1889). Za zwykłą cenę kop. 50 znajdzie tu nabywca, oprócz właściwéj części kalendarzowéj, obszerny dział informacyi, adresów i ogłoszeń, a nadto życiorysy kilku wydatniejszych osobistości, powieści, opowiadania i poezye, wreszcie wiadomości naukowe i społeczne. Zdobią ten kalendarz liczne drzeworyty.

SPROSTOWANIE.

W artykule o przekładach Eneidy (zeszyt październikowy, str. 46, w wierszu 3 od dołu) dwukrotnie zamiast wydrukowanego *nude* czytać należy *unde*.

Nadmienia się przytém, że rozprawa o polskich przekładach Eneidy nie tego samego jest pióra, co przekład ustępu z opowiadania Eneasza.

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**